ZBRODNIA W CIENIU WOJNY NA UKRAINIE

Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski gorzko o obchodach rocznicy rzezi wołyńskiej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 30/486 25–31 LIPCA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Cejrowski woli elektrownie na węgiel od atomowych

UWAGA NA FILMY DLA DZIECI!
IDEOLOGIA LGBT WPROST ZALEWA KINOWĄ POPKULTURĘ

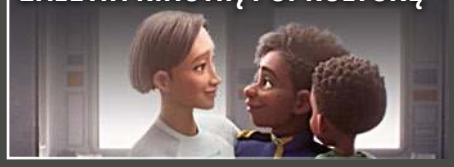

Semka o niedolach „Tygodnika Powszechnego"

Komu szkodzą sankcje wobec Rosji

WŁADIMIR PUTIN

URSULA VON DER LEYEN

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 54 000 egzemplarzy

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Rozmowa z byłym agentem KGB Olegiem Kaługinem!

Jurij Felsztinski – **Tak zabija Putin!**
Grzegorz Janiszewski – **Polowanie na wrogów Kremla**
Tymoteusz Pawłowski – **Trucizny i skrytobójstwa**
Piotr Zychowicz – **Polska hrabianka w Abwehrze**
Gerald Blaine – **Byłem ochroniarzem Kennedy'ego**
Arkadiusz Karbowiak – **Komandosi Hitlera atakują!**
Tomasz Stańczyk – **Kresowa saga Weyssenhoffów**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Rzeczpospolita Narodów**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kto zapłaci za brak węgla

Aż trudno uwierzyć, że to stało się naprawdę. 15 kwietnia Polska, cztery miesiące przed innymi państwami Unii Europejskiej, wprowadziła embargo na import węgla z Rosji. Stało się tak, mimo że premier Mateusz Morawiecki musiał wiedzieć, jak wynika z listu minister Anny Moskwy, że Polska nie ma wystarczających zapasów tego surowca. Był to zatem swego rodzaju skok na główkę do pustego basenu. W rezultacie od kilku dni (trzy miesiące od fatalnej w skutkach decyzji!) premier zaczął dwoić się i troić, żeby znaleźć wyjście z pułapki, w której sam się radośnie zatrzasnął. A to wzywa do zdobycia węgla spółki Skarbu Państwa, a to ogłasza plan dopłat, a to ustala ceny. Co by jednak zrobił, koszmar nie chce zniknąć i wszystko wskazuje na to, że kilku milionów ton węgla w Polsce zabraknie. Jakie mogą być skutki?

Po pierwsze, nic nie wskazuje na to, by polskie embargo w jakikolwiek sposób wpłynęło na sprawność rosyjskiej machiny wojennej.

Po drugie, na decyzji Polski mogą zyskać inne firmy z Unii Europejskiej – tam embargo ma obowiązywać dopiero od 10 sierpnia. Węgiel, za który zapłaciły polskie przedsiębiorstwa, może być odkupiony w Rosji. Według różnych doniesień już teraz są na niego chętni, tyle że za połowę ceny.

Po trzecie, miliony Polaków to całkiem prawdopodobny scenariusz, zimą będą marznąć. To zaś z pewnością wywoła złość i spadek poparcia dla rządu i premiera, i całej formacji.

Pojawia się oczywiste pytanie: Dlaczego tak się stało? Przede wszystkim, sądzę, decyzję podjęto na fali entuzjazmu, wręcz euforii. Wydawało się wówczas – pod koniec marca, na początku kwietnia – że rosyjska ofensywa zakończy się natychmiastową klęską. Przynajmniej tak myśleli ci, którzy uwierzyli propagandzie. Media prześcigały się w analizach, z których wynikało, że albo Putin umrze na straszną chorobę, albo zostanie usunięty wskutek zamachu stanu, albo po prostu Moskwa ogłosi kapitulację.

Co się tyczy wojny na Ukrainie, Polska musiała być zatem prymusem pomocy i sankcji, a premier chciał pokazać, że jest prawdziwym przywódcą. Ten szaleńczy optymizm i zapał wojenny nie były zresztą jedynie przypadłością obozu władzy. Przypomnę nie mniej, a może bardziej zwariowany pomysł Platformy Obywatelskiej, żeby natychmiast wprowadzić w Polsce embargo na rosyjski gaz, LPG. W tym przypadku jednak resztki zdrowego rozsądku u rządzących przeważyły. Rząd z opozycją nawzajem nakręcały się w szaleńczym wyścigu, kto pokaże, że bardziej walczy z Rosją i kocha Ukrainę.

W sprawie surowców rząd z opozycją nawzajem nakręcały się w szaleńczym wyścigu, kto pokaże, że bardziej walczy z Rosją i kocha Ukrainę

Podjęcie decyzji o przedwczesnym embargu wynikało też w ogóle ze sposobu uprawiania polityki przez premiera. Obecna ekipa, korzystając z głupoty opozycji, do mistrzostwa opanowała sztukę zrzucania z siebie odpowiedzialności za własne błędy. Podobnie jak w przypadku węgla wyglądają przecież efekty wprowadzania Polskiego Ładu czy kabaretowe opowieści o pieniądzach z Unii Europejskiej po przyjęciu Krajowego Planu Odbudowy. Mechanizm jest dokładnie taki sam: najpierw decyzja, wynikająca z nadmiaru optymizmu, szybkie jej wprowadzenie bez analizy skutków i z pominięciem głosów krytycznych, a potem jeszcze szybsza rejterada i poszukiwanie winnych, na których można by zrzucić winę za niepowodzenia.

Jednak operacja wycofania się na z góry przyjęte pozycje, używając języka militarnego, będzie w przypadku węgla trudniejsza. O ile w przypadku Polskiego Ładu odpowiedzialność była szersza, a w przypadku pieniędzy z Unii rzecz wciąż dotyczy przyszłości i można łudzić siebie i wyborców opowieściami o tym, że już za minutkę, już za momencik strumień euro popłynie z Brukseli, o tyle co się tyczy embarga na węgiel, decyzję podjął premier.

Poza tym wadliwe skutki wcześniejszych posunięć nie dla wszystkich były równie oczywiste. Z części pomysłów Polskiego Ładu rząd zdążył się wycofać, inne jeszcze nie stały się dotkliwe. Co do rezygnacji z suwerenności na rzecz Brukseli, to Polacy dopiero będą doświadczać, na czym ona w praktyce polega. Jednak brak węgla jest zbyt, jakby to powiedzieć, zmysłowy jak na to, by dało się nad nim przejść do porządku dziennego. Wreszcie o ile w przypadku Polskiego Ładu skończyło się na głowach postaci mało politycznie istotnych, jak minister finansów Tadeusz Kościński, o tyle tutaj premier ma twardy orzech do zgryzienia. Gracze są znacznie poważniejsi. Chętnych do położenia głowy pod topór za jego błędy nie ma. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

TEMAT TYGODNIA

12 ŁUKASZ WARZECHA
KONTRPRODUKTYWNE SANKCJE
Sankcje mają sens, jeśli prowadzą do oczekiwanych skutków. Na razie w sprawie Rosji nic takiego się nie dzieje, za to poważnie cierpi Europa

16 OLIVIER BAULT
GAZ Z AFRYKI NIE WYSTARCZY

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA BERLINA
Złamanie oporu Polski stało się obsesją eurokratów

22 ROZMOWA Z KS. ISAKOWICZEM-ZALESKIM
WOŁYŃ PRZESZKADZA POLITYKOM

26 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
GWAŁTOWNE PRZEBUDZENIE

28 ZUZANNA DĄBROWSKA
WSZYSTKIE KATASTROFY LESZCZYNY

30 PIOTR SEMKA
PIŁOWANIE KORZENI

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
CIEMNA STREFA BADAŃ

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
GEJE Z KOSMOSU
Disney kroczy dziś obok Netflixa w awangardzie postępu dyktowanego przez środowiska LGBT

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 WOJCIECH GOLONKA
NA ZIELONEJ UKRAINIE
Ukraina zgodzi się na amputację Krymu i Donbasu w zamian za gigantyczne zachodnie inwestycje oparte na ekologii i zmieszane z nutą gender?

50 ROZMOWA Z DR. MICHAŁEM SOPIŃSKIM
CHCEMY DOKONAĆ REKONKWISTY

HISTORIA

52 MACIEJ ROSALAK
POD PRESJĄ WYDARZEŃ I CZASU
Czy rzeczywiście dowódcy AK byli tchórzami, którzy swoje życie opłacali krwią podwładnych?

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
KOLABORACJA, KORUPCJA, WALKA O WŁADZĘ
Polityczne trzęsienie ziemi w Kijowie

60 PIOTR WŁOCZYK
ZA CHINY LUDOWE

EKONOMIA

64 TOMASZ CUKIERNIK
EKONOMIA POLITYCZNA
Problemy mamy w tych gałęziach gospodarki, do których wtrącają się politycy

STYL

68 ADAM ZUBEK
PRZECIĘTA MIERZEJA
Mierzeja Wiślana przegrała z geopolityką, choć po tym, co wydarzyło się 24 lutego tego roku, trzeba na tę „przegraną" spojrzeć zupełnie inaczej

72 JOANNA BOJAŃCZYK
BARDZO BRZYDKIE BUTY

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (56), PRZYBYLSKI (62), GABRYEL, WARZECHA (66), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Sean Gallup/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierowć na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Czarodziejskie Góry Literatury

Nasza pani noblistka raczyła stwierdzić na jednym z paneli Festiwalu Góry Literatury, że „nie pisze dla idiotów" i nie chce, by jej książki „trafiły pod strzechy". Zaiste, śmiałe to wyznanie, daleki strzał – i niejednego ustrzelonego królika można by z tego kapelusza wyciągnąć.

Po pierwsze, jakiż subtelny przyczyczek wymierzony niejakiemu Adamowi M., wieszczowi (brrr!) narodowemu (łeee!), białemu (a fe!), rodzaju (niestety) męskiego, któremu w dodatku nijak nie da się przypisać odstępstw od heterodoksji (tak jak się dało Julowi, jego słowackiemu rywalowi). Pan Adam, który nieopatrznie wyraził to plebejskie pragnienie: „O gdybym kiedy dożył tej pociechy, żeby te księgi trafiły pod strzechy!", zapewne spłonił się ze wstydu w zaświatach, słysząc oświadczenie pani Olgi. Ale, ale! W zasadzie wszystko jest na swoim miejscu, bo kudy tam buraczanemu „Panu Tadeuszowi" do czarodziejskiej rafinady „Empuzjona"!

Po drugie, godny miecza Damoklesowego podział społeczeństwa na „nieidiotów", tj. czytelników p. Olgi Tokarczuk, i „idiotów", czyli pani Tokarczuk nieczytelników. Śmiałość aż dech zapiera! Że też nikt dotąd nie wpadł na tak prosty test sprawności umysłowej!

Po trzecie, wszakże rodzi się pewien domysł, pewna wątpliwość, niecne podejrzenie – czy aby nie... (ach, ciężko to wypowiedzieć!), czy aby nie mamy do czynienia z goryczą naszej noblistki spowodowanej tzw. klapą? Czy aby tej epokowej deklaracji woli nie inspiruje obawa (granicząca z pewnością), że dzieło, które dziś wyszło „spod prasy", jutro trafi do księgarni sieci TK (taniej książki), a może i jeszcze dalej? Że – niejako na przekór wszystkim laudacjom – niewdzięczność „idiotów" będzie aż tak powszechna? Tu należałoby dodać coś jeszcze mową wiązaną o polskim ciemnogrodzie, katolickim kołtuństwie, mięsożernym patriarchacie itp. – ale już sobie daruję.

Z wyrazami szacunku dla reakcji, pardon, redakcji
Maciej Rybicki

Podziękowania

Chciałbym podziękować Państwu za wiele cennych artykułów. Wasza subskrypcja pozwala na dotarcie do ciekawych informacji, przygotowanych przez interesujące pióra.

Szczególnie dziękuję pp. Łukaszowi Warzesze i Wojciechowi Golonce, którzy wbrew dominującej narracji w mediach piszą prawdziwie o wymuszonym małżeństwie dynastycznym polsko-ukraińskim.

[...]

Pozdrawiam serdecznie
Wojciech Miotke,
Rumia

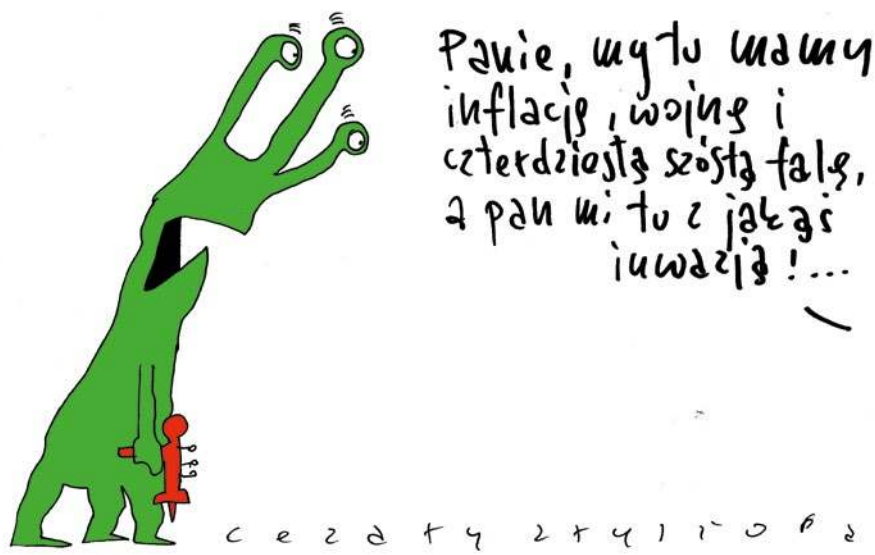

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bardzo nagła dymisja

Z dniem 20 lipca otrzymałem dymisję ze stanowiska Pełnomocnika Rządu ds. Strategicznej Struktury Energetycznej oraz Sekretarza Stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Jako ustne uzasadnienie powiedziano mi, że nie nadaję się do współpracy" – z tego krótkiego wpisu na Facebooku Polska dowiedziała się o dymisji Piotra Naimskiego.

O tym, jak bardzo Naimski uznał swoje odejście z rządu za coś niezwykle niesprawiedliwego i niezasłużonego, świadczyło kolejne zdanie w facebookowym komunikacie: „Nie pierwsza to w moim już dość długim życiu dymisja. Ta przypada 30 lat po obaleniu rządu premiera Jana Olszewskiego, w którym pełniłem funkcję szefa UOP. Wtedy Wałęsa wyrzucał mnie rękami tymczasowego premiera Pawlaka". Naimski nie postawił kropki nad i – nie porównał Mateusza Morawieckiego z ludźmi z otoczenia Wałęsy. Jednak i tak wpis wskazuje, że do zerwania musiało dojść w bardzo dramatycznych okolicznościach.

Naimski to jeden z niewielu już weteranów opozycji z czasów PRL w czynnej polityce rządowej. Jeśli uznać jego wejście do kontestującej komunizm harcerskiej drużyny „Czarna Jedynka" w 1964 r. za początek jego kontestacji wobec PRL, to ma on za sobą imponującą 25-letnią kartę dysydencką. Akcję przeciw prosowieckim zmianom w konstytucji w 1975 r., współzałożenie Komitetu Obrony Robotników, niezależne demonstracje ku czci powstania warszawskiego, udział w rewolucji Solidarności i wreszcie – w 1992 r. kluczowa dla prób przeprowadzenia lustracji rola szefa UOP.

W kolejnych dwóch rządach PiS był rzecznikiem uniezależnienia Polski od energii z Rosji. Był twórcą projektu Baltic Pipe, który 27 września, już bez niego, zostanie oddany do eksploatacji.

Morawiecki rozstał się więc bardzo gwałtownie z postacią pomnikową. Styl, w jakim tego dokonano, wywołał już spore niezadowolenie w kręgach prawicy. Antoni Macierewicz nazwał tę dymisję „osłabianiem Polski". Publicyści martwią się, że dymisja ta przekreśla możliwość wystawienia Naimskiego w wyborach prezydenckich w 2025 r.

Morawieckiego i Naimskiego dzieli 17 lat życia. To niemal generacja. Na pewno ta różnica wieku wpływała na inne spojrzenie na wiele spraw. Spekuluje się, że do konfliktu mogło dojść wokół decyzji o połączeniu Orlenu z Lotosem, przeciwko czemu był Naimski. Inne przecieki mówią o krytycyzmie premiera wokół polityki Naimskiego w kwestii budowy energetyki atomowej. Według tych opinii Naimski miał się skupiać na inwestorach amerykańskich, lekceważąc Koreę Południową. Jeszcze inni krytykują jego politykę w sprawie energii atomowej, przygotowania dotyczące magazynowania energii i przygotowywania linii przesyłowych.

Nie jestem dziennikarzem ekonomicznym. Nie będę oceniał wszystkich wymienionych powyżej sporów. Mam świadomość, że w polityce każdego rządu na samym końcu to szef gabinetu ma decydujący głos. Jednak tak zasłużona postać powinna być traktowana inaczej niż liczni ministrowie, z którymi żegnał się Mateusz Morawiecki. Wrażliwości geopolitycznej Naimskiego może zabraknąć w trakcie narad nad strategicznymi decyzjami. Bo Naimski to jest ktoś. A w takim wypadku podwładnego z rządu traktuje się inaczej. ©℗

BALTIC PIPE WPIĘTY DO SIECI

Gazociąg podmorski Baltic Pipe jest już pod względem technicznym elementem krajowego systemu przesyłowego. Jak podała firma GAZ-SYSTEM, w lipcu wykonane zostały ostatnie spoiny łączące gazociąg z duńską siecią przesyłową w mieście Faxe w Danii oraz z polskim systemem przesyłowym w Pogorzelicy. Tym samym powstał nowy korytarz dostaw gazu ziemnego do Europy Środkowej. Przesył ma ruszyć już w październiku, a pełną przepustowość Baltic Pipe ma osiągnąć w 2023 r. ***(jap)*** ©℗

FOT. ERIC ESPADA/GETTY IMAGES

LEWANDOWSKI JUŻ OFICJALNIE W BARCELONIE

„Robert Lewandowski to maszyna" – tak o swym nowym napastniku napisał na Twitterze jego klub: FC Barcelona. Hiszpanie są tak szczęśliwi z pozyskania „Lewego", że klub zapewnił w zawartej na cztery sezony umowie, że Polak będzie mógł występować z numerem 9 na koszulce. Tylko na sprzedaży koszulek z nazwiskiem Lewandowskiego klub ma zainkasować – według obliczeń dziennika „Sport" – ok. 20 mln euro. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Prezes PiS to jednak okrutny człowiek. Lato, ludzie chcą się bawić, niektórzy otwierają nawet szampany, a były szeregowy wicepremier wszystko zepsuł. Korki strzelały tu i ówdzie w PiS po naszej ubiegłotygodniowej informacji, że Mateusz ma być premierem najdalej do wyborów, a potem się zobaczy. Kaczafi wystąpił więc i powiedział, że zwycięskich premierów się nie zmienia. Nas zaciekawiła bardziej niespodziewana wypowiedź Achima Brudzińskiego, który zawsze mówi, co myśli, a myśli, co wie. „Dzisiaj premierem jest Morawiecki. Koniec, kropka". Tak sobie myślimy – a po co tu słowo „dzisiaj"?

W ubiegłym tygodniu media obiegła wiadomość o dymisji Piotra Naimskiego z funkcji pełnomocnika rządu do spraw dywersyfikacji źródeł energii. Po ludzku mówiąc, Naimski był odpowiedzialny za uniezależnienie nas od ruskich. Naimski miał podobno paść z ręki Obajtka, bo sprzeciwiał się fuzji Orlenu z Lotosem. Owszem. Ale to tylko część prawdy. Mniejsza.

Druga część jest znacznie ciekawsza. Otóż Naimski miał również kwestionować plany przywrócenia połączenia elektrycznego linią bardzo wysokiego napięcia z Ukrainą. Chodzi o nieczynną tzw. siedemset pięćdziesiątkę łączącą Chmielnicką Elektrownię Atomową z podrzeszowską Widełką. Projekt z PRL, wygaszony po upadku komuny. Ale słupy przesyłowe stoją, więc małym kosztem można linię przywrócić do użytku. Tak aby Ukraińcy mogli sprzedawać prąd, którego mają w nadmiarze, Polakom. A nawet Niemcom.

W czym więc problem? – mógłby ktoś spytać. Otóż problem polega na tym, że nie jest to pomysł PiS, tylko… Jana Kulczyka. Doktor Jan właśnie w tej sprawie lobbował kiedyś u Radka Sikorskiego czy Pawła Grasia oraz innych notabli Platformy. Niestety, najbogatszy Polak opuścił ten padół łez, a Platforma straciła władzę – więc całą ideę szlag trafił.

Od czego są jednak inni najbogatsi Polacy? Jeden z nich uznał, że może warto wskrzesić tę ideę. No i skoro spadkobiercy Doktora Jana mają pod górkę z obecnym rządem, to może przejąć i reanimować ich pomysł. Panowie G. są w tej sprawie rozdarci jak sosna Żeromskiego. Z jednej strony – pomysł Kulczyka. Z drugiej – bije w ruskich i wzmacnia Ukrainę. Tak się tylko zastanawiamy, czy warto zastępować jednego oligarchę innym. Zwłaszcza że PiS do oligarchów szczęścia nie ma.

Kończąc wątek energetyczny: o Piotrze Naimskim krąży w PiS ładne powiedzonko – „Łatwiej do czegoś przekonać ścianę niż Naimskiego". My to akurat w ludziach szanujemy.

Postscriptum: gdyby ktoś pytał, kto ma być nowym pełnomocnikiem rządu do spraw dywersyfikacji źródeł energii – choć ta funkcja może się teraz inaczej nazywać – to odpowiadamy, że aktualnie najwyżej stoją akcje Krzysztofa Tchórzewskiego. Będzie więc wielki powrót dawnej gwiazdy Porozumienia Polskich Chrześcijańskich Demokratów, w którym swego czasu byli też Marek Kuchciński i Krzysztof Jurgiel.

Z Sądu Najwyższego. Pamiętacie sędziego Iwulskiego? To ten facet w todze, który w stanie wojennym skazywał ludzi z dekretu o stanie wojennym właśnie. Decyzją, i to w dodatku prawomocną, tegoż samego Sądu Najwyższego został pozbawiony połowy uposażenia i możliwości orzekania. I co? I nic. Nadal czesze pełną pensję i nadal orzeka. I pewnie przy najbliższym rozdaniu będzie orzekał, kto z nowych sędziów nadal może orzekać. Może zlituje się nad pierwszą prezes Sądu Najwyższego, bo okazała się na tyle niezawisła, że nie respektowała orzeczeń sądu, na którego czele stoi.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jest wielkie zamieszanie po słowach noblistki Tokarczuk Olgi, która powiedziała, że pisze książki dla ludzi podobnych do siebie, to znaczy inteligentnych. Dla krajanów. A nie pod strzechy dla idiotów. Zwróciliśmy jednak uwagę, że wypowiedziała te słowa na Festiwalu Góry Literatury, na którym w tym roku brylował także znany pisarz Donald Tusk. Zawsze mieliśmy aspiracje, ale aż tak inteligentni to chyba być nie chcemy.

Apropos Tuska i jego wypowiedzi. W związku z pomysłem czterodniowego tygodnia pracy najbardziej rozbawiła nas analiza Konfederacji Lewiatan. Wynika z niej, że generalnie to nie jest dobry pomysł. Ale być może mógłby być dobry, gdyby wprowadzić go mądrze. Co w tym śmiesznego? – zapytacie. Odpowiadamy: trzy słowa. Tusk. Wprowadzić. Mądrze.

Na koniec klimaty wakacyjne. Dostajemy czasem książkę albo film do zrecenzowania, lecz daleko nam do dziennikarzy od motoryzacji albo turystyki. Ci za darmochę testują wypasione bryki albo latają na Seszele.

Okazało się jednak, że nie zawsze dziennikarze turystyczni są łasi na atrakcje. Spotkaliśmy ostatnio przedstawiciela pewnej instytucji promującej turystykę w naszym kraju. Zwykle takie objazdy cieszyły się wielką popularnością, ale teraz kolejni dziennikarze zagraniczni zaczęli odwoływać swoją wizytę w Polsce. Dlaczego? Tour miał tym razem objąć tereny południowej Polski. Dziennikarze tłumaczyli więc, że chętnie skorzystają z oferty, ale dopiero jak się skończy wojna na Ukrainie, bo jednak Polska leży zbyt blisko Kijowa. Zaproponowaliśmy więc, żeby owa instytucja zorganizowała trip po przesmyku suwalskim pod hasłem „Suwalszczyzna – tam się rozerwiesz". ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4c

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Stan oburzenia

Gdyby dało się jakoś przetworzyć na elektryczność energię, którą Polacy zużywają na oburzanie się, moglibyśmy uratować całą Europę przed kryzysem. Cała polska szczątkowa „debata publiczna" – nic się tu nie zmienia od lat – sprowadza się do artykułowania oburzenia, że ktoś coś powiedział albo coś zrobił.

W naszych mediach, parafrazując zachodnią zasadę „good news is no news", wiadomość o czymś, co nie oburza, to żadna wiadomość. Nasze media nie zawracają nam głowy poważnymi sprawami, jakie dzieją się na szerokim świecie, nie informują nas o krzątaninie globalistów, klimatystów, eurofederalistów o pojawiających się pomysłach na zmienioną sytuację geopolityczną. Z całej przestrzeni informacyjnej wydłubią jakiś wpis na Twitterze albo jakąś wypowiedź podkręcą, jeśli w oryginale nie brzmi dość oburzająco – i jazda, grzejemy news dnia tak, że na nic innego już nie starcza miejsca i czasu.

Przy czym polskie oburzenie ma charakter pulsacyjny, jest jak prąd zmienny – kiedy jedna połowa Polski się oburza, to druga się nie oburza, a potem oburza się ta druga, a pierwsza przechodzi w fazę nieoburzenia. A najciekawsze jest to, że obie połowy oburza to samo, ale tylko u innych.

Na przykład: „Gazeta Polska" dała tzw. mocną okładkę z Tuskiem ucharakteryzowanym na Hitlera. I wszyscy ci, którzy oburzali się chamskimi okładkami Lisowego „Newsweeka", są zachwyceni, a ci, którzy się tymi okładkami zachwycali, są oburzeni. Tusk zapowiedział, że zorganizuje na ulicy silnych ludzi, którzy za łeb wyciągną z gabinetów prezesa NBP i przewodniczącą TK, i zachwyceni są ci, którzy się oburzali, że „PiS chce przejmować władzę na ulicy", za to oburzają się, że nieznana poza rodzinnym miastem pani z PiS pochwaliła się fotką z drogiego pola golfowego, twierdząc, że pojawianie się tam czyni ją elitą w przeciwieństwie do „haratających w gałę", którzy elitą nie są.

Przykładów dostarcza każdy kolejny dzień, nowe powody do oburzenia wypierają z pamięci wczorajsze, Polska nieustannie pulsuje gniewem i oburzeniem na siebie samą. A świat jej w tym czasie ucieka. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Już tylko trzy tygodnie

Za 20 dni kolejna rocznica Bitwy Warszawskiej. Okazja, by świat przypomniał sobie (a raczej, by się po prostu dowiedział), że to nasi dziadkowie go ocalili. A także by głośno potępić uniwersalne zło komunizmu oraz tych, którzy je banalizują. Ale by to zrobić – obchody i jego orędzie muszą mieć w końcu charakter międzynarodowy. Chodzi przecież o wydarzenie nie mniej ważne niż lądowanie aliantów w Normandii ćwierć wieku później.

102. rocznica to nie setna ani nawet 110. czy 111. Nie zmienia to faktu, że choćby na niższym poziomie, ale powinni brać w nim udział przedstawiciele innych państw, szczególnie tych, które doświadczyły sowieckich najazdów. To doskonała okazja, by w końcu powiedzieć, że armia rosyjska maszeruje na Ukrainę pod tymi samymi sztandarami, co armia bolszewicka sto lat temu, a organizator tamtego najazdu, wynalazca totalitaryzmu, Władimir Lenin, odbiera ciągle publiczny kult od władców dzisiejszej Rosji.

Tym bardziej należy mocno przypomnieć słowa marszałka Piłsudskiego, że nie jesteśmy „przeciwko narodowi rosyjskiemu, a przeciwko reżimowi, dla którego nadrzędną zasadą jest terror". Przeciw tym, którzy nigdy nie ukarali i nie potępili systemu, który zamordował więcej Rosjan niż nazizm Niemców.

Reakcje przemyślane są lepsze od mechanicznych. Dzisiaj, gdy Unia Europejska wykorzystuje wojnę do narzucania Ukrainie ideologii genderowej, rocznica Bitwy Warszawskiej to świetna okazja, by w Warszawie oddać głos chrześcijańskiej Ukrainie: arcybiskupom Szewczukowi i Epifaniuszowi. Przypomnienie i potępienie przez nich sowieckiego komunizmu zabrzmiałoby najmocniej. A my powinniśmy przypomnieć rosyjskich i ukraińskich żołnierzy, którzy wspólnie z Wojskiem Polskim bronili Warszawy i świata przed komunizmem. Bo uniwersalne potępienie zła komunizmu jest najlepszą inwestycją w przyszłość Europy, takiej, która będzie bezpieczna dla niepodległej Polski. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O emocjach zastępczych

Zdychający komunizm Gierka był tak żałosny, że chwilami budził litość. I oczywiście pusty, sardoniczny śmiech, który przynajmniej na chwilkę pozwalał zapomnieć o ponurej rzeczywistości pustych słów i półek. Kwitły kabarety. Spektakle naszych wspaniałych śmieszków były perełkami dowcipu, nanizanego na nitkę subtelnej ironii. Pozwalały łatwiej ten koszmar przeżyć.

Natchnione żarty potrafiły nawet przeniknąć z estrady do absurdalnej rzeczywistości. Jeden z moich przyjaciół, arcykpiarz obdarzony przez Boga ponadprzeciętnym poczuciem humoru, zakończył brawurowo studia prawnicze pracą magisterską na temat... opakowań zastępczych (21 stron z przypisami). W prześmiewczym spisku, obnażającym tę marność nad marnościami, z całą pewnością brali udział jego wykładowcy. Chapeau bas!

Młodsi czytelnicy pewnie nie wiedzą, o co chodzi. Otóż komunizm nie był nawet w stanie porządnie opakować swoich całkowicie pozbawionych wdzięku produktów. Sprzedawane były często w pakowym papierze albo z ohydnymi etykietami z nadrukiem „Opakowanie zastępcze". Wytłoczone płyty naszych wspaniałych jazzmanów leżały w magazynie przez rok i więcej, czekając, aż komunizm wyda z siebie godne obwoluty. Czasem zaklęta w winylu natchniona muzyka wychodziła w siermiężnym opakowaniu z szarej tektury.

Lata minęły, ale idea przetrwała. Szczególnie w umysłach naszej żurnalii sportowej. Choć à rebours. Sportowe media próbują ładnie opakować i upudrować żałosną kopaninę naszej piłki klubowej, która niczym nie różni się od tego, co dzieje się boiskach w Burkina Faso. Nasza reprezentacja ostatni dobry mecz zagrała sześć lat temu. Cóż więc robić? Wobec braku pozytywnych emocji związanych z futbolem kopanym ktoś genialny wpadł na pomysł, by zrekompensować je emocjami zastępczymi, które towarzyszą futbolowi handlowanemu. I tak doczekaliśmy się zalewu, a właściwie bombardowania informacjami i komentarzami na temat perypetii transferowych Roberta Lewandowskiego. Już chyba lepsza nasza piłka ligowa. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

SĄSIEDZKA PRZYSŁUGA

Zapomniana nieco, ale wciąż aspirująca piosenkarkocelebrytka Honorata Skarbek wypuściła nowy singiel. Stało się to w minionym tygodniu w nocy z poniedziałku na wtorek. Szczęśliwa Honka postanowiła uczcić to ważne wydarzenie, nie przewidziała jednak, że jej świętowanie może przeszkadzać sąsiadom. Na Instagramie, pod wpisem, w którym Honorata ekscytuje się swoim sukcesem, głos zabrał jej sąsiad. „Ja nie mam dobrych wspomnień z tą piosenką. Jest 8 rano we wtorek, więc Ty pewnie odsypiasz nocną premierę »Wulkanu«. Ale ja jestem w pracy, do której musiałem wstać, choć po tym, jak nap..... lający z Twoich głośników »Wulkan« mnie obudził, nie mogłem zasnąć do 3.00 w nocy. Honorata, przecież obok Ciebie mieszkają rodziny z małymi dziećmi. Pomyślałaś o tym? Dla anonimowych ludzi w Internecie piękne zdjęcia i storiski, a ludzi, z którymi żyjesz przez ścianę, którzy mówią Ci »dzień dobry«, jak wychodzisz z Osjaną na spacer, którzy przynoszą Ci paczki, jak kurier pomyli adres, masz gdzieś? [...] Pozdrawiam, sąsiad z góry, który nie chciał się w nocy z Tobą bawić, tylko musiał walić w Twoje drzwi, żebyś przestała budzić pół Warszawy" – napisał wściekły sąsiad. „Chciałbym podkreślić, że oprócz influencerstwa i Internetu istnieje normalne życie" – dodał. W sumie Honka powinna jakieś kwiaty ogarnąć wkurzonemu sąsiadowi. Nie, nie w ramach przeprosin, a podziękowań. Tylko dzięki niemu ona i informacja o jakiejś jej piosence wylądowały na Pudelku.

FOT. PAWEŁ PRZYBYSZEWSKI/FORUM

NOWY TYDZIEŃ, NOWA AFERA

Jeśli myśleliście, że nic nie jest w stanie przebić telenoweli z aktorem Sebastianem Fabijańskim, tłumaczącym się publicznie ze swoich schadzek z transcelebrytą Rafalalą, to okazuje się, że nagle wkracza nowy serial, tym razem z aktorem Antkiem Królikowskim, jego niebawem ekszoną, synkiem, matką i teściową brata. W skrócie: aktor Antoni Królikowski wziął głośny i piękny ślub z celebrytką-instagramerką Joanną Opozdą, bo ta spodziewała się ich wspólnego dziecka. Jako że jest znany z rozrywkowego stylu życia, nie wytrwał w wierności nawet do porodu. Porzucił żonę tuż przed rozwiązaniem, by związać się z sąsiadką Izabelą. O wszystkim rozpisywały się plotkarskie media. Teraz Opozda chciała organizować chrzest syna, ale postanowiła w ostatniej chwili go odwołać, nie informując o tym eksmęża ani jego rodziny. A dlaczego odwołała uroczystość? Otóż, okazało się, że Antoni chciał na chrzest zaprosić ojca Opozdy, z którym ona sama nie utrzymuje kontaktu, a który to ojciec wcześniej groził Antkowi (gdy ten jeszcze był w szczęśliwym związku z Joanną) bronią. Tak, bronią palną. Teraz jednak, według zasady wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, panowie nagle zakopali wojenny topór. Wracając do sedna sprawy, chrzest się nie odbył, a Antoni wraz z mamą, aktorką Małgorzatą Ostrowską-Królikowską, sterczeli kilkanaście minut bez sensu pod kościołem ku uciesze paparazzich. Bardziej zadowoleni niż ci ostatni są chyba tylko czytelnicy Pudelka. I Sebastian Fabijański.

FOT. PAWEŁ GRONADA

JAK W „MODZIE NA SUKCES"

Zwłaszcza że nic nie wskazuje na to, by serial Królikowski-Opozda miał się ku końcowi. Wręcz przeciwnie, akcja się rozkręca. Trwa właśnie wzajemne publiczne oskarżanie, publikowanie prywatnych SMS-ów, przelewów i innych kompromitujących dowodów. Opozda zarzuca swojemu eks, że nie interesował się dzieckiem, że woli spędzać czas z kochanką, że nie płaci alimentów, że nigdy nie zmienił mu pieluchy i nie ma pojęcia o dzieciach – bo dwumiesięcznemu niemowlęciu chciał kupić kostkę Rubika i karmić go pierogami. Królikowski odpowiada, że to wszystko stek kłamstw i to Opozda utrudnia mu kontakty z dzieckiem i kłamie na temat niepłacenia alimentów. O przyzwoitości Antoniego zapewniają jego matka, brat i matka żony brata, która także publicznie zabrała głos. „Ja wiem, jak jest. Masz wsparcie. A ci biedni, omamieni ludzie przez J.O. nic nie wiedzą, jaka ona jest. I blokuje dostęp do syna" – napisała na Instagramie teściowa brata Antka. Powoli dochodzimy do momentu, w którym trzeba będzie to rozrysować, bo sytuacja zaczyna komplikować się bardziej niż w „Modzie na sukces".

SZANUJ MILIARDERA!

Miliarder Józef Wojciechowski, były prezes Polonii Warszawa, gości na łamach plotkarskich mediów głównie za sprawą swojego związku z młodszą o 48 lat celebrytką Patrycją Tuchlińską (w ubiegłym roku para doczekała się pierwszego potomka). Wojciechowski rzadko udziela wywiadów, ale Pudelek pochylił się nad rozmową, która ukazała się niedawno jako część książki „Chwila z...". W rozmowie tej Wojciechowski wspomina, że choć dorabiał się w USA, to dopiero w Polsce poczuł się naprawdę bogaty. Dodał też, że tam za oceanem ludzi majętnych szanuje się bardziej niż u nas. – Kiedy ludzie widzą majętnego człowieka, podchodzą do niego z szacunkiem, chcą nawiązać kontakty prywatne i biznesowe. Dla Amerykanów pieniądze są wyznacznikiem wysokiej inteligencji. Jak to mówią Żydzi: „Pieniądze nie biorą się z dużych przychodów, ale z dużych oszczędności".
W Polsce majętnych ludzi tak się nie szanuje – skarży się miliarder. Wychodzi na to, że jednak nie wszystko da się kupić. To akurat chyba dobra informacja, czyż nie? ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak pewnie wiecie, Robert Lewandowski ma nowy klub. Jest to hiszpańska FC Barcelona. I tenże nowy klub, przedstawiając Lewandowskiego, napisał o nim, iż jest on „German striker" (dla podkarpacia – „niemieckim napastnikiem").

Of kors w tym kraju zapanowało wielkie oburzenie, iż jak to, nasz skarb narodowy, Polaka rodaka, jako Niemca przedstawiać? Jak to możliwe, jak on nasz, z tego kraju?

Otósh naszym zdaniem był to ze strony Hiszpanów całkiem miły gest, iż wiadomo, że korzystniej być za granicą odbieranym jako Niemiec niż jako Polak. Sami tego doświadczyliśmy i było nam przyjemnie. Sądzimy więc, iż w takiej pomyłce nie ma niczego złego i nie ma na co się obrażać.

Poza tym przecież to w dobie zjednoczonej Europy żadna pomyłka. Niedługo nie będziemy zwracać uwagi na takie relikty średniowiecza jak narodowość, więc może teraz mamy okazję, iżby zrobić do tego kolejny krok.

A do wąsatych Januszów mamy apel: serio, nie żałujcie Lewandowskiego Niemcom, bądźcie bardziej otwarci i tolerancyjni.

Wogóle to w ostatnich dniach obserwujemy jakiś festiwal nastrojów antyniemieckich. Politycy partii rządzącej też się uczepili tych biednych Niemców. Na przykład niedawno naczelnik Kaczafi powiedział, iż „Polacy już nie jeżdżą do Niemiec na szparagi".

No i pięknie. To w takim razie kto te szparagi im pozbiera? Mają się zmarnować? Czy naprawdę tak ciężko pomóc, kiedy sąsiad jest w potrzebie? A jak my będziemy w potrzebie, żeby zadbać o praworządność, to kogo będziemy wtedy prosić o wsparcie? No właśnie.

Szparagi to jedna sprawa, a druga to gaz. Pewien niemiecki polityk zauważył, iż Polacy powinni się podzielić z Niemcami swoimi zapasami gazu.

Gdybyśmy tylko wiedzieli jak, to na własnych plecach byśmy trochę gazu im zanieśli, ale niestety w naszych kawalerkach na przedmieściach nie mamy gazu, a na stacji O...n nie będziemy go tankować po pierwsze z powodu klauzuli sumienia, a po drugie dlatego, iż i tak nie mamy kanistra, iżby go zatankować.

Ale skoro po polskich drogach jeździ tyle starych polonezów na gaz, to może by je skonfiskować wąsatym Januszom i wysłać do Niemiec? Polonezy sobie rozbiorą, gaz zostawią, korzyści dla wszystkich!

Polacy natomiast to potrafią siary narobić nawet nie tyle na zakupach, ile jeszcze przed zakupami. Otósh widzieliśmy wyniki badania, iż aż 39 proc. Polaków „aktywnie poszukuje promocji". A więc jednak wciąż pokutuje to przekonanie, że należy szukać harnasia tańszego o 20 gr czy szynkowej przecenionej o 30 proc.

My natomiast, kiedy idziemy na zakupy do delikatesów, nie zwracamy uwagi na ceny, iż zawsze kupujemy to samo, ponieważ cenimy sobie jakościowe i sprawdzone produkty.

A tego, czy zostawiamy w delikatesach więcej pieniędzy, nie wiemy, nie zwróciliśmy na to uwagi – na szczęście jesteśmy na bieżąco z nowinkami technologicznymi i płacimy kartą. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

To prawie to samo

Marta, na przyszłość naucz się tych skrótów. Bo potem trochę to kompromitująco wychodzi.
Oj, Donald, daj spokój, przecież wszyscy wiedzieli, że chodzi o PCK.

Nie, właśnie nie PCK...
No dobra, to KPC, jaka to różnica.

Spora, bo KPC to Kodeks postępowania cywilnego...
Ojej, teraz to już mi namieszałeś. No to jak się nazywa to coś, co oni tam chcą zbudować?

CPK. Centralny Port Komunikacyjny.
No to prawie to samo, jakie to ma znaczenie, zło jest złem, Kaczyński musi odejść, precz z PCK!

Ale właśnie nie z PCK! Przecież to jest Polski Czerwony Krzyż!
To już jest czepianie się! Co ty jesteś – redaktor z jakiejś telewizji rządowej?!

Ale, na litość, przecież chyba możesz się nauczyć, w jakiej kolejności są te trzy litery?
Oj, no dobra, dobra, przecież wiem, że KPC. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] blisko 50 mln zł za podręczniki do nauki HiT. Tyle będzie kosztowała indoktrynacja młodzieży przez ministra Czarnka".

BOGDAN KLICH, *senator Koalicji Obywatelskiej, o podręczniku szkolnym do przedmiotu historia i teraźniejszość*

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Kontrproduktywne sankcje

Łukasz Warzecha

W Polsce obłożenie Rosji sankcjami uznawane jest za dogmat. Przede wszystkim dlatego, że to moralnie słuszne. Jednak sankcje mają sens, jeśli prowadzą do oczekiwanych skutków. Na razie nic takiego się nie dzieje, za to poważnie cierpi Europa

Waszyngton jest słusznie uznawany za czempiona wsparcia dla Ukrainy. Naszym zwolennikom sankcji powinny jednak dać do myślenia informacje, że administracja prezydenta Joego Bidena poważnie rozważa dopuszczenie importu rosyjskiej ropy, choć z pewnymi ograniczeniami. Trzeba przy tym pamiętać, że ceny na amerykańskich pylonach biją rekordy nieznane od czasu kryzysu paliwowego w latach 70., a przed Amerykanami listopadowe wybory do Kongresu. Może więc jednak unijne sankcje nie są takim genialnym pomysłem?

Jeśli przypomnieć sobie narrację z marca albo kwietnia, gdy wprowadzano pierwsze unijne pakiety sankcji, to okaże się, że była ona wręcz hurraoptymistyczna oraz opierała się na myśleniu życzeniowym. Zwłaszcza z polskiej strony – jako że nasz kraj był w absolutnej awangardzie – szedł przekaz, że odcięcie Rosji od dochodów ze sprzedaży jej surowców naturalnych do Europy szybko przyczyni się do ukraińskiego zwycięstwa, które zresztą w tamtej fazie wojny miało być o krok. Polskie i zagraniczne media epatowały obrazami kolejek przed bankami i bankomatami w Moskwie i Petersburgu, co miało wieszczyć rychły bunt Rosjan przeciwko wojnie oraz Władimirowi Putinowi.

KRYZYS WĘGLOWY NA WŁASNE ŻYCZENIE

Trzy miesiące później niemal nic z tamtych rachub nie zostało. Rosja nie tylko się nie wali, lecz także z pewnymi sukcesami nadal toczy wojnę i nie widać, aby sankcje miały jakiś wyraźny wpływ na jej zdolności w tej mierze. Sami Rosjanie nie tylko się nie zbuntowali, lecz także w zdecydowanej większości wojnę popierają. Sondaż z końca maja, przeprowadzony przez Centrum Lewady, uznawane za jedyny wiarygodny ośrodek badania opinii publicznej w Rosji, wykazał, że rosyjskie działania na Ukrainie mają poparcie aż 77 proc. Rosjan. Na swoje surowce Rosja znalazła też inne rynki zbytu.

Tymczasem sankcje wydają się bardziej szkodzić Europie niż Putinowi. Objęto nimi już ropę – ceny benzyny szaleją i dokładają się do galopującej inflacji. W tej konkurencji w UE Polska znów wysuwa się na czoło. Od 10 sierpnia wejdzie unijne embargo na rosyjski węgiel, ale Polska wprowadziła już własne od 15 kwietnia. Skutki możemy właśnie obserwować – sami zgotowaliśmy sobie kryzys węglowy. W ramach walki z nim rząd, w jakiejś magicznej wierze, że węgla przybędzie od wrzucenia pieniędzy na rynek, postanowił rozdać posiadaczom pieców węglowych po 3 tys. zł (na cel dowolny – nie ma tu ograniczeń), napędzając w ten sposób inflację dodatkowymi 11,5 mld zł wrzuconymi na rynek.

Dotychczas uzgodnione sankcje nie obejmują natomiast jak dotąd rosyjskiego gazu. I tu ciekawa kwestia: gdy w ubiegłym tygodniu decydowało się, czy po – jak to oficjalnie opisano – kon-

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

FOT. ADOBE STOCK

serwacji technicznej i rzekomych z nią związanych problemach gaz do Europy znów popłynie przez Nord Stream 1, nie było już jakoś słychać po polskiej stronie, ani też nigdzie indziej, bojowych głosów, że niech sobie Rosja kurek zakręca, a my sobie poradzimy. Przeciwnie – wszyscy z drżeniem czekali, czy gaz znów popłynie. Gdyby nie popłynął, Europie groziłby prawdziwy energetyczny krach, a Polska mogłaby zapomnieć o uzupełnieniu naszych niedoborów rewersem na rurociągu jamalskim, czyli płynącym z Niemiec gazem w dużej części tak naprawdę rosyjskim.

Być może więc w planie sankcji od początku brakowało namysłu i logiki. Nie ma wątpliwości, że Europa była nadmiernie uzależniona od rosyjskich surowców. Wojna jest dobrą okazją, żeby z tym uzależnieniem zerwać, ale powinno się to odbyć w uporządkowany sposób, który w możliwie niewielkim stopniu uderzałby w europejskie gospodarkę i obywateli. Jeśli zaś ma się to stać poprzez wprowadzanie sankcji, to powinny one spełniać swoje zadanie, czyli bardziej szkodzić temu, przeciwko komu są skierowane, a nie temu, który je nakłada.

OZNAK BUNTU NIE WIDAĆ

Do tej pory Unii udało się uzgodnić i wprowadzić w życie sześć pakietów sankcji związanych z wojną na Ukrainie. Przy czym pierwszy z nich został uzgodniony tuż przed jej wybuchem i był związany z uznaniem przez Moskwę dwóch samozwańczych republik obejmujących część terytorium Donbasu. Zakres tych pakietów można podzielić na trzy obszary. Pierwszy, który nie ma specjalnego wpływu na przebieg wojny, ale w teorii miał mieć wpływ na morale putinowskiej elity, dotyczył osobistych majątków osób związanych z Kremlem. Sankcjami tego typu objęto blisko 1,2 tys. osób.

Polska znów zadziałała w tej sprawie jak prymus, wprowadzając własną ustawę sankcyjną. Jej skutki to zamrożenie majątku firm, których związki z Kremlem są co najmniej wątpliwe, takie jak Maga Foods czy Medmix Polska. Skutkiem są zwolnienia pracowników, upadki przedsiębiorstw, brak wpływów podatkowych. W ramach zapobiegania tym skutkom rząd zaproponował nowelizację ustawy, która jednak pozwoli Skarbowi Państwa przejąć praktycznie dowolną objętą sankcjami firmę lub przynajmniej wprowadzić tam zarząd komisaryczny. Ta nowelizacja wywołuje nawet większe wątpliwości niż pierwotna ustawa.

Na podstawie tego typu sankcji w UE zamrożono do tej pory zasoby warte ok. 14 mld euro. Nie ma jednak nadal zgody, jak z tymi aktywami postępować. Komisarz UE do spraw sprawiedliwości Didier Reynders zapowiada, że ostatecznym celem jest ich konfiskata i przekazanie pieniędzy na fundusz na rzecz Ukrainy, ale można się spodziewać, że część państw UE będzie miała z takim działaniem problem. Po pierwsze dlatego, że grają na utrzymanie jakkolwiek wątłej, ale jednak szansy na przyszłe porozumienie z Rosją. Po drugie – ponieważ jest to wkroczenie na grząski obszar prawa własności. Dla wielu państw UE jest to jednak problem większy niż dla polskiego rządu, który niespecjalnie wydaje się nim przejmować.

Istniała nadzieja, że ten rodzaj sankcji będzie sprzyjać wywołaniu politycznej niestabilności w Moskwie. W końcu dostęp do swoich dóbr w Europie straciła spora grupa rosyjskich oligarchów, którzy dotychczas korzystali z nich na uprzywilejowanej pozycji. W odruchu buntu przeciwko takim skutkom wojny upatrywano szansy na wzniecenie buntu w rosyjskiej elicie. Tak się jednak nie stało. Jakie mechanizmy zadziałały, czy była to kombinacja marchewki i kija czy specyficznie rozumiany własny interes, czy może twardy nacisk służb – nie wiadomo, bo o tym, co dzieje się w rosyjskiej elicie, nie wiemy praktycznie nic. Dość, że oznak buntu na razie nie widać, choć nie można wykluczyć, że kiedyś ten czynnik jakąś rolę odegra. Tymczasem jednak ten typ sankcji ma głównie znaczenie etyczne.

Drugi rodzaj to sankcje związane z przepływami finansowymi. W Unii zamrożono do końca maja (KE nie podaje nowszych danych) ok. 24 mld euro zasobów rosyjskiego banku centralnego, ale globalne szacunki mówią aż o 300–400 mld dol. Wydawało się, że tak potężny cios w rosyjskie rezerwy walutowe

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

odniesie szybki i potężny skutek. Jednak Rosjanie zareagowali umiejętnie i, trzeba przyznać, sprawnie się obronili. Zamknęli giełdę, uniemożliwili praktycznie odpływ waluty z kraju, wprowadzając ograniczenia dotyczące jej transferu przez zagraniczne i własne firmy oraz obywateli, radykalnie podnieśli stopy procentowe. To z tego również powodu rubel, jakkolwiek sztucznie podtrzymywany, nie stał się, jak wielu początkowo oczekiwało, śmieciową walutą. Wręcz przeciwnie, nawet się umocnił, jakkolwiek wydaje się to nieprawdopodobne. 24 lutego średnia cena dolara wynosiła 84,95 rubli. Na początku marca kurs poszybował do maksimum 142 rubli, żeby dziś wynosić jedynie niecałe 56 rubli. Podobnie ma się sytuacja z kursem euro względem rosyjskiej waluty. 24 lutego było to 95 rubli za 1 euro, 7 marca – 155 rubli, ale dziś to już tylko trochę ponad 56 rubli. Z polskiej perspektywy może to wręcz irytować. Złotówka od początku wojny dramatycznie osłabła względem dolara, euro i franka szwajcarskiego. Wygląda więc na to, że znów to my obrywamy znacznie bardziej niż Rosjanie.

Gdy mowa o finansowym aspekcie sankcji, istniała tutaj nadzieja podobna jak w przypadku rosyjskiej elity. Kiedy na początku marca ludzie w dużych miastach Rosji ustawiali się w panice w kolejkach do banków i bankomatów oraz odkrywali, że przestały działać ich karty płatnicze, wpięte w systemy MasterCard i Visa, w Polsce upatrywano rychłego końca reżimu. Ludzie przecież mieli się lada moment zbuntować.

Nic takiego nie nastąpiło. Szczególnie że, jak się okazało, Rosja poradziła sobie nawet z zawieszeniem operacji przez dwóch karcianych gigantów. Stało się tak za sprawą opracowanego w 2014 r. krajowego systemu płatności kartami, który zapewnił, że posiadacze kart z zagranicznymi logo nadal mogli normalnie wykonywać transakcje. Owszem, ich karty nie działałyby za granicą, ale dziś na Zachód wyjeżdża bardzo niewielu rosyjskich obywateli. Nie było zatem ani katastrofy finansowej dla zwykłych Rosjan, ani masowego buntu. Mało tego, poszybowała w górę liczba użytkowników oryginalnego rosyjskiego systemu kart Mir, którymi zresztą już w 2020 r. posługiwała się podobna liczba Rosjan co kartami Visa – ok. 80 mln.

Oczywiście wojna nie pozostanie bez wpływu na rosyjską gospodarkę. Wszyscy ekonomiści zgodnie przewidują, że Rosję czeka recesja. Spadek PKB może wynieść aż 10–15 proc., podczas gdy dotąd rosyjska gospodarka rozwijała się w tempie ok. 3,5 proc. Brzmi to dramatycznie i z pewnością oznaczałoby koszmarne skutki polityczne dla władzy w każdym demokratycznym kraju. Tyle że Rosja takim krajem nie jest i można odnieść wrażenie, że zwolennicy uderzania w nią coraz to nowymi sankcjami, które topią nas samych, zbyt często o tym zapominają.

W 2019 r. 22,6 proc. rosyjskich gospodarstw domowych nie było podłączone do kanalizacji, co wydatnie pokazuje poziom cywilizacyjny państwa Putina. To jednak oznacza również, że odcięcie od zachodnich sieci sklepów czy fast foodów albo niedziałająca za granicą karta płatnicza to uciążliwości, które dotkną ułamka rosyjskiego społeczeństwa. A w tym ułamku jest jeszcze spory odsetek tych, którzy gotowi są za to winić nie rosyjskie władze, ale Zachód i Ukraińców. Reszta po prostu nie zobaczy różnicy. Nawet jeśli faktycznie nastąpi drastyczny spadek rosyjskiego PKB, a produkowane tam samochody – co było powodem do kpin na Zachodzie – nie będą miały tempomatów czy napinaczy pasów bezpieczeństwa. Rosyjskie społeczeństwo jest po prostu wielokrotnie odporniejsze na niedogodności niż jakiekolwiek społeczeństwo Zachodu. Szczególnie gdy w grę wchodzi to, co Rosjanie uważają za dumę narodową.

Rosja nie jest ekonomicznie odizolowana. Co prawda, jest w dużej mierze odcięta od Zachodu, ale Zachód to nie cały świat

Wreszcie trzeci rodzaj sankcji to te dotyczące importu rosyjskich surowców. Co do gazu zgody na razie nie ma, w sprawie ropy m.in. Węgry wywalczyły sobie specjalne wyłączenie, węgiel będzie objęty unijnym embargiem od 10 sierpnia. Czy Rosja odczuła ograniczenia w zakupach ze strony Europy?

Przede wszystkim Rosja nie jest ekonomicznie odizolowana. Co prawda, jest w dużej mierze odcięta od Zachodu, ale Zachód to nie cały świat. Ekonomicznym uniwersum dla Rosji pozostają kraje BRICS – to przede wszystkim Chiny, a także bardzo dynamicznie rozwijające się Indie, Brazylia i ostatnio RPA. Z tymi państwami Rosja handluje na potęgę, jakkolwiek jej ropa jest sprzedawana z dużymi upustami. 24 lutego baryłka ropy Ural miała wartość 95 dol., dziś kosztuje 84 dol. Nie jest to jednak różnica porażająca. W tym samym czasie Zachód zmaga się wciąż z bardzo wysoką ceną ropy z innych źródeł. Baryłka ropy WTI to dzisiaj ok. 100 dol., ropy Brent – ok. 107 dol.

Rosja właściwie całkowicie wyrównała sobie brak eksportu do Europy, sprzedając swoją ropę do Azji, przede wszystkim do dwóch państw BRICS: Chin i Indii. W maju import ropy z Rosji do tego pierwszego kraju wzrósł miesiąc do miesiąca o 28 proc. i w ten sposób Rosja wyprzedziła nawet Arabię Saudyjską jako największy eksporter ropy do Chin. Indie z kolei, które wcześniej niemal z rosyjskiej ropy nie korzystały, zaczęły ją sprowadzać na potęgę w wolumenie – według szacunków – 760 tys. baryłek dziennie. Na eksporcie ropy w maju Rosja zarobiła o 1,7 mld dol. więcej niż w kwietniu. Natomiast w czerwcu Rosja zarobiła w sumie na eksporcie gazu i ropy 11,7 mld dol. To spadek w stosunku do maja, będący w części skutkiem wzmocnienia się rubla. Szacunki nie pozostawiają jednak złudzeń: europejskie sankcje są najzwyczajniej kontrproduktywne. Europę czekają jedna z najgorszych zim w historii i prawdopodobnie stagnacja gospodarcza, jeśli nie recesja, podczas gdy Rosja na sprzedaży gazu i ropy za granicę może w tym roku zarobić o 20 proc. więcej niż w 2021 r. – ok. 285 mld dol.

Można zadać pytanie, czy po 24 lutego, gdy europejscy przywódcy podejmowali decyzje o kolejnych pakietach sankcji, ktokolwiek analizował, na ile będą one w stanie zaszkodzić Putinowi i ograniczyć jego imperialne ambicje, a na ile wykończą nas samych. Największe znaczenie mogą mieć sankcje dotyczące technologii, które są niezbędne m.in. do prowadzenia wydobycia surowców. Jeśli jednak one odniosą skutek, to dopiero za wiele miesięcy, może nawet za kilka lat. I to tylko pod warunkiem, że w sukurs nie przyjdą Rosji partnerzy z Chin i Indii, którzy przecież mają własny interes w podtrzymaniu rosyjskiego wydobycia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Gdyby nie działania banku centralnego w czasie drugiej wojny światowej, gdyby nie spektakularna ochrona naszego narodowego złota, które pomagało opłacać walkę partyzancką, zakup broni, amunicji, działania rządu i zabiegi o zachowanie naszego kraju, Polski nie byłoby już na mapie świata.

prof. Adam Glapiński, Prezes NBP (9.07.2022, niezalezna.pl)

- Władze odrodzonej w 1918 r. II RP traktowały złoto znajdujące się w zasobach Banku Polskiego SA jako skarb narodowy, który mógłby być wykorzystany w krytycznym dla państwa momencie.
- W sierpniu 1939 r. polski bank centralny dysponował zasobami złota o wartości 463,6 mln zł (około 87 mln dolarów), o łącznej wadze 79,5 tony.
- W obliczu agresji Niemiec konieczna stała się ewakuacja polskiego złota. Niezwykle trudna logistycznie operacja rozpoczęła się w nocy z 4 na 5 września 1939 r. Cenny ładunek był wieziony przez Rumunię, Turcję, Afrykę, Francję do Nowego Jorku, Londynu i Ottawy.

Narodowy Bank Polski obecnie ma prawie 230 ton złota (z czego 105 ton jest składowane w skarbcach NBP) o równowartości blisko 60 mld zł (wg stanu na 30.06.2022). Za prezesury prof. Adama Glapińskiego zasoby polskiego złota zostały zwiększone o 125,7 tony (122%).

19 lipca 2022 r. Narodowy Bank Polski wyemituje banknot kolekcjonerski o nominale 20 zł „Ochrona polskiej granicy wschodniej" – w uznaniu dla funkcjonariuszy Straży Granicznej, Policji oraz żołnierzy Wojska Polskiego, strzegących polskich granic i polskiej niezależności.

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Gaz z Afryki nie wystarczy

Olivier Bault

Pomimo wielkiego potencjału afrykańskiego kontynentu afrykański gaz nie zastąpi w sposób szybki i stabilny tego z Rosji

Udział gazu z Rosji we francuskim imporcie gazu w 2020 r. wynosił 17 proc. w stosunku do 65 proc. w Niemczech i 43 proc. we Włoszech. Jednocześnie podczas gdy gaz odpowiadał za 15 proc. produkcji prądu w Niemczech, nad Sekwaną było to tylko 7 proc., m.in. dzięki temu, że to właśnie tam mieści się 58 z 106 reaktorów jądrowych w całej Unii Europejskiej. W Niemczech gaz używany jest także do ogrzewania ponad połowy domów. We Francji jest ich nieco mniej (40 proc.), a główni dostawcy gazu, poza Rosją, to Norwegia (36 proc. importu), Holandia (8 proc.), Algieria (8 proc.), Nigeria (8 proc.) i Katar (2 proc.).

WIELKI NIEPOKÓJ

Tym niemniej we Francji również brak rosyjskiego gazu daje się we znaki. Przy magazynach wypełnionych w 55 proc. na początku lipca perspektywa całkowitego zakręcenia kurka przez Gazprom przed najbliższą zimą wywołuje duży niepokój, podobnie jak ma to miejsce w całej Europie. Część gazu dostarczanego do tej pory z Rosji płynęła do Francji gazociągiem z Niemiec, resztę w formie LNG dostarczono drogą morską. Zgodnie z zapowiedziami 11 lipca Gazprom wstrzymał wszelkie dostawy do Niemiec gazociągiem Nord Stream, aby przeprowadzać w nim prace konserwacyjne. Teoretycznie miało to potrwać 10 dni, ale nawet przed przerwą techniczną dostawy gazu do Niemiec i Europy realizowane tym gazociągiem były mniejsze o 60 proc. Poza tym, jak Polacy dobrze wiedzą, różnie to bywa z rosyjskimi przerwami „technicznymi". Dla Polski może to być również niebagatelny problem, gdyż na przekór propagandzie płynącej z kręgów rządowych, w oczekiwaniu na dokończenie gazociągu Baltic Pipe, mającego od października transportować gaz norweski, Polska nie przestała kupować rosyjskiego gazu wraz z zakręcaniem kurka gazociągu jamalskiego przez Gazprom: kupowała go po prostu od Niemiec, podobnie jak kilka innych krajów europejskich. Od reeksportu gazu rosyjskiego z Niemiec zależne są w bardzo dużym stopniu przede wszystkim Czechy, Austria i Szwajcaria.

Co się tyczy Francji, już na początku marca Catherine MacGregor, dyrektorka generalna francuskiego potentata energetycznego Engie, zapowiedziała, że ciężko będzie uzupełnić zapasy gazu przed zimą, jeśli Rosjanie przerwą dostawy. W liście otwartym opublikowanym 25 maja w „Journal du Dimanche" wraz z prezesami pozostałych dwóch potentatów energetycznych na rynku francuskim, czyli TotalEnergies i EDF, Patrickiem Pouyanné i Jeanem-Bernardem Lévym, Catherine MacGregor nawoływała rodaków do podjęcia „zbiorowych i indywidualnych działań, aby każdy z nas – każdy konsument, każda firma – zmienił swoje przyzwyczajenia i natychmiast ograniczył zużycie energii, prądu, gazu i produktów naftowych". „Wysiłek musi być natychmiastowy, zbiorowy i masowy. Liczy się każde działanie" – napisali szefowie francuskiego sektora energetycznego.

Zwracali uwagę, że z jednej strony wzrost importu LNG nie jest w stanie w całości rekompensować utraty gazu rosyjskiego, a z drugiej strony gwałtowny wzrost cen energii pogłębiony brakiem gazu na rynku „zagraża naszej spójności społecznej i politycznej oraz ma zbyt duży wpływ na siłę nabywczą rodzin". Problem na dodatek pogłębia się na skutek sposobu, w jaki działa unijny rynek energii. Dochodzi bowiem do tego, że nawet w kraju, gdzie produkcja prądu z gazu jest marginalna, to właśnie ten surowiec

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

FOT. ADOBE STOCK

kształtuje ceny energii elektrycznej, ponieważ w sąsiednich krajach jest on używany do dostosowania mocy produkcyjnych do bieżącego zapotrzebowania.

A więc, jak widać, problem mają nie tylko europejskie kraje najbardziej uzależnione od rosyjskiego gazu, jak np. Niemcy i Włochy, lecz także kraje takie jak Francja, Hiszpania czy nawet Wielka Brytania, żeby wymienić tylko te największe.

Na pomoc Europie przychodzą Stany Zjednoczone, które są największym na świecie producentem gazu skroplonego LNG, m.in. dzięki produkcji gazów łupkowych. W pierwszych czterech miesiącach tego roku USA przekierowały do krajów Unii Europejskiej trzy czwarte swojego eksportu gazu, podczas gdy w ubiegłym roku, kiedy cała Unia otrzymała 22 mld m sześc. amerykańskiego gazu w postaci LNG, była to zaledwie jedna trzecia eksportu. Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej w czerwcu import amerykańskiego LNG do Unii Europejskiej przekroczył import rosyjskiego gazu. Jednak stało się to niestety przede wszystkim z powodu spadku importu z Rosji. Dla porównania: w 2021 r. cała Unia zaimportowała ok. 155 mld m sześc. gazu naturalnego z Rosji, kiedy kraj ten odpowiadał za ponad 40 proc. unijnego importu gazu, wobec nieco ponad 30 proc. w kwietniu i 20 proc. w czerwcu. Gaz norweski z kolei pokrywa teraz ok. jednej czwartej unijnego importu i połowy importu brytyjskiego, a przewidywany wzrost produkcji norweskiego gazu ma wynosić ok. 9 mld m sześc. w tym roku w stosunku do roku ubiegłego.

Wybuch i pożar w terminalu Freeport w Teksasie na początku czerwca chwilowo zmniejszył jednak eksport amerykański o ok. 20 proc., a prace naprawcze mają potrwać mniej więcej trzy miesiące. Gaz skroplony jest droższy od gazu transportowanego gazociągami, a zdolności produkcyjne USA nie są nieograniczone. Większość amerykańskich funduszy inwestycyjnych chwali się, że nie inwestuje w paliwa kopalniane. Sam prezydent Biden obiecywał wiele razy, że pod jego administracją, w ramach walki z ociepleniem klimatu, nie będzie żadnych nowych odwiertów w poszukiwaniu ropy i gazu na terenach będących we władaniu rządu federalnego. Joe Biden częściowo złamał tę obietnicę, zezwalając na początku lipca na odwierty na dnie morza na niektórych odcinkach Zatoki Meksykańskiej oraz wybrzeża Alaski. Nie ma jednak co liczyć na to, że amerykański eksport gazu do Europy mógłby szybko zastąpić gaz rosyjski w stopniu większym niż obecnie, po przekierowaniu większej części eksportu z USA na Stary Kontynent.

ALGIERIA I NIGERIA

W tej sytuacji przywódcy europejscy kierują swój wzrok na Afrykę, która zdaje się mieć obecnie największy potencjał, aby zastąpić gaz rosyjski, choć nie stanie się to z dnia na dzień i nie jest to pozbawione ryzyka. W 2021 r. import gazu z Afryki pochodził głównie z Algierii i z Nigerii, pokrywających odpowiednio 8 proc. i 2 proc. importu całej Unii. Jednak zdaniem norweskiego think tanku z sektora energetycznego, Rystad Energy, do 2030 r. produkcja gazu naturalnego w Afryce powinna podwoić się i osiągnie poziom ok. trzech czwartych obecnej produkcji Rosji.

Włochy jako pierwsze zaczęły gorączkowo poszukiwać dostawców po drugiej stronie basenu Morza Śródziemnego tuż po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, a Rzym liczy na to, że do 2025 r. gaz z Rosji będzie już w ogóle niepotrzebny. To zwłaszcza Algieria ma zwiększyć dostawy gazu rurociągiem i statkami do Włoch, razem o ok. 40 proc. na mocy umowy podpisanej przez włoskiego premiera Maria Draghiego na początku kwietnia, ale inne umowy na dostawę gazu zostały zawarte także z Angolą, Republiką Konga i Mozambikiem.

Z kolei w maju niemiecki kanclerz Olaf Scholz gościł w stolicy Senegalu, licząc na zakontraktowanie dostaw LNG z odkrytych kilka lat temu złóż, które kraj ten dzieli z Mauretanią. Inwestycja jest realizowana wspólnie na wodach mauretańskich i senegalskich przez amerykański koncern Kosmos Energy i brytyjski koncern BP. Jak podawał marokański portal francuskojęzyczny Le360afrique.com na początku marca, prace przygotowawcze przed rozpoczęciem wydobycia gazu z ogromnych złóż, mogących zawierać nawet 1400 mld m sześc. gazu, zostały już zrealizowane w 75 proc.

Aktualnie 18 krajów wydobywa gaz naturalny na kontynencie afrykańskim. Na Afrykę przypada 40 proc. nowo odkrytych w ostatnich latach światowych zasobów gazu. Znane (potwierdzone) złoża gazu, według danych podanych za koncernem BP w czerwcowym raporcie marokańskiego think tanku Policy Center for the New South, wynosiły, w miliardach metrów sześciennych: 5,5 tys. w Nigerii, 4,5 tys. w Algierii, 2,8 tys. w Mozambiku, 2,2 tys. w Egipcie, 1,5 tys. w Libii, 500 w Maroku i 100 w Kamerunie.

17 lutego, kilka dni przed rozpoczęciem rosyjskiej ofensywy na Ukrainie, Algieria, Niger i Nigeria podpisały wspólne oświadczenie wraz z mapą drogową na rzecz przywrócenia do życia starego

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

projektu 4000-kilometrowego gazociągu transsaharyjskiego. Rosyjska wojna i głębokie oraz długofalowe zmiany, które wywołała na światowym rynku gazu, nadały jeszcze większy pęd konkurencyjnemu projektowi gazociągu „offshore" wzdłuż wybrzeży Afryki Zachodniej od Nigerii do Maroka. Mógłby on połączyć 13 krajów na odcinku ok. 7 tys. km i dostarczać gaz dalej na Półwysep Iberyjski. Projekt ten znajduje się obecnie w końcowej fazie przygotowawczej przed rozpoczęciem budowy. Gazociąg ten pomógłby również Marokańczykom uniezależnić się od dostaw z Algierii, która zakręciła im kurek w sierpniu w wyniku trwających od lat 60. XX w. napięć między tymi dwoma państwami. Jednocześnie odcięła Hiszpanię od jednej z dwóch nitek gazociągowych transportujących gaz z Algierii, co poskutkowało 40-procentowym spadkiem wolumenów dostarczonych w pierwszym semestrze na Półwysep Iberyjski. Dlatego też udział algierskiego gazu w hiszpańskim imporcie spadł w tym roku do jednej czwartej, podczas gdy udział LNG z USA wzrósł z 14 proc. w 2021 r. do 34 proc. w tym roku. Na trzecim miejscu znajduje się LNG z Nigerii (14 proc.), a dopiero na czwartym ten z Rosji (10 proc.).

Zapowiedzi rychłego rozpoczęcia budowy gazociągu w Afryce Zachodniej zachęciły władze w Algierze do dalszych kroków w sprawie projektu gazociągu transsaharyjskiego w celu zwiększenia dostaw na kontynent europejski. Z Algierii, oprócz dwóch gazociągów biegnących do Hiszpanii – w tym jeden najkrótszą drogą przez Morze Śródziemne (Medgaz) i jeden przez Maroko (Maghreb Europe) – jeden gazociąg ułożony na dnie Morza Śródziemnego dociera do Włoch (tzw. gazociąg transśródziemnomorski). Inny gazociąg (Greenstream) transportuje gaz do Włoch z wybrzeży Libii. Przyszły gazociąg transsaharyjski, jeśli powstanie, dotarłby do węzła, z którego odchodzą trzy gazociągi algierskie. Już dziś eksport algierskiego gazu do Włoch jest na historycznie wysokim poziomie.

NIESTABILNY REGION

Jak pokazuje spadek dostaw algierskiego gazu do Hiszpanii, piętą achillesową kierunku afrykańskiego, jeśli chodzi o dostawy gazu, są liczne waśnie między krajami i brak stabilności wielu z nich. Ten drugi problem dotyczy zwłaszcza Nigerii, gdzie znajdują się największe potwierdzone złoża Czarnego Kontynentu. Dotyczy to także całego regionu Sahelu, w którym działają grupy dżihadystyczne i przez który ma przebiegać właśnie gazociąg transsaharyjski. Innym przykładem jest Mozambik, gdzie francuska firma TotalEnergies zamierzała w tym roku odwiesić projekt wydobywania gazu i eksportowania go w postaci LNG już od 2024 r. Koncern wycofał z Mozambiku cały sprzęt i personel w ubiegłym roku, po krwawym ataku dokonanym przez islamistów w mieście Palma, na północy kraju, czyli w regionie, gdzie znajdują się wielkie pokłady gazu.

Aby zastąpić rosyjski gaz, kraje europejskie musiałyby chociaż na jakiś czas zawiesić swoją politykę odejścia od paliw kopalnych

Wydawało się, że bezpieczeństwo w regionie poprawiło się dzięki obecności wielonarodowych sił wojskowych z kilku państw południa Afryki na czele z Rwandą. Jednakże pomimo wcześniejszych zapowiedzi szefa TotalEnergies, według ostatnich doniesień, ponowne uruchomienie tej inwestycji, która dałaby Mozambikowi możliwość eksportowania LNG na poziomie ok. trzech czwartych eksportu LNG Kataru, raczej nie nastąpi w tym roku, gdyż firma nie ma możliwości zagwarantowania bezpieczeństwa swoim pracownikom.

TRZEBA PRZESTAĆ UDAWAĆ

Pomimo wielkiego potencjału afrykańskiego kontynentu afrykański gaz nie zastąpi więc w sposób szybki i stabilny tego z Rosji i ratunku należy na razie szukać w polityce szybkiej dywersyfikacji dostaw, w której Afryka będzie jednym z ważnych elementów. Jednym z kierunków mógłby być planowany gazociąg EastMed, który miał połączyć od 2025 r. złoża gazu u wybrzeży Izraela z Grecją i dalej z Włochami. Dzisiaj przyszłość tego projektu stoi pod znakiem zapytania, gdyż amerykańska administracja prezydenta Bidena wycofała w styczniu swoje poparcie dla niego w imię przyszłości bazującej na zielonych energiach, a ani Komisja Europejska, ani rząd w Rzymie nie śpieszą się z poparciem dla tej inwestycji.

Podobnie, od wielu lat, w przeciwieństwie do Chorwatów, Włosi nie wydobywają gazu ze znanych od lat 80. podmorskich pokładów na północnym Adriatyku z powodu wyśrubowanych norm ekologicznych. Nie inaczej jest w Wielkiej Brytanii, posiadającej wielkie złoża gazu na Morzu Północnym, gdzie wola odchodzenia od paliw kopalnianych od lat hamowała lub wręcz blokowała budowę nowych platform wiertniczych na wodach brytyjskiej strefy gospodarczej. Takie podejście oraz zakaz eksploatacji bogatych złóż gazów łupkowych na lądzie (podobnie jak we Francji, która mogłaby prawdopodobnie pokryć z gazów łupkowych ok. 170 proc. konsumpcji własnej gazu przez co najmniej trzy dekady) powoduje, że Wielka Brytania z eksportera do początku XXI w. stała się dużym importerem gazu, w tym także rosyjskiego, m.in. za pośrednictwem reeksportu z Niemiec. Na domiar złego na konferencji poświęconej walce z ociepleniem COP26, która odbyła się w 2021 r. w Glasgow, w Szkocji, ok. 20 krajów zachodnich, w tym USA, Wielka Brytania, Niemcy i Francja, zapowiedziało, że po 2022 r. nie będą już finansowały projektów inwestycyjnych w paliwa kopalne w innych krajach.

Dlatego też, aby zastąpić rosyjski gaz (a także ropę, choć to drugie zadanie wydaje się łatwiejsze), kraje europejskie musiałyby, podobnie jak obecna amerykańska administracja po wybuchu wojny na Ukrainie, chociaż na jakiś czas zawiesić swoją politykę odejścia od paliw kopalnych. Musiałyby przede wszystkim uznać, że absurdalne jest udawać, iż węglowodory wydobywane w Europie lub za pieniądze europejskie w Afryce miałyby przyczyniać się do ocieplenia klimatu bardziej niż te wydobywane w Rosji. Na rozwój eksploatacji złóż, który przez lata zaniedbano w imię walki z ociepleniem klimatu, trzeba niestety czasu, a na razie wojnę energetyczną wygrywa Rosja. Dzięki przekierowaniu części swojego eksportu do Azji – zwłaszcza do Chin i Indii – i rekordowym cenom ropy i gazu podkręcanym przez wielki kryzys energetyczny, który Zachód sam sobie zafundował, Rosja zarabia bowiem jak nigdy dotąd na eksporcie swoich surowców i nie musi na razie martwić się o dalsze finansowanie wojny na Ukrainie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

ORLEN

NA WAKACJE

-30 gr/l

-40 gr/l
z KARTĄ DUŻEJ RODZINY

Miesięcznie aż 3 promocyjne tankowania z Programem VITAY. Każde do 50 litrów taniej!

Ważna karta VITAY lub Wirtualna Karta VITAY uprawnia do uzyskania rabatu na 50 l benzyny lub oleju napędowego w wysokości 30 gr/l lub 40 gr/l w przypadku posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Każdy dodatkowy litr powyżej 50 l rozliczany jest według ceny ofertowej podanej na dystrybutorze w trakcie tankowania. Promocja nie obejmuje autogazu (LPG), nie łączy się z innymi programami rabatowymi i promocyjnymi i jest ograniczona c zasowo – termin obowiązywania w Regulaminie promocji. Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników ORLEN VITAY. Regulamin promocji oraz lista stacji uczestniczących w promocji na stronie vitay.pl/rabaty

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Wojna Berlina

Rafał A. Ziemkiewicz

„Kto rozbija jedność Unii Europejskiej w obliczu agresji Putina na Ukrainę, działa na rzecz agresora" – oto chyba największa i zarazem najczęściej powtarzana z propagandowych bzdur w dyskursie „proeuropejskiej" liberalnej lewicy

Kanclerz Niemiec Olaf Scholz

FOT. JOHN MACDOUGALL/AFP/EAST NEWS

Wyobraźmy sobie, że już przed rozpoczęciem przez Rosję „operacji specjalnej" dokonało się zapowiedziane właśnie przez Olafa Scholza przejęcie „odpowiedzialności za Europę" przez Niemcy i że kanclerz Niemiec nie jest już jednym z wielu przywódców europejskich państw, choćby najbardziej w Unii wpływowych, ale de facto liderem „stanów zjednoczonych Europy", których budowę do grudnia 2025 r. zapowiedział pięć lat temu jego partyjny kolega Martin Schulz, i że swojej polityki wobec Ukrainy nie musi z nikim uzgadniać, może poza prezydentem Francji Macronem.

Doprawdy, czy byłoby to dla Putina niekorzystne? Żeby tak twierdzić, trzeba być zupełnie uodpornionym na fakty idiotą – albo cynicznym, najemnym łgarzem. W większości wypadków podejrzewam to drugie. Tym bardziej że demagogia ta służy łamaniu oporu przed uzurpowaniem sobie przez Unię, metodą faktów dokonanych i wbrew traktatom, kompetencji, których nikt nigdy im nie dał – europejskiego rządu, parlamentu i sądu najwyższego ponad rządami, parlamentami i sądami krajów członkowskich. Polska postrzegana jest jako główna przeszkoda w tym procesie i dlatego złamanie naszego oporu stało się wręcz obsesją eurokratów.

Polskie władze naiwnie wyobrażały sobie, że wojna na Ukrainie i przyjęcie milionów uchodźców automatycznie spowodują zdjęcie federacyjnych projektów z unijnej agendy i w połączeniu z polskimi ustępstwami – na czele z podpisaniem KPO – skłoni Komisję Europejską do „odpuszczenia" polskiemu rządowi. Nic podobnego nie nastąpiło, przeciwnie.

OCENA POLSKIEJ ULEGŁOŚCI

Kolejni unijni komisarze – po Věrze Jourovej w minionym tygodniu powtórzył to Didier Reynders – zapowiadają w tonie kategorycznym, że „Polska nie może liczyć na żaden wojenny rabat" i że żadnych pieniędzy nie dostanie dopóty, dopóki nie spełni „kamieni milowych" w stopniu uznanym przez KE za satysfakcjonujący; przy czym nie określono żadnych konkretnych warunków ani nawet kryteriów oceny, kiedy polska uległość stanie się wystarczająco satysfakcjonująca. Komisja Europejska wysłała jednak bardzo wyraźny sygnał, otwierając „drugi etap procedury naruszeniowej" przeciwko Polsce w sprawie wyroku Trybunału Konstytucyjnego stwierdzającego nadrzędność Konstytucji RP nad orzeczeniami TSUE poza obszarami, w których traktatowo delegowaliśmy kompetencje na instytucje wspólnotowe.

O tym, do jakiego stopnia jest to bezprawne, a także groteskowe, zważywszy, że wyrok ten jest nie tylko logiczną i jedyną możliwą konsekwencją całego dotychczasowego orzecznictwa TK, lecz także zgodny z wieloma orzeczeniami sądów konstytucyjnych Niemiec, Francji, Hiszpanii, Włoch i kilku mniejszych krajów, pisaliśmy wielokrotnie.

W ubiegłym tygodniu przybyła także do Polski „kontrola" z Parlamentu Europejskiego, żeby zbadać, jak wydajemy środki unijne. Sam fakt jest bezprecedensowy – nigdy jeszcze PE nie raczył „zaszczycić" w ten sposób żadnego kraju członkowskiego, nawet z tych, w których wątpliwości co do wydawania unijnych funduszy były oczywiste. Niestandardowe jest też zachowanie kontrolerów, którzy nawet nie ukrywają, że przyjechali szukać pretekstu do wstrzymania Polsce funduszy, i zaapelowali o zgłaszanie im nadających się do tego przypadków.

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Równolegle nasila się kampania na rzecz odrzucenia traktatowego sposobu podejmowania w organach unijnych i zastąpienie wymogu jednomyślności większością głosów – co w praktyce oznacza przejęcie Unii przez grupę największych państw.

Postulat zmiany sposobu głosowania, oparty na zaleceniach groteskowo wyznaczonej przez samych eurokratów Konferencji w sprawie przyszłości Europy, powtórzony został w głośnym artykule kanclerza Scholza dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung", w którym zapowiedział on, że „Niemcy przejmą odpowiedzialność za Europę i świat" i „staną na czele UE". Jak łatwo się domyślić, otwarcie wyrażony zamiar pozbawienia mniejszych państw „możliwości egoistycznego blokowania decyzji europejskich" uzasadnia następca Angeli Merkel koniecznością „umocnienia jedności" Europy wobec wojny na Ukrainie.

Zdziwienie komentatorów wywołało nie tyle nawet to, co Scholz napisał, ale moment, w którym to zrobił. Wydawałoby się, że po spektakularnej kompromitacji uporczywie proputinowskimi działaniami niemiecki przywódca powinien raczej na jakiś czas zamilknąć, a na pewno powstrzymać się od takich zapowiedzi. A jednak moment był nieprzypadkowy. Od ponad tygodnia Niemcy żyli w panice, wywołanej niedwuznacznymi aluzjami Rosji, że gazociąg Nord Stream 1 może nie zostać ponownie otwarty po „technicznej" dwutygodniowej przerwie. Pojawiły się zapowiedzi obniżania temperatury w mieszkaniach i apele o krótsze i chłodniejsze kąpiele oraz zbieranie chrustu (z jakiegoś powodu w wypadku tego kraju nieuznawane przez lewicowo-liberalne media za śmieszne), a także naciski na Polskę, aby w imię „europejskiej solidarności" podzieliła się swoimi zapasami gazu z zachodnimi sąsiadami, a nawet żeby w tym celu ograniczyła swoją produkcję przemysłową. Dosłownie zaś nazajutrz po publikacji artykułu Olafa Scholza i po wszystkich zebranych wyżej sygnałach eurokratów, że projekt federacyjny nie będzie zarzucony, ale forsowany jeszcze mocniej, a Polska jeszcze bardziej stawiana pod ścianą, Rosja zapowiedziała, za pośrednictwem Reutersa, że gaz jednak do Niemiec popłynie.

Co najmniej jest to sygnał, że „pogłębianie jedności europejskiej" przez Niemcy jest dla Kremla korzystne i oczekiwane. Nie wykluczałbym jednak wcale, że nasilenie federalizacyjnych dążeń i wystąpienie właśnie teraz z otwartą deklaracją przejęcia władzy nad Europą, przynajmniej tą jej częścią, która „blokuje europejskie decyzje", były odpowiedzią na nacisk Putina i politycznym zobowiązaniem na jego użytek.

NIEMIECKA PROROSYJSKOŚĆ

W naszych sferach rządzących, niezdolnych myśleć o polityce międzynarodowej w kategoriach geostrategicznych i traktujących ją jako coś w rodzaju przeniesionego na wyższy poziom życia towarzyskiego, nie istnieje w ogóle świadomość, jakimi politycznymi interesami kierują się Moskwa i Berlin. To rodzi całkowitą intelektualną bezradność neosanacyjnej władzy wobec rozwoju wypadków, skłaniając do wmawiania sobie i społeczeństwu, że mamy do czynienia tylko z jakimiś nieporozumieniami, bo tak naprawdę nikt nas przecież nie chce skrzywdzić, i do naiwnych ustępstw, opartych na zapewnieniach składanych polskim politykom przez eurokratów gdzieś na boku, „na gębę", i nigdy niedotrzymywanych.

Nie wiem, czego trzeba jeszcze, by uświadomić Polakom, że niemiecka prorosyjskość nie jest skutkiem naiwności, ale zimno skalkulowaną racją stanu. Niemcy nie wyobrażają sobie siebie inaczej niż jako państwa dominującego nad kontynentem; od wieków uważają, że im się to należy, że są do tego predestynowani i że zostało im to odebrane przez podział państwa. Narzędziem niemieckiej dominacji nad Europą jest przewaga gospodarcza. A ta, jak wielokrotnie pisałem, jest owocem oparcia się na tanich surowcach z Rosji (i taniej produkcji podzespołów w Chinach). Bez życzliwości Putina Niemcy spadają do ligi krajów średniej wielkości.

Z kolei Rosja nie umie wyobrazić sobie siebie samej innej niż jako imperium. A zachowanie imperium nie jest możliwe bez utrzymania pod okupacją Ukrainy i Białorusi. Warunkiem zaś zapobieżenia „wybiciu się na niepodległość" tych narodów jest w rosyjskiej myśli strategicznej obezwładnienie Polski; tym bardziej koniecznym, że Polska stała się geostrategicznym partnerem i eksponentem interesów USA.

Rosja jednak, na ten moment, nie jest w stanie Polski obezwładnić. Natomiast skutecznym sposobem na to jest europejska federalizacja – oznaczająca pozbawienie nas podmiotowości, źródeł energii i konkurencyjności.

Podchwycenie przez Angelę Merkel skierowanego do Niemców wezwania z Westerplatte, by „wielkie narody zaczęły rozmawiać ze sobą", nie wynikało z chciwości na tanie (bo w rosyjskim nierynkowym systemie de facto kradzione własnemu narodowi) ropę i gaz, ale ze wspólnego interesu, jakim jest wypchnięcie z Europy USA i podzielenie się Europą Środkową. Oczywiście fakt, że Niemcy formalnie są członkiem NATO, a więc sojusznikiem USA, czynił ich grę trudną, ale mimo to porozumienie realizowano skutecznie i u schyłku ubiegłego roku zostało ono prawie dopięte umową Merkel-Putin, wstępnie zaaprobowaną przez Bidena. Genialnym z niemieckiego punktu widzenia wynalazkiem okazał się plan budowy państwa europejskiego opartego na centralizacji i odgórnie narzuconej ideologii; plan pozwalający Niemcom za jednym zamachem odciąć się od swojej imperialnej tradycji i zrealizować jej odwieczne cele.

Putin co prawda wywrócił stolik, zbyt brutalnie i niecierpliwie obejmując przyznaną mu strefę wpływu, co diametralnie zmieniło stanowisko amerykańskie – ale interesy obu stron pozostają, jakie były. Oba kraje nie wyobrażają sobie innej przyszłości niż realizacja neobismarckowskiego ładu, zawartego we wspomnianym porozumieniu. Stąd polityka Niemiec obliczona na doczekanie momentu, gdy będzie można ogłosić „reset" w stosunkach z Rosją i konieczność wspierania w niej jakiegoś nowego Gorbaczowa. I stąd polityka Putina, w której Niemcy wciąż są przyszłym sojusznikiem.

Ten ład jest natomiast nie do przyjęcia dla Polski i – na nasze szczęście – dla USA. Dlatego tym bardziej dziwi i oburza, że zamiast wykorzystać ich poparcie dla stanowczego przeciwstawienia się Niemcom i uzależnionym od nich eurokratom, realizującym wspólne cele ręka w rękę z Putinem, rząd PiS krok po kroku gubi Polskę i oddaje naszą suwerenność, zgadzając się na Zielony Ład, „pieniądze za praworządność" czy ostatnią, zupełnie już fatalną umowę o „kamieniach milowych", których i tak Unia nigdy nie uzna za spełnione. Im szybciej PiS wyleczy się z przekonania, że nie ma dla Polski przyszłości poza UE i że może ona jeszcze wrócić do odrzuconych w praktyce traktatów, a nie być tylko niemieckim „państwem europejskim", tym koszty wyzwalania się z niemiecko-rosyjskiego uścisku będą mniejsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim
rozmawia Tomasz Rowiński

Wołyń przeszkadza politykom

TOMASZ ROWIŃSKI: Jak ksiądz ocenia ostatnie centralne obchody Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Wołyniu?

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI: Przede wszystkim po raz pierwszy, od kiedy rządzi Zjednoczona Prawica, obecni byli prezydent i premier. Ten fakt jest z jednej strony doniosły, z drugiej budzi pytanie, dlaczego dopiero teraz ci dwaj urzędnicy reprezentujący najważniejsze władze polskie zdecydowali się na obecność na takiej uroczystości. Niestety, obietnice, które usłyszeliśmy pod pomnikiem, słyszałem już siedem lat temu – i w rozmowie z prezydentem Andrzejem Dudą, i z przedstawicielami rządu PiS. Przez te siedem lat nic w sprawie ofiar ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej nie zrobiono, a przecież chodzi o tylko jedną rzecz – pochowanie osób pomordowanych przez nacjonalistów ukraińskich.

Na obchodach pojawił się też ambasador Ukrainy.

Po raz pierwszy. Do tej pory władze Ukrainy, choć korzystają ze wsparcia ze strony Polski, nigdy swojego przedstawiciela nie wysłały. Ambasador Ukrainy nie zabrał głosu, obejrzałem też wieniec – w barwach niebiesko-żółtych – który złożył. Nie ma na nim żadnej informacji, od kogo ten wieniec jest i kogo ma upamiętniać. Czyli jest to krok w dobrym kierunku, ale bez żadnego przełomu.

Jednocześnie ze strony prezydenta padło ostrzeżenie, aby „ksiądz się miarkował ze słowem".

Po raz pierwszy w historii nie dopuszczono do głosu przedstawicieli rodzin pomordowanych. Były przygotowane dwa przemówienia, ale organizatorzy nie wydali zgody na ich wygłoszenie. To charakterystyczne. Władza nie widzi potrzeby nas wysłuchać. Nie zostało też przewidziane spotkanie z rodzinami ofiar, wszystko odbywało się w warunkach bardzo urzędowych.

Jedynie prezydent, przechodząc obok transparentu z apelem do władz Ukrainy, by zgodziły się na pochówki, powiedział w stronę stojących tam osób, że trzeba „się miarkować w słowach", ponieważ to „szkodzi jednej i drugiej stronie". Nie wiem, kto to jest ta druga strona. Użył słów, które można wręcz zinterpretować jako nakaz milczenia. Powiedział też, że trzeba znaleźć inną drogę. Na to odpowiedziałem innym pytaniem: Jaką mamy drogą iść, jeżeli nie możemy upominać się o pochówek? Myślę, że pan prezydent powiedział wtedy to, co naprawdę myśli. On wolałby, żeby nikt faktycznie o te ofiary się nie upominał, ponieważ to przeszkadza mu w jego polityce.

Dlaczego sprawa pochówku pomordowanych jest problemem?

Mamy do czynienia z lękiem polskich polityków przed podjęciem trudnych decyzji. Oni zdają sobie sprawę, że musieliby zająć stanowczą postawę, a wolą mieć święty spokój i tylko składać przedwyborcze obietnice bez pokrycia. Drugi powód, jak sądzę, jest taki, że ludobójstwo na Wołyniu dotyczy ludności wiejskiej. Inaczej w III RP traktuje się pomordowanych oficerów, żołnierzy; także Żołnierzy Wyklętych, którym poświęca się bardzo wiele czasu. Natomiast w wypadku ludobójstwa na Kresach, gdzie chodzi o ludność chłopską, widać bagatelizowanie tej tragedii. Szczególnie widziałem to w 2008 r., kiedy na skwer Wołyński, mimo wcześniejszych obietnic, nie przybył – wcześniej zapowiadany – prezydent RP Lech Kaczyński. W przysłanym liście, który odczytał ówczesny minister prezydencki prof. Ryszard Legutko, była mowa o tragedii Wołynia, ale nie wspominano w ogóle, co się tam stało, kto był ofiarą, kto był sprawcą.

Stosunek Lecha Kaczyńskiego do sprawy był niechętny?

Prezydent nigdy nie udał się na Wołyń, był jedynie w Hucie Pieniackiej na Podolu, gdzie sprawcami zbrodni byli Ukraińcy z SS. Tam jednak też, przemawiając, posługiwał się eufemizmami bez jasnego potępienia sprawców. W lutym 2010 r. miałem okazję rozmawiać z panem Władysławem Stasiakiem, szefem Kancelarii Prezydenta, któremu przedstawiłem stanowisko rodzin. Było to tuż po ogłoszeniu przez Wiktora Juszczenkę bohaterem narodowym Ukrainy Ste-

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

pana Bandery. Pan Stasiak powiedział, że on oczywiście nas rozumie i uważa działania ukraińskie za skandal. Dodał jednak, że „w tej chwili" bardzo ważne jest, żeby odbyły się mistrzostwa w piłce nożnej, organizowane wspólnie przez Polskę i Ukrainę. I jak ta impreza już się odbędzie, to wtedy na pewno Lech Kaczyński sprawę wołyńską podejmie. Ale cóż, dwa miesiące później w katastrofie smoleńskiej zginęli i pan prezydent, i pan minister Stasiak. Mistrzostwa w 2012 r. się odbyły, a kolejny prezydent, czyli Bronisław Komorowski, nic już w sprawie pochowania pomordowanych nie zrobił, choć odwiedził Wołyń.

Z czego wynika taka postawa polityków prawicy?

Uważam, że są tu po prostu popełniane błędy. Ale to nie jest indolencja władz, tylko świadoma linia polityczna, żeby sprawę pochówku ofiar wołyńskich wyciszyć. Zwłaszcza że czas gra na niekorzyść pamięci. W ostatnim czasie zmarło wiele osób ze środowiska kresowego, które pamiętały ludobójstwo i mogły wskazać groby ofiar. W 2015 r., pomiędzy pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich, dzięki pani Beacie Szydło, szefowej sztabu pana Andrzeja Dudy, mogłem publicznie na wiecu wyborczym na rynku w Chrzanowie wręczyć dzisiejszemu prezydentowi list od rodzin kresowych z wypisanymi postulatami. Wśród nich najważniejszym było oczywiście pochowanie zmarłych. Mówiłem publicznie o tym do zgromadzonych osób. Andrzej Duda i jego otoczenie zapewniali mnie wtedy, że jeżeli wybory zostaną przez nich wygrane, to sprawa zostanie podjęta. Nic się jednak nie wydarzyło, a na ten list nie przyszła nigdy żadna pisemna odpowiedź, były jedynie ustne obietnice. Sytuacja powtórzyła się pomiędzy pierwszą i drugą turą wyborów prezydenckich w roku 2020. Osoby znane mi z Krakowa, które były i są w najbliższym otoczeniu Andrzeja Dudy, obiecywały, że jeżeli prezydent wygra, to na pewno sprawą ofiar ludobójstwa się zajmie. Ale – znów – wszystko kończyło się na obietnicach i grzecznościowych gestach. Przez siedem lat nie nastąpiły żadne zmiany.

Środowisko rodzin kresowych wielokrotnie występowało do pana prezydenta o odznaczenie orderami państwowymi różnych osób, które zajmowały się pamięcią na temat Kresów i ludobójstwa, ale tylko w jednym wypadku zyskaliśmy przychylność. Pan Władysław Siemaszko – współautor książki o ludobójstwie na Kresach – otrzymał Order Orła Białego. We wszystkich pozostałych wypadkach wnioski były negatywnie opiniowane. To dotyczyło także obrońców Lwowa i Kresów. Wiadomo jednocześnie, że pan prezydent chętnie dawał odznaczenia państwowe ludziom zaangażowanym w inne ważne dla Polski sprawy. Czyli nawet przy polityce orderowej widać rodzaj odmiennego traktowania środowisk kresowych. Innym dowodem na intencjonalną niechęć pana prezydenta jest regularne odrzucanie przez niego wniosków o udzielenie patronatu nad organizowanymi społecznie uroczystościami upamiętniającymi ludobójstwo. Nigdy nie było patronatu, czasami tylko pojawiał się jakiś delegat prezydenta. Niestety, inni urzędnicy państwowi podobnie nas ignorowali. Wyjątkami były tylko władze IPN i Urzędu ds. Kombatantów. W jednym tylko przypadku, kilka lat temu, otrzymaliśmy patronat od pana premiera Mateusza Morawickiego. I to wszystko.

Czy nacisk polskich władz na Ukrainę w sprawie pochówku ofiar ludobójstwa na Wołyniu mógłby dać jakiś efekt?

Jeżeli nasz prezydent i rząd nie podnoszą tematu, zachowują się tak, jakby im na sprawie nie zależało, to i strona ukraińska nie ma powodu się tym zająć. Znów – to nie są przypadki. Pan prezydent nigdy nie był w najważniejszym dla Polaków mieście na Kresach, czyli we Lwowie, choć wielokrotnie odwiedzał ukraińskie miasta i składał tam wieńce w różnych miejscach pamięci, np. ku czci bohaterów ukraińskich. Uważam, że należało i to zrobić, lecz i tamtego nie zaniedbać. Dlaczego prezydent nie odwiedził cmentarza Orląt Lwowskich? Można było Orlęta Lwowskie upamiętnić choćby w ramach uroczystości stulecia

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

polskiej niepodległości. Dlaczego nie mamy dnia pamięci obrony Lwowa z lat 1918–1920, skoro funkcjonują – i bardzo dobrze – dni pamięci powstań wielkopolskiego i śląskiego?

Czy okoliczności wojny i polskiej pomocy dla Ukrainy nie są dobrym momentem, by sprawę przeprowadzić?

Już nie wierzę obecnej ekipie rządowej. Czy wojna będzie trwała czy też się skończy, nie zmieni się stanowisko polskich polityków. Oni świadomie przyjęli taką linię działania. Można było tę sprawę załatwić i przed wojną. Przecież Polska pomaga Ukrainie od wielu lat – i to nie tylko politycznie, lecz także zbrojnie i finansowo. Na tym chyba polega dyplomacja – my wam pomagamy, a w zamian za to wy załatwcie taką sprawę. Potrzebna jest inicjatywa polskiego rządu, ponieważ na Ukrainie funkcjonuje oficjalny zakaz tych pochówków, wprowadzony przez prezydenta Petra Poroszenkę. W 2019 r., gdy spotkali się w Warszawie dwaj prezydenci, Andrzej Duda i Wołodymyr Zełenski, w niektórych prawicowych mediach pojawiły się informacje, podobno pochodzące z Kancelarii Prezydenta, że będzie przełom w sprawie pochówków, ale minęły kolejne trzy lata i okazało się to tylko kaczką dziennikarską. Tak jak kaczką dziennikarską okazała się informacja, że prezydent Zełenski 11 lipca br. przeprosi Polaków. Na dziś sprawa pochowania ofiar ludobójstw została odłożona, jak mówiono na Kresach, „w ruski kalendarz".

Jak ksiądz ocenia odsłonięcie lwów lwowskich?

To jest ochłap. Te lwy zostały zabite dyktami w sposób absolutnie urągający wszelkim zasadom szacunku do cmentarza wojskowego. A mamy do czynienia z oficjalnym cmentarzem otwartym przy udziale prezydentów Polski i Ukrainy. To były jeszcze czasy Aleksandra Kwaśniewskiego. Po siedmiu latach te dykty zdjęto i po naszej stronie uznano to za wielki przełom. Tymczasem zupełnie ostatnio były już ambasador Ukrainy w Niemczech naubliżał Polakom. Taki to przełom. Przeprosił za to Żydów, ale Polaków już nie. To nie jest dyplomacja, ale dziecinada, która nie rozwiązuje problemów, a jedynie próbuje sugerować, że mamy do czynienia z jakimiś znakami przełomu. Pan prezydent i pan premier potrzebują takiej narracji przed zbliżającymi się wyborami. Obaj zdają sobie sprawę, że indolencja w sprawie ludobójstwa na Kresach zawsze będzie im wypominana. Nie tyle przez Rosję, która to oczywiście wykorzystuje, lecz także przez Niemcy i opozycję, która będzie punktować brak wywiązywania się z obietnic wyborczych. Uważam, że zbliżające się wybory to jedyny powód obecności prezydenta i premiera na uroczystościach upamiętniających ludobójstwo Polaków na Kresach. Prawdziwą twarz prezydenta Andrzeja Dudy zobaczyliśmy zaś nie podczas przydługiego przemówienia, w którym padło wiele wzniosłych słów, ale wtedy, gdy dał do zrozumienia, że oczekuje milczenia ze strony środowiska rodzin ofiar.

Już nie wierzę obecnej ekipie rządowej. Czy wojna będzie trwała czy też się skończy, nie zmieni się stanowisko polskich polityków. Oni świadomie przyjęli taką linię działania

Czy w czasie uroczystości był obecny któryś z biskupów?

Nie, i było to bardzo znamienne. Chociaż pan prezydent witał „arcybiskupów i biskupów", czyli spodziewał się obecności przedstawicieli episkopatu. Nastąpił wtedy moment konsternacji, że witani są nieobecni. To jest frapujące, że nawet biskup polowy Wiesław Lechowicz, który jest na etacie państwowym, uznał, że nie powinien być na tych uroczystościach. Nie było też oczywiście kard. Nycza, nie było biskupów grecko-katolickich, byli jedynie kapelani wojskowi i rabin. Warto byłoby zapytać przewodniczącego episkopatu czy może biskupa polowego, co się stało, że zbojkotowali tę uroczystość.

Jakie do tej pory było stanowisko Kościoła?

Kardynał Nycz nie widzi potrzeby upamiętniania ofiar. Jest w Warszawie od 2007 r., a nigdy nie przyszedł na uroczystości. Pojedynczy księża biskupi czy biskup polowy Józef Guzdek zawsze gdzieś się pojawiali na upamiętnieniach, które odbywają się w Polsce. W tym roku jednak żaden urzędujący biskup nie zaszczycił wołyńskich uroczystości.

Jak rozumiem ksiądz ma więcej zarzutów do polskich władz niż do ukraińskich?

Jeśli chodzi o stronę ukraińską, to nigdy na tamte władze nie głosowałem, sam nie jestem politykiem i nie mam możliwości oddziaływania. Jako polski wyborca czuję się zaś oszukany przez PiS i pana prezydenta, że tylko w kampanii wyborczej pamiętają o środowiskach kresowych, ale gdy dochodzą do władzy, to nas lekceważą. Jednak to z polskiego majątku, czyli nas wszystkich, podejmują decyzje o przekazywaniu pieniędzy, broni i innych rzeczy dla Ukrainy. Sam jestem za wspieraniem Ukrainy, prowadzona przeze mnie Fundacja Brata Alberta opiekuje się 150 kobietami i dziećmi z terenów walk. Nie mam cienia wątpliwości, że należy pomagać. Tylko jestem zdumiony, że polscy politycy, chociaż nieustannie apelują do naszego społeczeństwa o ofiarność, nie widzą potrzeby, by upomnieć się u Ukraińców o sprawy podstawowe. Wręcz wydają się oni okaleczeni w tej sprawie od strony moralnej, bo to jest sprawa moralnej odpowiedzialności i wiarygodności.

Ksiądz jest agresywnie atakowany w mediach za podnoszenie sprawy wołyńskiej w czasie wojny.

Niestety, środowiska prawicowe reagują agresją, gdy ktoś poruszy ten temat. Czytam np., że jestem ruską onucą. To samo dotyczy innych osób ze środowiska. Spodziewam się, że dojdzie do rozejścia środowisk kresowych z szeroko rozumianym środowiskiem prawicowym właśnie z powodu tej agresji. Nie zdziwiłbym się, gdyby w końcu doszło też do aktów przemocy fizycznej. Władza państwowa ma możliwość blokowania pewnych spraw, więc i osoby niewygodne, które nie zdecydują się milczeć – jak nakazuje pan prezydent – mogą być potraktowane przez władze w inny sposób. PiS przejął narrację, którą komuniści stosowali w sprawie Katynia. Każdy, kto będzie upominał rząd w sprawie Wołynia, zostanie obwołany rosyjskim szpiegiem, tak jak za PRL mówiono, że tylko szpiedzy imperialistów zachodnich mogą podnosić sprawę rosyjskiej odpowiedzialności za gehennę polskich oficerów. Problem leży gdzie indziej. Dopóki rząd nie zechce pochować naszych pomordowanych, będziemy rozgrywani przez wrogie Polsce siły.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

Królewski REMBRANDT

JEŹDZIEC POLSKI ZE ZBIORÓW THE FRICK COLLECTION W NOWYM JORKU

Muzeum Łazienki Królewskie, Pałac na Wyspie

6 maja – 7 sierpnia 2022 r.

ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE | THE FRICK COLLECTION | PZU | Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego | ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU | ROYAL TALENS | Insider | Mowia Wieki | Pop | Kultura | Historia | RBC | JCDecaux | Miesięcznik Kultura

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Z Ryszardem Czarneckim, eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Gwałtowne przebudzenie

FOT. ZBIGNIEW MEISSNER/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Nie miał pan uczucia niesmaku podczas obchodów kolejnej rocznicy ukraińskiego ludobójstwa na Polakach na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej? Ze strony najwyższych przedstawicieli państwa, prezydenta i premiera padły stwierdzenia relatywizujące odpowiedzialność Ukraińców za ludobójstwo na Polakach na Wołyniu, w Galicji Wschodniej i w innych miejscach podczas drugiej wojny światowej.

RYSZARD CZARNECKI: Cieszę się, że przedstawiciele najwyższych władz państwowych byli obecni na tych obchodach i uznali, że trzeba się do nich odnieść. Oczekiwałbym jednak zdecydowanie bardziej jasnego przekazu. Na miłość Boską, naprawdę można pogodzić pomoc dla Ukrainy wynikającą z naszego politycznego interesu z oddawaniem hołdu naszym rodakom, którzy zginęli na Wołyniu i – szerzej – na dawnych Kresach Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej tylko dlatego, że byli Polakami. W strategicznym interesie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej jest, żeby między nami a Rosją istniało realnie istniejące państwo, a nie państwo marionetkowe. Dlatego trzeba Ukrainę wspierać. Jednocześnie, w moim przekonaniu, pamięć o Polakach bestialsko pomordowanych przez ukraińskich szowinistów jest tak samo integralną częścią naszej zbiorowej pamięci jak pamięć o Polakach mordowanych przez Niemców czy „białą" bądź „czerwoną" Rosję. Uważam, że nie należy ze względu na bieżącą politykę relatywizować zbrodni. Oddanie hołdu Polakom – ofiarom ukraińskiego ludobójstwa na Kresach – w niczym nie przeszkadza wspieraniu Kijowa w jego walce z Moskwą. Naprawdę można pogodzić jedno z drugim. Sugestie, żeby w kolejną rocznicę ciszej mówić o ludobójstwie na Wołyniu lub w ogóle o nim nie mówić, są obrzydliwe. Ale też sugestie, żeby w związku z brakiem ekspiacji ze strony Ukrainy za Wołyń w ogóle jej nie pomagać, są politycznie niemądre.

Dlaczego prezydent Zełenski nie zdobył się 11 lipca na spektakularny gest przeprosin za ludobójstwo Polaków dokonane przez Ukraińców 80 lat temu, pomimo oczekiwania na taki gest w Polsce?

Jestem tym osobiście zawiedziony. Powiem więcej: uważam, że był to najlepszy z możliwych momentów, w którym głowa ukraińskiego państwa mogła to uczynić. W sytuacji, kiedy w Polsce schronienie znalazło ponad 4,5 mln uchodźców z Ukrainy, co jest absolutnym rekordem świata, gdy chodzi o migracje przypadające na jeden kraj, gdy Polska pomaga Ukrainie na niwie politycznej, dyplomatycznej, a także jako hub żywnościowy, medyczny, humanitarny, takie słowa przeprosin czy wyrażenie empatii dla polskich ofiar ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu właśnie teraz byłyby przyjęte przez samych Ukraińców z większym zrozumieniem niż rok temu czy – obawiam się – za rok. Uważam, że prezydent Zełenski i Ukraina stracili niepowtarzalną okazję, bo właśnie teraz Ukraińcy widzą, jak bardzo pomagają im i ich państwu Polska i Polacy. Czy pamięć o tej pomocy nie przyblaknie za rok? Tego nie wiem. Dlatego żałuję, że nie padło ukraińskie „wybaczcie". Mam wrażenie, że prezydent Zełenski wszedł w buty swojego poprzednika Petra Poroszenki. Obaj wywodzą się ze środowisk politycznych bardzo odległych od nacjonalistycznych. W mojej opinii Poroszenko, podobnie jak wcześniej Juszczenko, był jednak zakładnikiem środowisk skrajnie narodowych. Tak samo Zełenski woli ich nie drażnić, bo przecież są potrzebni, bo to z nich w dużej mierze rekrutują się żołnierze armii ukraińskiej i sił specjalnych Ukrainy. Myślę jednak, że władzom w Kijowie zabrakło pewnego horyzontu, żeby się na taki historyczny gest – przeprosin Polaków za ludobójstwo sprzed lat – zdobyć.

Czy wobec tego rzeczywistej linii, która określa realną politykę ukraińską wobec Polski, nie wytyczają słowa wypowiedziane przez byłego ambasadora Ukrainy w Berlinie Andrija Melnyka w wywiadzie udzielonym jednemu z niemieckich dziennikarzy? Melnyk zaprzeczył ludobójstwu Polaków na Wołyniu. Przekonywał też, że w czasach II RP Ukraińcy byli straszliwie prześladowani przez Polskę.

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Zwracam uwagę, że w swojej wypowiedzi, w wywiadzie, który ukazał się na kanale YouTube, ambasador Ukrainy w Berlinie zaprzeczał także innym oczywistym faktom historycznym.

Takim jak udział OUN-UPA w ludobójstwie Żydów...

Tak. Tyle że reakcja państwa Izrael na słowa Melnyka była znacznie silniejsza niż reakcja państwa polskiego. Pewnie tę powściągliwą reakcję władz RP na wypowiedź ukraińskiego ambasadora w Niemczech można jakoś tłumaczyć tym, że za naszą wschodnią granicą toczy się wojna i w naszym interesie jest to, żeby Ukraina tę wojnę wygrała. To jednak w moim przekonaniu nie usprawiedliwia reakcji Warszawy, nie do końca adekwatnej wobec tego, co się stało. Po takich słowach trzeba wszcząć alarm, bo istnieje obawa, że polityka historyczna, a z czasem być może polityka zagraniczna Ukrainy, będzie kroczyła po torze wskazanym przez pana Melnyka. Zwracam uwagę, że ukraińskie MSZ nie potępiło tych słów, tylko stwierdziło w swoim oświadczeniu, że są to prywatne poglądy ambasadora.

Mówi się, że Melnyk ma zostać wkrótce awansowany na wiceszefa ukraińskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Jeśli to się potwierdzi, to będzie to sygnał, że państwo ukraińskie promuje tego rodzaju wypowiedzi. Jestem tym zaniepokojony nie tylko ze względu na nasze bilateralne relacje, bo trudno zaakceptować sytuację, w której ukraińską politykę zagraniczną będzie kształtował negacjonista, ktoś, kto zaprzecza ukraińskiemu ludobójstwu na Polakach i Żydach, tak jak robi to ambasador Melnyk. Jednocześnie, być może wbrew jego intencjom, daje on pożywkę dla rosyjskiej propagandy, która oczywiście tego typu wypowiedzi będzie wykorzystywać. W tym znaczeniu enuncjacje Melnyka są niesłychanie szkodliwe, a ich beneficjentem jest Moskwa. Należy to bardzo jasno stwierdzić. Zresztą zrobiły to nasze władze państwowe.

Inwestujemy dużo w Ukrainę. Mówię nie tylko o motywowanym strategicznym polskim interesem wsparciu politycznym dla naszego południowo-wschodniego sąsiada w wojnie, którą toczy z Rosją, lecz także o bezinteresownym, dyktowanym potrzebą solidarności wsparciu udzielanym Ukraińcom przez miliony Polaków. Ten wysiłek jest ignorowany przez naszych partnerów w Unii. Ostatnio jeden z komisarzy odpowiedzialny za praworządność – Belg Didier Reynders – powiedział, że Polska nie może liczyć na żaden „wojenny rabat". Jeśli Ukraina, nie daj Boże, przegra tę wojnę, to zostaniemy sami między żądną nowych podbojów imperialistyczną Rosją i wrogą nam Unią sterowaną przez Niemcy?

Mam nadzieję, że nikt z naszych rządzących nie liczy na to, że Unia Europejska będzie nas nagradzała za pomoc Ukrainie. Trzeba powiedzieć jasno, że jesteśmy na kursie kolizyjnym z Komisją Europejską, a także z innymi instytucjami europejskimi, takim jak np. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu. Wynika to z tego, że – nazwijmy to językiem ekonomistów – państwa, które w spółce o nazwie Unia Europejska mają pakiet większościowy, czyli Niemcy, Francja i w jakiejś mierze Holandia, traktują Polskę jako coraz większego konkurenta ekonomicznego w perspektywie długoterminowej. A już teraz w Berlinie i Paryżu doskonale zdają sobie sprawę, że polska pomoc dla Ukrainy może doprowadzić do niepożądanych przez nich zmian geopolitycznych w Europie i już spowodowała zwiększenie roli Polski zarówno w wymiarze transatlantyckim, jak i w samej Europie. Nie oczekujemy, że Unia będzie nas chwalić z powodu zaangażowania na rzecz Ukrainy. Tak nie będzie, bo mamy sprzeczne interesy. Polskie władze powinny powiedzieć to wprost polskim obywatelom. Ostatnio zrobił to zresztą Jarosław Kaczyński podczas spotkania z wyborcami w Płocku. Ludzie powinni mieć świadomość tego, że Polska nie stoi unijnymi pieniędzmi, które stanowią tylko część naszego budżetu. W tej sprawie warto odwołać się do polityki węgierskiego premiera Viktora Orbána, który Węgrom od lat mówił, że środki z Unii Europejskiej nie decydują o przyszłości ekonomicznej ich kraju. Dzięki takiemu podejściu obniżał oczekiwania Madziarów wobec Unii Europejskiej i pomocy z jej strony.

W jakimś sensie nasz rząd wszedł w buty Kazimierza Marcinkiewicza i Donalda Tuska

U nas unijna pomoc ma cały czas charakter fetyszu. Kto kwestionuje nawet przy pomocy najbardziej roztropnych argumentów jej sens, ten wróg i zaprzaniec. Może czas zacząć mówić o tym głośno, zamiast trzymać się kurczowo – jak pan to ujął – „spółki o nazwie Unia Europejska", która zdaniem wielu jest na prostej drodze do bankructwa?

W jakimś sensie nasz rząd wszedł w buty Kazimierza Marcinkiewicza i Donalda Tuska. Jeden wołał „Yes, yes, yes" po zatwierdzeniu budżetu UE na lata 2007–2014, drugi chwalił się, że te pieniądze są największe w historii Polski. Nasz rząd eksponował z kolei na billboardach, że dostaniemy z Unii 700 mld. Staliśmy się zakładnikami tej taktyki.

Czyli tkwimy w klinczu, żebrząc o pieniądze z Brukseli, zamiast na serio zacząć przymierzać się do życia poza Unią?

No, jednak nie dzisiaj, nie teraz – zwłaszcza w kontekście wojny za naszą wschodnią granicą, a jednocześnie wschodnią granicą Unii, to „mission impossible". Co więcej, pojawiają się pomysły idące zupełnie „po bandzie" – żeby w sytuacji kryzysu wstąpić do strefy euro. To przejaw nieznajomości ekonomicznego ABC. Akurat narodowa waluta w czasach kryzysu jest niesłychanie pożytecznym resorem przy finansowych turbulencjach. Sytuacja jest jednak dynamiczna. Za sześć–siedem lat Polska stanie się płatnikiem netto w Unii. Będziemy więcej dawać do kasy w Brukseli w postaci składki członkowskiej niż stamtąd brać na projekty realizowane w Polsce. Wówczas wielu euroentuzjastów lub wyznawców „świętego spokoju" chyba zacznie inaczej traktować Unię Europejską – wtedy, kiedy okaże się, że to my ją utrzymujemy. Dziś jesteśmy wciąż jednym z ośmiu–dziewięciu najbiedniejszych krajów Unii, ale już pod koniec dekady będziemy tę Unię z jej szaleństwami obyczajowymi i ekologicznymi sponsorować. Myślę, że w związku z tym za kilka lat w Polsce należy spodziewać się poważnej fali eurorealizmu czy eurosceptycyzmu, która będzie wynikała z gwałtownego przebudzenia i świadomości, że to nie my korzystamy z tego kranu finansowego, tylko odkręcamy go dla innych. Jednak teraz na pewno nie czas na taką dyskusję, co dobrze widać po wciąż eurooptymistycznych sondażach. Wyjątkiem jest tylko bardzo pocieszający fakt, że 65 proc. naszych rodaków nie chce wejścia Polski do strefy euro.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Wszystkie katastrofy Leszczyny

Zuzanna Dąbrowska

Miała być ekonomiczną „twarzą" PO, która merytorycznie wypunktuje politycznych przeciwników. Tymczasem wydaje się, że kolejne wypowiedzi Izabeli Leszczyny przynoszą partii Tuska więcej szkody niż pożytku

FOT. PAP/RAFAŁ GUZ

Ciężko powiedzieć, czym jest „500+". Nie poprawiło jakości życia, bo jakość życia dziecka to jest dobra szkoła, ochrona zdrowia, nic takiego się nie stało. Od siedmiu lat mamy to świadczenie, a ja nie znam żadnych badań, co tak naprawdę się stało, jaką mamy wartość dodaną" – to stwierdzenie wiceszefowej PO (padło w kontekście plotek medialnych o waloryzacji) poruszyło opinię publiczną. Z jednej strony odezwali się przedstawiciele obozu władzy, którzy wciąż traktują wprowadzenie świadczenia jako jeden ze swoich sztandarowych sukcesów. Z drugiej – słowa Leszczyny wywołały grymas na twarzach partyjnych kolegów. Nic dziwnego. Wydawało się, że temat „500+" został „przepracowany" przez liberałów z PO i przyjęli oni do wiadomości, że przekaz do społeczeństwa brzmi teraz: „Nic, co dane, nie będzie zabrane". Jednak za sprawą tej wypowiedzi przez kilka dni konkurenci Platformy na opozycji mieli używanie. I tak np. Szymon Hołownia stwierdził, że „program »500+« nie spełnił zadania demograficznego, ale pełni dziś kluczową rolę godnościową i społeczną". Dosadniej i dowcipniej skomentowała wywody Izabeli Leszczyny Anna Maria Żukowska z Lewicy, wskazując, że świadczenie może nie poprawiło jakości życia posłanki PO, ale jej dziecka tak. PiS mógł grzmieć: „Jeśli Tusk dojdzie do władzy, to zabierze »500+«" (w domyśle także 13. i 14. emeryturę, Rodzinny Kapitał Opiekuńczy i oczywiście podwyższy wiek emerytalny). To warstwa polityczna. Niemniej istotna jest warstwa ekonomii i faktów.

DOGMAT PO

Można założyć, że jeżeli takie stwierdzenie wypowiada była wiceminister finansów, to ma ono pokrycie w rzeczywistości. Tymczasem z danych Eurostatu opublikowanych pod koniec 2021 r. wynika, że w okresie 2015–2020 zagrożenie ubóstwem dzieci w Polsce zmniejszyło się z 26,9 proc. do 16,1 proc. W 2010 r. było to 30,8 proc.

– Analizy wykazują, że w wielu wypadkach „500+" zostało racjonalnie wykorzystane przez rodziców do wspierania edukacji dziecka. Chodzi o dodatkowe materiały oraz naukę języków. To także ważne dla rodziców, którzy decydują się na nauczanie domowe, a takich jest coraz więcej – mówi „Do Rzeczy" ekonomista prof. Zbigniew Krysiak, szef Instytutu Schumanna. Dodaje, że edukacja to pojęcie holistyczne. – Jednym z jej elementów jest też poznawanie świata i obcowanie z naturą. Niektóre dzieci nie były nigdy nad morzem, a dzięki temu świadczeniu mogły je zobaczyć. Kolejny aspekt to możliwość zatrudnienia opiekunki do dziecka, dzięki czemu rodzic, najczęściej matka, nie musi rezygnować z aktywności zawodowej. Ostatni ważny wymiar to kultura – „500+" pozwala na korzystanie z różnych form rozwoju kulturalnego – podkreśla ekonomista.

Z kolei politolog, wykładowca Uniwersytetu Szczecińskiego prof. Maciej Drzonek ocenia, że takie wypowiedzi Leszczyny są szkodliwe dla PO w kontekście walki o elektorat niezdecydowanych. – Jeśli polityk twierdzi, że świadczenie „500+" niczego nie poprawiło, to znaczy, że realizuje narracyjny dogmat, który Platforma Obywatelska stosuje od 2015 r. – w skrócie nazwać można go „nie dla PiS, bo nie". Każda władza w swoim dorobku ma pewne sukcesy i porażki – to normalne. Natomiast Platforma przyjęła strategię, że PiS robi wszystko źle. Nawet jeśli

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

zrobi coś dobrze, to działacze PO będą to krytykować. Jest to nie tyle „przekaz dnia", ile przekaz PO w ogóle. Ale ten przekaz trafia nie tylko do „betonowego" elektoratu PO, który zawsze przyklaśnie wszystkiemu, co liderzy tej partii ogłoszą. Bo te niezgodne ze stanem faktycznym opinie również dotrą do elektoratu najważniejszej partii, którą nazywam „nie wiem, na kogo zagłosować". A stanowią go osoby, które potrafią krytycznie oceniać nieracjonalne wypowiedzi polityków. I kiedy słyszą wypowiedź, że „»500+« to jest nic", to zastanawiają się, czy jej autorka może być ministrem finansów, a w takim kontekście jest prezentowana poseł Leszczyna – wskazuje prof. Drzonek.

POLONISTKA NAUCZYCIELKA

Choć Izabela Leszczyna jest kreowana na ekonomiczną „twarz" PO, to z wykształcenia jest polonistką. Pracowała jako nauczycielka, ale może się pochwalić ukończeniem licznych studiów podyplomowych – m.in. z zakresu filozofii i etyki. Z oficjalnej strony internetowej wiceszefowej PO dowiadujemy się, że 2011 r. ukończyła studia podyplomowe „Audyt wewnętrzny i kontrola zarządcza w jednostkach sektora finansów publicznych" w SGH.

Od 2013 do 2015 r. pełniła funkcje sekretarza stanu w Ministerstwie Finansów oraz pełnomocnika rządu do spraw informacji i edukacji finansowej w zakresie budżetu, finansów publicznych i instytucji finansowych oraz ochrony finansów publicznych. W zaprezentowanym jesienią 2016 r. „gabinecie cieni" PO, wtedy pod przywództwem Grzegorza Schetyny, Leszczyna została mianowana z powrotem wiceministrem finansów. Co prawda, pomysł szybko został zarzucony, a udawany rząd nie przedstawił kontrpropozycji dla władzy PiS, ale łatki „cieniasa" posłanka nie może pozbyć się do dziś. Obecnie Izabela Leszczyna jest wiceszefową sejmowej Komisji Finansów. W PO od grudnia ubiegłego roku pełni funkcję jednego z 10 wiceprzewodniczących.

Leszczyny jest w mediach dużo. Zarówno tych tradycyjnych, jak i społecznościowych. „Mój mąż jest informatykiem. To dzięki niemu stałam się fanką Internetu i ta fascynacja trwa nieprzerwanie od wielu lat" – przyznawała parlamentarzystka. Jednak w ostatnich miesiącach niemal każda jej wypowiedź ma dla PO nieprzyjemne konsekwencje. Niemająca pokrycia w rzeczywistości krytyka

Chociaż Izabela Leszczyna kreowana jest na ekonomiczną „twarz" PO, to z wykształcenia jest polonistką

„500+" to tylko wierzchołek góry lodowej. Najbardziej absurdalnym stwierdzeniem było to, że program Platformy... poznamy po wygranych przez tę partię wyborach. Rozmowa dotyczyła pomysłu na usprawnienie budowy mieszkań. Dopytywana przez Jacka Prusinowskiego w Radiu Plus o to, jak konkretnie PO ma zamiar to zrobić, Izabela Leszczyna odparła: – Chodzi o system dopłat. Podobny program mieliśmy w 2014 r. Nie zdążył się rozkręcić, a PiS go zamknął. Mamy dzisiaj jeszcze lepsze pomysły, zapewniam. Jak wygramy wybory, przedstawimy szczegóły.

Politycy PiS nie ukrywają, że dla nich takie wypowiedzi to gwiazdka z nieba. – Mam nadzieję, że nie ma takich naiwnych, którzy zagłosują na partię mówiącą, że najpierw musi wygrać wybory, a dopiero potem powie, co zrobi. Może to nawet więcej niż naiwność – to głupota. Nie wolno oddawać władzy ludziom, którzy nie chcą powiedzieć, jaki mają plan. To może sprowadzić na manowce nawet wyborców PO – mówi „Do Rzeczy" „komisyjny" kolega Izabeli Leszczyny, przewodniczący sejmowej Komisji Finansów poseł Andrzej Kosztowniak. Według politologa prof. Macieja Drzonka to przejaw podstawowej przeszkody, która nie pozwala opozycji nie tylko pokonać PiS, lecz także zbliżyć się do partii Kaczyńskiego w sondażach: – Opozycja ma problem ze sformułowaniem przekonującego programu dla większości społeczeństwa. To problem fundamentalny – jeśli mam na kogoś zagłosować, to muszę wiedzieć dlaczego.

PRZEGRZEWANIE TEMATU

Polska znajduje się w najtrudniejszej sytuacji gospodarczej od lat. Rekordowa inflacja i kryzys energetyczny to realne powody do więcej niż niepokoju. Ogromny wpływ na ten ponury krajobraz ma wojna. Jednak – jak wynika z rządowych dokumentów – decyzja o embargu na rosyjski węgiel została podjęta bez koniecznych analiz – za szybko i głupio. Wydawałoby się, że to idealna sytuacja, aby walić w rządzących, ile się da, i w ten sposób budować kapitał na przyszłoroczne wybory. Być silnym słabością PiS. Naturalnym obiektem krytyki, obok oczywiście najważniejszych polityków rządu na czele z premierem, jest szef banku centralnego.

Tymczasem PO w swoim stylu „przegrzewa" temat. Najpierw Tusk z Siemoniakiem chcą wyprowadzać siłą Adama Glapińskiego z NBP. Później do chóru dołącza Izabela Leszczyna, która pisze: „Nieodpowiedzialne i szkodliwe dla Polski, w czasie turbulencji i niestabilnej sytuacji makroekonomicznej, było powołanie Glapińskiego! Krytykowanie go akurat pomaga, bo rynki finansowe widzą, że po wyborach będzie stabilnie i przewidywalnie". Czyli zdaniem ekonomicznej „twarzy" PO globalne rynki trzymają kciuki za zwycięstwo tej partii, bo gdy w końcu – cytując Schetynę – „ze zdrowego drzewa naszego państwa strząśnięta zostanie PiS-owska szarańcza", Polska stanie się krainą mlekiem i miodem płynącą.

Izabela Leszczyna ma też „genialną" receptę na walkę z inflacją w ogóle. Nie będzie zaskoczenia – to „wolne sądy" i przestrzeganie praw człowieka. – Żeby skutecznie i trwale zwalczyć inflację, potrzebne są Polsce fundusze Unii Europejskiej i inwestycje prywatne […]. Powtórzę wam coś, czego nie rozumiecie. Konieczne są wolne sądy i praworządność, i przestrzeganie praw człowieka i obywatela, a nie podsłuchiwanie opozycji – nawoływała wiceszefowa PO w styczniu z sejmowej mównicy.

„Te wszystkie PiS-owskie przestępstwa urzędnicze i cały szereg innych będą przez normalne, niezależne sądy po prostu oceniane. […] Na pewno normalna, niezależna prokuratura, normalny, niezależny sąd będzie musiał z tym wszystkim się zmierzyć" – to z kolei komentarz Leszczyny w sprawie afery respiratorowej. Zero treści, samo straszenie przeciwników plus bajanie o złej, PiS-owskiej prokuraturze. Platforma w pigułce.

Prawo i Sprawiedliwości nie radzi sobie z gospodarką. Kiedy pojawia się problem, jedynym pomysłem jest zazwyczaj dosypywanie pieniędzy. Jednak jeśli alternatywą ma być polityka uosabiana przez naczelną ekonomistkę PO, to – cytując klasyka – „nie będzie niczego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Piłowanie korzeni

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Piotr Semka

Czy kłopoty „Tygodnika Powszechnego" świadczą o tym, że powoli znika grupa osób, które deklarują się jako katolicy i równocześnie chłoną wszystkie hasła zmian obyczajowych, które z nauką Kościoła kolidują?

Tygodnik Powszechny" od półtora roku ze stratą – taką informację podał na początku lipca branżowy portal Wirtualne Media. „W ubiegłym roku wydawca »Tygodnika Powszechnego« przy niewielkim spadku wpływów i wzroście kosztów operacyjnych o 8,1 proc. zanotował 149 tys. zł straty netto, a od stycznia do maja 2022 r. jego strata sięgnęła 185,3 tys. zł" – czytamy w relacji.

Istotnie, jeśli porównać wyniki sprzedaży z ostatnich dwóch lat, to widać zmianę. W grudniu 2020 r. liczba sprzedanych egzemplarzy w tzw. rozpowszechnianiu płatnym razem wynosiła 29 927 egzemplarzy. W wynikach za I kwartał 2022 r. średnia sprzedaż miesięczna utrzymuje się na poziomie 23 314 egzemplarzy. Wydawca – Fundacja Tygodnika Powszechnego – tłumaczy gorsze wyniki jako efekt „ogromnego wzrostu presji kosztowej, którą pogłębił wybuch wojny na Ukrainie". Oczywiście kłopoty ma cała papierowa prasa, ale nie jest to pełna odpowiedź na pytanie o problemy krakowskiej gazety. Tym bardziej że pismo od paru lat reklamowało się jako „najszybciej rosnący tygodnik" i podkreślało, że „czytelnicy nam ufają". Zachęcano: „Zaprenumeruj roztropny tygodnik opinii". Skąd więc obecny kryzys?

PISMO DLA KAŻDEGO?

Krakowski tygodnik wydawany jest od 1945 r. bez przerwy. Jego specyficzny status jedynego pisma ogólnopolskiego wydawanego bez bezpośredniej kontroli komunistycznych władz przyniósł mu w epoce PRL niezwykłą popularność. Z jednej strony przyciągał ludzi wierzących jako pismo mające imprimatur krakowskiej kurii, z drugiej strony, od lat 60. zawsze dbał o przyciąganie do siebie laickiej inteligencji, która z czasem coraz bardziej wkraczała na pole sympatii opozycyjnych.

Po roku 1989 pismo kierowane przez Jerzego Turowicza zaszokowało wielu katolików zaangażowaniem w spory polityczne po stronie najpierw Unii Demokratycznej, a potem Unii Wolności i bardziej lub mniej maskowaną akceptacją dla haseł zmian obyczajowych. Co prawda, pismo z ul. Wiślnej już od lat 60. lansowało koncepcję tzw. Kościoła otwartego, ale to, co zaczęło się dziać od początku lat 90., zdumiało wielu ludzi dalekich od dewocji. Towarzyszyło temu powolne odchodzenie na dalszy plan starej gwardii tygodnika na czele z Jerzym Turowiczem i przekazywanie redagowania gazety w ręce frakcji „młodych", którzy bezrefleksyjnie przyjmowali wszystkie cele rewolucji cywilizacyjnej wskazywane przez „Gazetę Wyborczą". Symbolem domniemanej syntezy między „starym tygodnikiem" a jego nowym obliczem był ks. Adam Boniecki z zakonu marianów. Jednocześnie tygodnik wciąż podtrzymywał wrażenie, że jest pismem katolickim, a niezdecydowana polityka kard. Franciszka Macharskiego utrwalała niejasny status pisma.

Równie zręczną politykę prowadził faktyczny nowy szef tygodnika ks. Boniecki, który mimo oficjalnego zakazu występowania w mediach wydanego przez jego macierzysty zakon zdołał sobie stworzyć pełne pole do wypowiedzi w edytorialach otwierających „TP".

Począwszy od 2015 r., redaktorzy tygodnika zaczęli prezentować go jako pismo środka mające być azylem dla osób zmęczonych wieloletnim sporem Platformy Obywatelskiej z Prawem i Sprawiedliwością. Owszem, tygodnikowi daleko było do agresywnej formy okładek „Newsweeka" Tomasza Lisa czy rozmaitych kampanii „Gazety Wyborczej". Swoją jakość miały teksty o świecie takich mistrzów gatunku jak Wojciech Jagielski czy Wojciech Pięciak, ale tak zachwalane polityczne „wyważenie" pisma było tylko wygodnym mitem. Krakowski tygodnik zawsze trzymał, choć w subtelny sposób, stronę opozycji i był zdecydowanie niechętne prawicy.

Jedyny okres szukania pewnego otwarcia na autorów konserwatywnych miał miejsce ok. 2009 r., gdy wicenaczelny „TP" Dariusz Jaworski eksperymentował z zapraszaniem na łamy takich publicystów jak Piotr Zaremba czy Paweł Milcarek. Te eksperymenty szybko zostały ukrócone, a Jaworskiemu wskazano drzwi. Nie było za to żadnych problemów przy współpracy tygodnika z lewicą, i to niekiedy bardzo skrajną. Pouczający w tej mierze był przypadek współpracy tygodnika z Rafałem Wosiem. Kiedy Woś został usunięty z „Polityki" za zbytnie negowanie niepokalanego charakteru

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

reform Balcerowicza, „Tygodnik Powszechny" demonstracyjnie przygarnął go na swoje łamy. Wystarczyło jednak, by Rafał Woś parę razy pochwalił programy socjalne PiS, by lewicowego publicysty pozbyto się z pokładu.

Chętnie za to współpracowali z krakowskim pismem celebryci dziennikarscy, których utożsamiać można z obozem proplatformerskim. Tacy autorzy jak Andrzej Stankiewicz, Karolina Lewicka z TOK FM, byli witani w krakowskim piśmie z otwartymi rękoma. To samo dotyczyło autorów sympatyzujących z lewicą, i to bardzo radykalną. Tak było z Witoldem Głowackim, a obecnie dotyczy to Jakuba Majmurka z „Krytyki Politycznej".

Obecnie zaproszenia na łamy tygodnika są możliwe dla publicystów niegdyś uważanych za konserwatystów, jeśli wykonają oni odpowiednią ekspiację. Z tego powodu na łamach tygodnika od pewnego czasu często pojawia się Tomasz Terlikowski.

Z tygodnikiem wiązali też swoje nadzieje politycy z kręgu Szymona Hołowni. Formuła pisma, w którym zresztą Hołownia miał swój cykliczny felieton, pasowała do politycznego lidera, który wysyła swoje delegacje na tęczowe marsze, ale jednocześnie żółtym kolorem partyjnych plakatów nawiązuje do papieskich barw.

Jednak tak naprawdę oblicze tygodnika najlepiej pokazywały teksty, które ukazywały się w momencie ostrych kryzysów feministycznych. Jesienią 2016 r., gdy wybuchły demonstracje parasolek, Dorota Masłowska deklarowała na łamach „TP": „Krew mnie zalewa. Czarny protest jest ruszeniem z posad bryły świata. To jest nieprawdopodobne, jak bardzo mentalnie nie nadążamy za rzeczywistością. Cały ten postęp technologiczny, smartfony, drony i okulary Google, a z drugiej strony w pewnych warstwach społecznych kobiety są nadal świnką, zwierzęciem, mięsem".

Jeszcze wyraźniej tygodnik pokazał swoją linię w czasie strajku kobiet i demonstracji symbolizowanych znakiem błyskawicy. Tygodnikowi nie przeszkadzały wtedy manifesty Zuzanny Radzik, która w swojej retoryce ocierała się o bluźnierstwo. Bojowa feministka pisała w październiku 2020 r.: „Chodzi o protest kobiety wcielonej. Ciało, nad którym państwo i Kościół chcą mieć kontrolę, mówi dość". Redakcja „TP" uznała ten tekst za na tyle ważny, by – jak zaznaczono na stronie internetowej pisma – zaprezentować go „bezpłatnie, w prezencie dla czytelniczek i czytelników".

NA BARYKADACH ZMIAN

W styczniu 2021 r. doszło ostatecznie do odwlekanego wiele razy wcześniej cofnięcia zgody kurii krakowskiej na korzystanie przez tygodnik z pomieszczeń kurialnych przy ul. Wiślnej. Zwolennicy tygodnika zasypali wówczas abp. Marka Jędraszewskiego licznymi listami z protestami przeciwko tej decyzji. Tygodnik zorganizował natychmiast zbiórkę wśród czytelników na pokrycie kosztów przeprowadzki. Dla wielu katolików była to z kolei decyzja spóźniona o całe dekady. Niezwykle agresywne teksty negujące zasady zawarte w Katechizmie Kościoła katolickiego uchodziły wcześniej tygodnikowi na sucho.

Na pozycję kolejnego nieformalnego patrona pisma wysunął się z czasem abp Grzegorz Ryś, który jest stałym felietonistą pisma. Inne nazwiska kościelnych progresywistów to ks. Wacław Oszajca czy jezuita ks. Jacek Prusak.

W kwietniu tego roku tygodnik zaprzestał publikowania cotygodniowych edytoriali ks. Adama Bonieckiego z wyjaśnieniem, że sędziwy kapłan wybiera się na dłuższy odpoczynek. Niedawno tygodnik żegnał też innego weterana tygodnika, Stefana Wilkanowicza, który dożył pięknego wieku 98 lat.

Nadzieje tygodnika na zmiany w polskim Kościele w kierunku ideologii Kościoła otwartego się nie spełniają. Na początku lat 90. gazeta łudziła się, że zmiany nastąpią wraz z mianowaniem bp. Tadeusza Pieronka na sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski. Potem liczono, że na czoło polskiego Kościoła wysunie się bp Józef Życiński, a wreszcie depozytariuszem zmian miał być bp Grzegorz Ryś. Jednak kolejne lata epoki papieża Franciszka mijają i na żaden wyraźny zwrot w lewo w polskim Kościele się nie zanosi.

PIŁOWANIE GAŁĘZI

Tygodnik zawsze chwalił się, że choć jest elitarny, to tworzyć będzie nową elitę katolików otwartych. Jednak od początku XXI w. na niekorzyść krakowskiego pisma zaczęło działać nowe zjawisko. Zmniejszać zaczęła się liczba wewnątrzkościelnych kontestatorów wskutek odchodzenia od kapłaństwa. Tak było z ks. Tomaszem Węcławskim, który porzucił stan kapłański i przybrał nawet nowe nazwisko – Tomasz Polak. Tak stało się też z dominikaninem o. Tadeuszem Bartosiem. W efektownym stylu sutannę porzucił również częsty autor tygodnika ks. Stanisław Obirek.

Innym bardzo znaczącym przykładem tego, że tygodnik traci grunt pod nogami, był przypadek Anny Dziewit-Meller. Ta zdolna dziennikarka, która publikowała na łamach „Wysokich Obcasów" (magazynu „Gazety Wyborczej"), w styczniu 2017 r. została felietonistką „Tygodnika Powszechnego". Gdy wybuchł strajk kobiet, Dziewit-Meller ogłosiła, że rezygnuje ze współpracy z tygodnikiem, i podjęła decyzję o apostazji.

Obecnie powolny spadek czytelnictwa „Tygodnika Powszechnego" skłaniać może do pytania, czy nie znika powoli grupa osób, które jednocześnie deklarują się jako katolicy i równocześnie chłoną wszystkie hasła zmian obyczajowych, które z nauką Kościoła kolidują.

Warto w tym kontekście przypomnieć wypowiedź Anny Dziewit-Meller, która tak wyjaśniała swoje odejście z pisma: „W obliczu tego, co dzieje się w Polsce, nie widzę dla siebie miejsca w tygodniku katolickim. [...] Jestem za prawem aborcji na życzenie, żaden kompromis nie jest dla mnie satysfakcjonujący. Czuję, że pisząc dalej dla »TP«, będę działała wbrew sobie, jakkolwiek gościnne były dla mnie te łamy". Trudno o bardziej drastyczne przyznanie, że praca w tygodniku została wykorzystana przez dziennikarkę jako wehikuł do politycznego i antyreligijnego rozwoju, a potem w chwili ostrego kryzysu tygodnik został bez sentymentu opuszczony jak tonący statek.

Nie oznacza to, że pismo nie może jeszcze wiele lat gromadzić malejącej zapewne z wolna grupy czytelników, którzy potrafią łączyć w sobie przynależność do katolicyzmu z akceptowaniem np. strajku kobiet. Zawsze przydatne będą argumenty, że Kościół musi za coś przepraszać lub że zła sytuacja Kościoła wynika z braku odpowiednio radykalnych reform. Jednak to będzie tylko wyjaskrawiać tezę, że w rozwoju pisma jest wewnętrzny, niszczący paradoks. „Tygodnik Powszechny" rozwinął się dzięki powojennej sile Kościoła katolickiego w Polsce. Pismo Turowicza usadowiło się solidnie w konarach kościelnego drzewa, ale od pewnego czasu zaczęło piłować gałąź, na której siedziało. Nie sposób wyzbyć się wrażenia, że teraz, na naszych oczach, ta gałąź zaczyna głośno trzeszczeć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Ciemna strefa badań

Łukasz Zboralski

Polskie przychodnie i szpitale zostały ogołocone z laboratoriów diagnostycznych. Nie ma nadzoru publicznego nad jakością ich pracy. W dodatku system stworzono tak, że lekarz zarabia więcej, gdy pacjenta nie bada w ogóle

To był jeden z najbardziej wstrząsających wpisów, jakie ostatnio pojawiły się w sieci. Na początku lipca lekarz rezydent psychiatrii Anna Bazydło opisała na Twitterze przypadek pacjenta, którego alarmujące wyniki badań dostarczono dzień po jego zgonie.

„Co oznacza brak wymiany informacji między poszczególnymi częściami państwa w praktyce: jestem na dyżurze, laboratorium realizujące kontrakt na badania dzwoni na izbę przyjęć i informuje o krytycznych wynikach badań pacjenta, IP dzwoni do mnie, ja do oddziału – zgon był wczoraj" – napisała Bazdyło. Wytknęła, że to kolejna ofiara złego systemu opieki zdrowotnej w Polsce. I dodała: „Gdyby ktoś się zastanawiał – to pokłosie »optymalizacji« w sektorze zdrowia. Outsourcing wszystkiego, poza pacjentami".

Rzeczywiście organizacja badań diagnostycznych w Polsce, od których zależy wykrycie choroby oraz postępowanie lekarza z pacjentem, to ukryty problem służby zdrowia. Na systemie, którego nikt od lat nie zmienia, tracą Polacy (bo ich choroby nie są wykrywane wcześnie), a zyskują zagraniczne firmy, które w pewnym momencie zmonopolizowały nasz rynek. Nikt nie kontroluje tego, jak powstają, ani jakości ich pracy, choć od lat diagności proszą o to Ministerstwo Zdrowia. Dlaczego?

NIEMIECKIE WEJŚCIE

Żeby zrozumieć, co stało się z polskimi, często publicznymi, laboratoriami, trzeba cofnąć się o ponad dekadę. Wówczas (tak jak zresztą do tej pory!) badania laboratoryjne w systemie publicznym nie były wyceniane. Nie wiadomo zatem, ile dokładnie kosztuje np. badanie morfologii krwi czy podstawowe badanie moczu. Jednocześnie (i tak też jest do dziś!) nikt w zasadzie nie kontroluje, jak powstają laboratoria diagnostyczne, kto w nich pracuje, na jakim sprzęcie i czy poddaje się kontrolom jakości w diagnostyce oraz jakie ma wyniki tych kontroli. Najlepiej uwidoczniło się to zresztą przy pandemii COVID-19, gdy jak grzyby po deszczu powstawały punkty diagnostyczne zarabiające olbrzymie pieniądze na setkach tysięcy testowanych Polaków. Tajemnicą poliszynela pozostaje, że czasami diagności tylko dawali prywatnym firmom swoje nazwiska do dokumentacji, a naprawdę nigdy w tych laboratoriach nie pracowali.

W takich warunkach ponad dekadę temu, gdy resort zdrowia umożliwił szpitalom to, by mogły nie posiadać własnych laboratoriów, te punkty zaczęły być oddawane firmom zewnętrznym. W tym samym czasie zgodzono się, by na polski rynek weszły takie firmy z kapitałem zachodnim, głównie niemieckim.

Dyrektorzy szpitali dostrzegli rzekomy ogromny zysk. Mogą oddać całe laboratorium komuś, nie martwiąc się o zatrudniony personel, sprzęt, odczynniki. Czasem zresztą oddawano w prywatne ręce w pełni wyposażone laboratoria. Zagraniczne firmy zaoferowały wówczas drastycznie niskie ceny za badania. Były wielkie, więc np. odczynniki mogły kupować po hurtowych cenach. – Za podstawowe badania stawki dawane lekarzom były tak niskie, że morfologia kosztowała 1 zł, gdy sama próbówka kosztowała 80 gr – wspomina dr Elżbieta Puacz, była prezes Krajowej Rady Diagnostów Laboratoryjnych. – W ten sposób unicestwiono całą diagnostykę ambulatoryjną w naszym kraju. Proszę zwrócić uwagę, że już dziś nie ma ambulatoriów przy przychodniach, zostały same punkty pobrań, a pobrany materiał biologiczny wożony jest setki kilometrów, przez wiele godzin, do centralnych laboratoriów sieciowych. Tymczasem za wysokospecjalistyczne badania te firmy brały już wysokie opłaty. W dodatku po

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

FOT. ADOBE STOCK

latach stały się prawie monopolistami. Gdy dziś powiedzą zarządzajcym szpitala: podnosimy ceny badań o 50 proc., to myśli pan, że co zrobi dyrektor szpitala, który dawno oddał własne laboratorium i nie ma ani pomieszczenia, ani sprzętu, ani kadry? Przecież tego nie zbuduje w tydzień.

Pewnego rodzaju niekontrolowana prywatyzacja to tylko jedna strona medalu. Poważniejsza jest ta, że prywatne sieci laboratoryjne sprawiły, iż diagności laboratoryjni i badania zostały oderwane od pacjentów i lekarzy. Przecięto więzi łączące pacjenta, lekarza i diagnostę. – Laboratoria stały się fabryką wyników, a nie ogniwem w procesie terapeutycznym. Diagności laboratoryjni posiadają olbrzymią wiedzę medyczną, nie tylko techniki badawcze, i w prawidłowo funkcjonującym systemie powinni być partnerem lekarza w procesie terapeutycznym, dla dobra pacjentów, tak jak pracują nasi odpowiednicy – lekarze, farmaceuci – w innych państwach – mówi Puacz. – Każdy diagnosta pracujący w laboratorium dokładnie znał „swoich" lekarzy i pacjentów, wiedział o trudnych pacjentach, znał ich historię choroby, miał kontakt z lekarzami prowadzącymi. A teraz? Lekarz dostaje wynik. Nie zawsze umie go dobrze zinterpretować, medycyna laboratoryjna bardzo się rozwija i interpretacja wyników też. Wielokrotnie lekarz nie może omówić z diagnostą otrzymanego wyniku, bo nie ma szans nawet dodzwonić się do diagnosty autoryzującego wynik badania, żeby coś skonsultować czy uzupełnić. Nie ma diagnostów pełniących opiekę i doradztwo diagnostyczne dla konkretnych oddziałów szpitala, przez co lekarze i niestety pacjenci pozbawieni są wiedzy, jaką posiada wykształcony na uczelniach medycznych polski diagnosta laboratoryjny. Czasem diagności próbują to w poszczególnych szpitalach ratować, nie zawsze to się udaje. W laboratoriach będących integralną częścią szpitala taka współpraca zazwyczaj się odbywa, zależy to głównie od dyrekcji i kadry medycznej.

Kolejny kłopot – przez brak publicznego nadzoru nikt nie wie, jaka jest prawdziwa jakość wydawanych wyników badań. Materiał do badania musi być dostarczony do laboratorium jak najszybciej od chwili pobrania. Tymczasem wielkie firmy – skupiające według szacunków już 80 proc. diagnostyki ambulatoryjnej i 50 proc. szpitalnej – mają swoje centralne laboratoria w dużych miastach. Przez to materiał z całego regionu czasem jest przewożony setki kilometrów. – Zwykła analiza moczu musi być wykonana w ciągu dwóch godzin – objaśnia Elżbieta Puacz. – Jeśli nie ma takiej możliwości, to mocz musi być przechowywany w temperaturze do 8 st. C. Tymczasem zdarzało się, że o godz. 18 przywożono bez zachowania wymaganych dla jakości badania warunków transportu mocz do badania pobrany o godz. 6. Ten materiał był do wylania, a nie do diagnostyki, ale diagnosta w prywatnej firmie po prostu musiał wykonać badanie. Wynik był niewiarygodny, lekarz otrzymując go, nie był tego świadomy. Wielokrotnie diagności zgłaszali, że nie mogli powtórzyć badania, bo to generowało dla właściciela laboratorium kolejne koszty. A przecież wynik to informacja dla lekarza o tym, co się dzieje z człowiekiem, czy i jak należy go leczyć!

Te problemy diagności laboratoryjni od lat zgłaszali Ministerstwu Zdrowia. Doprowadzili nawet w 2016 r. do panelu ekspertów w NIK i późniejszej kontroli. W tej kontroli inspektorzy potwierdzili słuszność ich uwag. Resort zdrowia obiecywał, że w Polsce wreszcie będzie nadzór nad laboratoriami, że powstanie Główny Inspektorat Medycyny Laboratoryjnej. Do dziś go nie ma. Do dziś nikt nie wycenił badań w systemie. Nie ma obowiązkowych paneli badań profilaktycznych. Do dziś nie ma rejestru badań diagnostycznych i np. POZ może zlecić te same badania jednemu człowiekowi i w tym samym czasie, gdy trafi on do szpitala, zlecone zostaną takie same.

SPOSÓB NA BRAK CHORYCH

Prawdziwym koszmarem jest jednak system podstawowej opieki zdrowotnej, zaplanowany tak, że lekarz zarabia najwięcej, gdy w ogóle pacjentowi nie zleca żadnych badań. Każdy rodzinny lekarz dostaje bowiem na pacjenta określoną pulę pieniędzy na rok. Jeśli pacjent nie choruje – to cała pula jest dla przychodni. Każde badanie diagnostyczne pomniejsza tę pulę. Jaki jest efekt? W Polsce w POZ pacjenci muszą wywierać na lekarzy presję, by ci zlecali im badania diagnostyczne. A przecież brak badań oznacza to, że choroby nie są wykrywane na czas. Ludzie chorują poważniej i zaczynają być leczeni często dopiero w zaawansowanych już stadiach chorób – to w efekcie kosztuje system, czyli nas wszystkich, dużo więcej niż diagnostyka i profilaktyka.

– W większości państw na świecie, nie tylko w Europie, bo to sprawdzaliśmy w analizach, wszyscy wiedzą, że lepiej jest zapobiegać niż leczyć, dlatego stawia się na profilaktykę, której elementem jest diagnostyka laboratoryjna – wskazuje Elżbieta Puacz. – Są obowiązkowe panele badań profilaktycznych w określonych fazach życia człowieka. Na przykład analizę moczu zleca się od urodzenia dziecka co dwa lata. U dzieci już w wieku czterech–ośmiu lat bada się cholesterol, by wiedzieć, czy ma tendencję do otyłości i należy wprowadzić już od małego określoną dietę i styl życia. W Czechach lekarz ma obowiązek co roku zlecić badania profilaktyczne pacjentowi. Jeśli tego nie robi, to płaci karę. Jeśli pacjent się nie stawia na badania, to gdy zachoruje, płaci za leki 100 proc. ceny. W Polsce taka profilaktyka nie istnieje. I – co gorsza – gdy dążyliśmy do zmiany, to przeciw temu byli lekarze rodzinni…

Zapytaliśmy Ministerstwo Zdrowia, dlaczego do dziś nie ma nadzoru nad laboratoriami, jakością ich pracy i rejestru badań. Zapytaliśmy też, czy resort zamierza zmienić system POZ, w którym lekarzom opłaca się nie zlecać badań, na taki, w którym premiowana będzie profilaktyka. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" ministerstwo na pytania nie odpowiedziało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Piotr Gociek

Geje z kosmosu

Disney, przez dekady symbol bezpiecznej rodzinnej rozrywki, kroczy dziś obok Netflixa w awangardzie postępu dyktowanego przez środowiska LGBT

Przedziwna rzecz wydarzyła się w jednym z najnowszych animowanych hitów Disneya „Buzz Astral". Dla tych, którzy nie oglądali, krótkie objaśnienie – film ten jest nietypową dokrętką do jednej z najpopularniejszych serii kinowych wszech czasów, to znaczy „Toy Story". Wszyscy pamiętamy historię zabawek walczących o… sens życia, bo do tego sprowadza się ich bój, by nie zostać zapomnianym, by nadal służyć dziecięcym właścicielom (w jednej z części jest to także bój po prostu o fizyczne przetrwanie).

Jednym z głównych bohaterów „Toy Story" jest zuchowata zabawka astronauta Buzz Astral. Zabawka ta to hołd nie dla prawdziwego zdobywcy kosmosu, ale gadżet związany z ukochanym filmem Andy'ego – chłopaka, który był głównym ludzkim bohaterem „Toy Story". Disneyowski „Buzz Astral" to właśnie ów fikcyjny film z uniwersum animowanej franczyzy. Fabuła jak fabuła, bardziej hołd dla fantastyki „Flasha Gordona", ale w pewnym momencie pojawia się potężna zagwozdka. Serdeczna przyjaciółka Buzza Astrala (oraz jego dowódca) Alisha Hawthorne wychowuje syna. Co nie byłoby dziwne, gdyby nie fakt, że wychowuje go ze swą żoną Kiko.

Przyjmijmy na chwilę punkt widzenia z wewnątrz uniwersum „Toy Story" (wszak do tego nas scenarzyści namawiają, podpowiadając, że „Buzz Astral" to ów nieznany dotąd kawałek historii małego Andy'ego. Akcja pierwszego „Toy Story" rozgrywa się w roku 1995 lub ciut wcześniej (w 1995 r. film miał swoją premierę, a jest to animowana opowieść współczesna o zwykłej amerykańskiej rodzinie). Zatem film, który w dzieciństwie obejrzał Andy – i który zrobił na nim tak wielkie wrażenie – musi pochodzić z tego samego okresu. W owym czasie nie do wyobrażenia było skierowanie do kin familijnego filmu z mamusiami lesbijkami, ja w każdym razie nie przypominam sobie takich ani z „Królestwa Zielonej Polany", ani z „Pocahontas".

ORWELLOWSKA KOREKTA PRZESZŁOŚCI

Jest więc nasz współczesny „Buzz Astral" celowo anachroniczny w najgorszy możliwy sposób – nagina po czasie stworzone wcześniej zasady, by zadośćuczynić dzisiejszym naciskom ideologicznym. Anachronizm jest także niewytłumaczalny z punktu widzenia wewnętrznej logiki serii „Toy Story" – skoro taki to postępowy świat od samego początku, to dlaczego nie wspomniano o tym ani słowem w filmach od pierwszego do czwartego? A złośliwie można zapytać, dlaczego Andy dostał do zabawy Buzza, a nie Alishę. Opisuję to wszystko tak obszernie, aby uświadomić czytelnikowi, że spór nie toczy się dziś już o to, jak będzie wyglądała przyszłość agendy środowisk LGBT w filmach, ale o to, jak bardzo dokonają one orwellowskiej korekty przeszłości. Czyżbyśmy mieli za chwilę dowiedzieć się, że, uwodząc Pocahontas, przybysz z Europy, wstrętny heteroseksualny John Smith, wyrwał ją z objęć jej indiańskiej żony lesbijki? Nic mnie już nie zdziwi, na wszelki wypadek jednak zastrzegam copyright na pomysł filmu „Pocahontas 3: Prawdziwa historia".

Przejdźmy do innej nowości Disneya. „Thor: Miłość i grom" to film, w którym tematy LGBT wpleciono w mknącą szybko fabułę tak zręcznie, że umyka to uwadze niejednego widza. Kamieniopodobny obcy Korg, którego Thor poznał w filmie „Ragnarok", okazuje się połową udanego związku z innym kamiennym tatusiem, dostajemy też krótką informację o tym, jak tatusiowie z kosmosu dokonują prokreacji kamiennego synka. Dzielne wojowniczki broniące królestwa Asgardu już otwarcie przedstawiane są jako lesbijki. Granice tego, co wolno, są w ostatnich latach gwałtownie poszerzane. Jeszcze w roku 2017 studio kazało wyciąć z filmu scenę, w której sypialnię Walkirii granej przez Tessę Thompson opuszcza inna kobieta. W kolejnym filmie serii kwestia jej orientacji seksualnej nie budzi już wątpliwości. Tymczasem już w ubiegłym roku w filmie „Eternals" (także MCU Disneya) pojawiła się cała homoseksualna rodzina: mocarz z kosmosu Fajstos, jego mąż Ben i syn Jack.

Tam, gdzie nie da się od razu przenicować znanych już bohaterów, tam się sprawę ich życia seksualnego dyskretnie poszerza. W serialu wyprodukowanym dla Disney+ znany z kinowych filmów Loki okazuje się biseksualny, podobnie jak jego alternatywna wersja z innej linii czasowej, która jest kobietą. W filmie „Doktor Strange w multiwersum obłędu" podróżująca między wymiarami America Chavez okazuje się córką dwóch mamuś,

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

America Chavez, bohaterka filmu „Doktor Strange w multiwersum obłędu" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

mamy też sugestię, że sama jest lesbijką – problem w tym, że owa obdarzona niezwykłymi zdolnościami bohaterka ma lat 14.

Disney, przez wiele dekad symbol bezpiecznej rodzinnej rozrywki (Marvel Cinematic Universe, przypomnijmy, to dziś własność koncernu Disneya), kroczy obok Netflixa w awangardzie postępu, inkrustując w zgodzie z wymogami mody na LGBT swoje najnowsze produkcje. To, co wydaje się wielu widzom – zwłaszcza spoza USA – szokujące lub niepotrzebne, okazuje się z kolei niewystarczające dla środowisk LGBT w Ameryce. Po każdym hicie kinowym odbywa się w mediach (zwłaszcza społecznościowych) skrupulatne wyliczanie, jakie nowe gejowskie, trans lub niebinarne postacie się pojawiły, ale idzie to w parze z wezwaniami: więcej, mocniej, bez aluzji! Od lat płyną apele do dzisiejszych twórców uniwersum „Gwiezdnych wojen", by dostosowali się do nowych czasów.

WARA OD NASZYCH DZIECI

Czy ta wojna jest już przegrana? Wielu uważa, że tak. Media chrześcijańskie w USA wciąż organizują protesty i bojkoty, publikują długie listy filmów i seriali, których rodzice powinni swym dzieciom oszczędzić. Ale coraz częściej recenzenci, nawet mediów konserwatywnych, przechodzą nad owymi nowomodnymi dodatkami do porządku dziennego. Jest, jak jest. I tyle.

Spór jednak trzeba prowadzić dalej, nawet jeśli to LGBT buduje nam dziś w rozrywce „nową normalność". Przede wszystkim dlatego, że mówimy nie o produkcjach dla dorosłych widzów, którzy sami mogą oceniać i wyciągać wnioski, ale o propozycjach dla dzieciaków, którym przy pomocy popkultury lobby LGBT zaczyna meblować głowy. Filmy i seriale, o których piszę w tym tekście, także do Polski trafiają z dubbingiem, kierowane są więc również do odbiorcy najmłodszego. Kinowe foyer to nie jest dobre miejsce na dyskusję z siedmiolatkiem na temat tego, dlaczego on nie ma dwóch tatusiów.

Chciałbym zwrócić jednak uwagę także na problem, z którego wagi nie zdajemy sobie jeszcze sprawy. Mianowicie, na ile nowa normalność staje się nową koniecznością. Zaprzyjaźniony spec od fantastyki relacjonował mi niedawno pewną publiczną dyskusję (targi książki, konwent – nie pamiętam dokładnie, gdzie to było), podczas której zadał pytanie zebranym czytelnikom, czy wyobrażają sobie dziś pisanie i publikowanie książek, w których nie ma gejowskich bohaterów. Większość zebranych odparła, że to niedopuszczalne. Pytam więc: „A dlaczego?". Argument „bo środowiska LGBT są nieodłączną częścią współczesnego świata" uważam za nietrafiony. Kobiety w ciąży też są tego świata nieodłączną częścią, a nikt nie domaga się, by w każdej książce, serialu lub filmie pojawiała się brzemienna niewiasta. Wiele rzeczy dzieje się wokół nas, mnogość i różnorodność jest nieprzebrana – jedynym i najważniejszym prawem artysty jest możliwość wolnego wyboru nierozerwalnie związana po prostu z wolnością słowa.

Ponura to przyszłość, w której gospodarkę nakazowo-rozdzielczą zastąpi nakazowo-rozdzielcza kultura. Widzą to także liberałowie wśród artystów, jak choćby znakomity komik Dave Chappelle, który niestrudzenie broni prawa do wyrażania własnych nieskrępowanych opinii i ciągle jest za to obsobaczany przez środowiska LGBT. Przyjrzyjmy się uważnie na jego przykładzie, jak wygląda współczesna wymiana poglądów. W ubiegłym roku Chappelle nagrał występ dla Netflixa, w którym objaśnił (nie po raz pierwszy), na czym polega wolność wypowiedzi artystycznej. Mimo wściekłej nagonki (sami pracownicy Netflixa demonstrowali przeciw produkcji, którą zamówiła ich firma) stand-up „The Closer" stał się największym hitem serwisu. Kilka tygodni temu do Netflixa trafił kolejny program – zapis wystąpienia Chapelle'a z okazji nadania jego imienia auli w jego dawnej szkole, Duke Ellington School of the Arts w Waszyngtonie. Zakończył swój monolog odmową przyjęcia zaszczytu. I zamiast swojego imienia nadał sali miano Theatre for Artistic Freedom & Expression.

W rewanżu 7 maja podczas Netflix Is a Joke: Festival, imprezy organizowanej w Hollywood Bowl, Los Angeles, został fizycznie zaatakowany przez jednego z widzów. Ktoś bardzo się przejął apelem środowisk LGBT, by Chapelle'a za jego żarty wykluczyć z życia publicznego. Wolność, ale nie dla wszystkich; wolność pod warunkiem; wolność licencjonowana; wolność słowa tylko dla tych, którzy mówią to, co należy. Spierają się o to dorośli – OK. Ale od naszych dzieci, drogi Disneyu – wara.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W filmie „Eternals" pojawiła się cała homoseksualna rodzina: mocarz z kosmosu Fajstos, jego mąż Ben i syn Jack FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN

Cała prawda fałszu

★★★★☆☆

REŻ. TOM GORMICAN
„NIEZNOŚNY CIĘŻAR WIELKIEGO TALENTU"
USA 2022

wyst. Nicolas Cage, Pedro Pascal

Próżny, ale przechodzący kryzys gwiazdor Nick Cage (w tej roli oczywiście Nicolas Cage) jedzie zarobić milion dolarów za udział w urodzinach swego bogatego hiszpańskiego fana. Wszystko mu się sypie, żona i córka mają go dosyć, kariera znalazła się na zakręcie, na koncie pusto; krótka popłatna ucieczka na Majorkę jest więc zrozumiała. Gospodarz to zakochany w filmach Nicka poczciwina, sam marzy o napisaniu filmu. A jeśli to w rzeczywistości straszny bandzior? Tak uważają agenci CIA, którzy kaptują Nicka do współpracy.

Film jest ucztą dla fanów Cage'a, są cytaty, nawiązania, parodie, sam Nicolas szarżuje bez miary, składając hołd samemu sobie. Kto za tym aktorem nie przepada, może sobie odpuścić, kto gwiazdę „Dzikości serca" ceni (ja do tego grona należę), będzie siedział przyklejony do ekranu. Zresztą młodociana wersja Cage'a ze słynnego filmu Lyncha także pojawia się na ekranie, jako mroczne alter ego głównego bohatera.

Żart, zabawa (zresztą świetna), pastisz, ale za tym wszystkim kryje się coś jeszcze. Spójrzmy na piętra tej metafikcji. Filmowy Nick jest podróbką i w roli ojca, i jako rozdarty artysta, i jako agent specjalny, i jako przyjaciel swego gospodarza (do czasu). Gra go prawdziwy Nicolas Cage, który tym samym zamienia się w nieprawdziwego. De facto jest ich trzech: Cage oryginalny (z naszego świata), Cage znany z filmów (czyli zbiór hollywoodzkich postaci fikcyjnych) oraz Cage wymyślony na potrzeby filmu „Nieznośny ciężar wielkiego talentu". Paradoksalnie z tych trzech najbardziej prawdziwy okazuje się jedynie ten środkowy – bo na równych prawach istnieje w obydwu światach, czyli zarówno w realu, jak i w satyrycznej rzeczywistości filmu Gormicana.

Pozostając branżową farsą, „Nieznośny ciężar wielkiego talentu" jest więc przypowieścią o labiryncie fałszu, jakim jest Hollywood, o tym, jak targowisko próżności wyciąga z człowieka to, co najgorsze, choć oczywiście sam uczestnik tego cyrku łudzi się, że to dla wyższego dobra (a przynajmniej dobra ogółu). Z tej komedii smaczków i cytatów wyłania się przesłanie, że uczucia powinny być prawdziwe, że bliskich kochać trzeba naprawdę. Ale znów to lekcja starego Hollywood: dekoracje na ekranie mogą być fałszywe, ale emocje – muszą być prawdziwe. ©℗

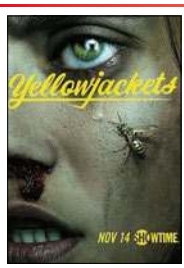

NOWE SERIALE: „YELLOWJACKETS"

CANAL+

Dziewczęca drużyna futbolowa po katastrofie samolotu musi sobie radzić w kanadyjskiej dziczy. Pomoc nadejdzie nieprędko – po wielu miesiącach. Ćwierć wieku później prowadzące dorosłe życie bohaterski wciąż noszą w sobie traumę i tajemnicę. A jedna planuje zemstę. Za co? Intrygujące skrzyżowanie thrillera surwiwalowego z dramatem obyczajowym, trochę inspirowane „Władcą much" Goldinga, a trochę losem ofiar prawdziwych katastrof. W obsadzie m.in. Christina Ricci, Juliette Lewis i Melanie Lynskey. Już zamówiono drugi sezon. ©℗

Piotr Gociek

- ***seria 1 „Yellowjackets", USA 2021, Canal+ Premium***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Baymax!", USA 2022,*** *animowany* — Disney+
- *sezon 1* ***„Pani sprzątająca" („The Cleaning Lady"),*** *USA 2022* — HBO max
- *sezon 3* ***„Warto się starać" („Trying"),*** *USA 2022* — tv

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Gra ciałem

KINO

Emma Thompson dzielną kobietą jest. Nie dlatego, że pokazuje się przed kamerą bez majtek i stanika, choć jej młodość przeminęła z wiatrem. Wiele pań, także młodszych, dałoby zresztą wiele, by wyglądać jak sfrustrowana Nancy. Aktorska odwaga polega raczej na obnażaniu duszy w okolicznościach pozwalających podejrzewać, że sztuka niewiele odbiega od rzeczywistości. Słowa o paniach, które „powyżej 42. roku życia przestają istnieć", odnoszą się bowiem bardziej do zasad obowiązujących w show-biznesie niż do sytuacji emerytowanej nauczycielki religii, pragnącej zostać „światową kobietą" i spróbować czegoś nowego (a nowe jest dla niej prawie wszystko). Ofiary ageizmu ze wszystkich krajów, łączcie się!

Społecznego wykluczenia doznaje również drugi z bohaterów filmu: żigolak, a według dzisiejszej nomenklatury wysoko wykwalifikowany sex worker. Leo zmuszony jest wciskać bliskim kit, że robi na platformie (wiertniczej), a przecież jako terapeuta, z niewielką pomocą alkoholu uwalniający klientów od lęków, przesądów i zahamowań, nie ma się czego wstydzić. Wiara, że prawo do seksu to źrenica praw człowieka, zamieniła pikantną komedię w świeckie kazanie. Na szczęście kreacja Thompson, która z zakompleksionej matrony zamienia się w ognistą kochankę, jest godna Oscara. Szkoda, że go nie dostanie. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. SOPHIE HYDE
„POWODZENIA, LEO GRANDE" („GOOD LUCK TO YOU, LEO GRANDE")
WIELKA BRYTANIA 2022

wyst. Emma Thompson, Daryl McCormack, Isabella Laughland

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOBIETA W KAPELUSZU

KINO

Pod szyldem komedii romantycznej sprzedaje się każdą historię miłosną. W „Superbohaterach" nie ma się z czego śmiać, a romantyczne jest tylko pierwsze spotkanie kochanków w strugach deszczu. Marco, poza tym, że potrafi obliczyć prędkość spadającej kropli, jest poczciwym nudziarzem. Anna, rysowniczka mocno autobiograficznych komiksów, to kłębek sprzecznych emocji. Genovese, wyspecjalizowany w opisywaniu sercowych rozterek, testuje tutaj różne warianty losu niedobranej pary. Widzowie mający problem z koncentracją mogą się pogubić, zwłaszcza w pierwszej połowie seansu. Pomocą służą zmieniające się fryzury Anny i Marka. Jak na mój gust, reżyser przekombinował, ale zapewne istnieją ludzie, którzy odnajdą w tym filmie siebie, wzruszą się, a może nawet łzę uronią. Swoją drogą, Włosi mają ciekawą definicję superbohaterstwa jako trwania w związku z osobą będącą naszym przeciwieństwem.

★★★☆☆☆

REŻ. PAOLO GENOVESE
„SUPERBOHATEROWIE" („SUPEREROI")
WŁOCHY 2021

wyst. Jasmine Trinca, Alessandro Borghi, Greta Scarano

PIRAT DŻENTELMEN

HBO max

Scenarzyści daremnie wytężają wyobraźnię, bo i tak nie nadążą za ekscesami gatunku homo sapiens. W roku Pańskim 1717 Stede Bonnet, znudzony monotonnym życiem plantatora, ruszył szukać szczęścia na Morzu Karaibskim. Kariera niekompetentnego kapitana „Revenge" była krótka i potwierdzająca prawdziwość tezy, że największymi błaznami są ci, którzy samych siebie mają za ludzi śmiertelnie poważnych. Można by się w tym dopatrzeć dramatu, ale autorzy serialu poprzestali na farsie. Królem przedstawienia jest Bonnet, sportretowany jako snob, cykor i marzyciel. Jego podkomendnych tudzież przeciwników ulepiono z podobnej gliny. Waititi, twórca uroczego pseudodokumentu o nowozelandzkich wampirach, odgrywa tu rolę potrójną: producenta, reżysera i osławionego pirata Czarnobrodego. Niektóre dowcipy chybiają celu, ale to propozycja godna rozważenia. Zwłaszcza w upały. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★★☆

REŻ. TAIKA WAITITI, DAVID JENKINS
„NASZA BANDERA ZNACZY ŚMIERĆ" („OUR FLAG MEANS DEATH")
USA 2022

wyst. Rhys Darby, Taika Waititi, Ewen Bremner

GRA TYGODNIA: „FORBIDDEN WEST"

★★★★★☆

„FW" liczy już parę miesięcy, ale nie miałem jeszcze okazji napisać o nim na tych łamach (każdy własną kupkę wstydu ma), więc nadrabiam zaległości. A nadrobić je warto, bo to bardzo solidny tytuł w otwartym i świetnie wyglądającym (zwłaszcza na PS5) świecie. Godny następca „Horizon Zero Dawn". Historia nie jest może wyjątkowo odkrywcza, ale ciekawa, wciągająca (choć dość zawoalowana, więc trudna do opowiedzenia w dwóch zdaniach) i na swój sposób oryginalna m.in. za sprawą współistnienia nowoczesnych technologii i prymitywnych plemion. Jeśli przygody Aloy są i na waszej kupce wstydu, to zdecydowanie warto przesunąć je na wierzch. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *akcja, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, PS4*
- ***Producent, wydawca:*** *Guerrilla Games, Sony Interactive Entertainment*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

MOJA PÓŁKA

Odpowiednie dać rzeczy słowo

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Pleciemy głupstwa, bredzimy, nadużywamy słów i to w każdej dziedzinie życia. Skutkuje to m.in. skróceniem czasu. Kiedyś stulecie – przypomina autor „Domku Baby Jagi" – trwało 100 lat, teraz znacznie krócej. Ile obejrzeliśmy już za naszego życia bokserskich walk stulecia, ile meczów piłkarskich nazwanych pojedynkami stulecia, nowe ery otwierała muzyka Strawińskiego, ale okazywało się też, że tworzyli takowe Schönberg, a i Webern? Co kilka lat. Triumfalnie obwieszcza się, że oto nastała: „Era rewolucji naukowo-technicznej, era komputerów, era Ronaldo, era komórek, era drugiego Ronaldo, ery Concorde, Internetu, Ronaldinho, bin Ladena, tabletu. Czas potaniał". Od siebie dodam, że mało co tak mnie wk….. jak poważne miny komentatorów orzekających po każdym nieco ważniejszym od innych wydarzeniu, że odtąd świat nie będzie już taki sam. Gówno prawda, jest identyczny, tyle że coraz głupszy.

W głupim świecie nie jesteśmy głupsi od innych, ale własne głupstwa powinny zawstydzać bardziej niż cudze, własne kłamstwa napawać największą odrazą. Tymczasem znów zawitajmy na areny sportowe, na których każdą porażkę „naszych chłopców" usprawiedliwimy jeśli nie złą pogodą, to stronniczością sędziego, jeśli nie brakiem aklimatyzacji, to niskim morale przeciwnika, a ostatecznie pechem. Zawsze też możemy ogłosić „zwycięski remis" (choćby do przerwy), a gdy łomot przekracza już wszelkie wyobrażenie, to pozostaje chóralne odśpiewanie: „Nic się nie stało". Grunt, by znaleźć adekwatne do sytuacji słowa, a że mijają się całkowicie z prawdą, to bez znaczenia. Ważne jest tylko, kto kłamie: ja czy on, a nie wybaczamy jedynie „kłamstwa wobec s w o i c h, zarówno swoich naprawdę, jak i tych, których kłamca jako swoich traktuje, i tych, których za swoje podaje".

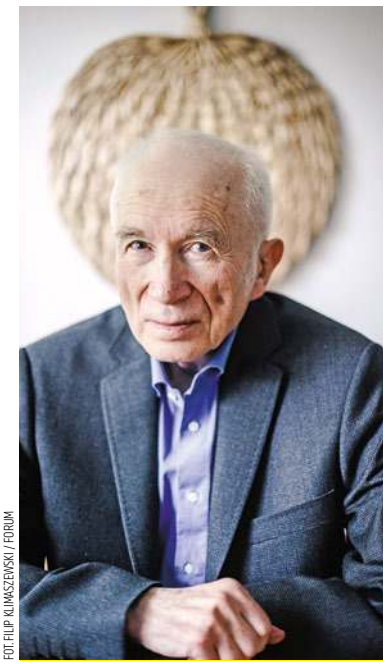

FOT. FILIP KLIMASZEWSKI / FORUM

Piotr Wierzbicki do swojego skromnego, wydanego przez PIW tomu felietonów i esejów, po części, albo dawno temu publikowanych, albo niedrukowanych w ogóle, włączył też teksty będące w zasadzie aforyzmami, znakomite interludia czyniące lekturę tej książki jeszcze bardziej smakowitą. I tak trafiamy, np. na małą prozę zatytułowaną „Ach, czemuż":

Przeraża mnie śmierć.
Ach, czemuż nie lękam się narodzin?!
Przewracamy kilka stron i jawi się
przed nami „Nieszczęśliwa":
Odkąd w magazynie kobiecym
przeczytała,
że człowiek jest stworzony do
szczęścia.
Tylko tyle i aż tyle.

Nie byłby Wierzbicki sobą, gdyby nie pomieścił w „Domku Baby Jagi" swoich przemyśleń muzycznych, a to o Bachu, a to o Chopinie, to znów o ostatniej symfonii Haydna czy zmarłym młodo świetnym pianiście Dinu Lipattim. Ale mamy tu też esej filmoznawczy, choć może bardziej filozoficzny, odnoszący się do Jacques'a Tati i jego „Wakacji pana Hulot", którymi zauroczył się w latach 60. i coś z tego, jak powiada autor, „zaczadzenia" pozostało do dzisiaj.

Z całą pewnością wielkie wrażenie pozostawiła również na Piotrze Wierzbickim twórczość Antoniego Czechowa, któremu poświęcił kilka opublikowanych w „Domku…" tekstów, wraz z esejem „Zwykłość niezwykła". Przypomina w nim poradnik, jaki Czechow sformułował w liście do swego starszego brata, także parającego się piórem. Oto, co powinno zdaniem twórcy „Śmierci urzędnika" cechować pisarza:

- brak wodolejstwa natury polityczno-społeczno-ekonomicznej;
- kompletny obiektywizm;
- wierność w opisach postaci i przedmiotów;
- arcyzwięzłość;
- oryginalność i śmiałość – unikaj szablonu;
- serdeczność.

A w felietonie „Czechow jako moralista" zwraca uwagę Wierzbicki, że ten chyba najlepszy pisarz w całej literaturze rosyjskiej (a i człowiek wielkiej miary, czego o innych mistrzach pióra zza naszej wschodniej granicy – vide: Dostojewski – nie da się powiedzieć) przez pół wieku pracujący nad powieścią, której nigdy nie napisał, „nawet wówczas, gdy próbował ratować człowieka, robił to pod szyldem tak skromnym, jakby chodziło o naukę siedzenia przy stole. Świat cały składa się z sytuacji, w których pod szyldem czegoś większego sprzedaje się coś mniejszego. U Czechowa odwrotnie".

I u Wierzbickiego tak samo. ©℗

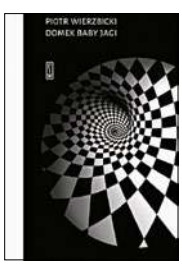

★★★★★★

PIOTR WIERZBICKI „DOMEK BABY JAGI"
PIW, WARSZAWA 2022

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Czwarte życie Maćka

Uprzywilejowany jestem podwójnie: miałem okazję czytać większość tych tekstów w czasach, gdy się ukazywały, a niektóre historie opowiadał mi sam Maciek Parowski, który był uroczym gawędziarzem, miał pamięć jak słoń i na każdy temat coś ciekawego do powiedzenia. Z przyjemnością do nich wróciłem, odkryłem też nowe. I gorąco rekomenduję zbiór przygotowany przez Bartosza Kurca. To wspaniały hołd dla Maćka, dokumentujący jego czwarte życie.

Wymieńmy trzy pozostałe. Oczywiście pisarz, autor „Twarzą ku ziemi" i znakomitej „Burzy". Oczywiście redaktor „Fantastyki" i „Nowej Fantastyki", odkrywca i promotor niezliczonych talentów literackich. Trzecie życie to już krytyk filmowy – przenikliwy, przekorny, błyskotliwy, zakochany w kinie. Czwarte życie to związki Parowskiego ze światem komiksu. Dopiero z pewnej perspektywy widać, jak ważną był w nim figurą. Wypromował komiks na łamach „Fantastyki", odnosił sukcesy jako scenarzysta (od „Funky'ego Kovala" do „Wiedźmina"), opisywał, obserwował i inspirował do rozmaitych działań tworzące się dopiero na przełomie PRL i III RP środowisko. Nie bez powodu Bartosz Paduch kręcący o Macieju Parowskim film dokumentalny wymyślił sobie, że ramą opowieści będzie konwencja komiksu, a bohater filmu przedstawiony będzie jako superbohater polskiej popkultury.

Potężny zbiór publicystyki komiksowej Maćka (600 stron!) to doskonałe uzupełnienie wydanych jeszcze za jego życia tomów „Małpy Pana Boga" (wyszły trzy tomy, o literaturze i o kinie) i zbioru „Kukułka na koniu trojańskim". Niektóre teksty zamieszczone w „Każdy komiks jest fantastyczny" znamy z tamtych wyborów, ale nic to – przypomniane i obudowane innymi na nowo wybrzmiewają, a wszystkie ze sobą korespondują. Są wywiady z takimi tuzami jak Jean Giraud, czyli Moebius, jak legenda polskiej ilustracji Jerzy Skarżyński. Są zapisy dyskusji z udziałem Maćka, są poważne analizy krytyczne, recenzje, wspomnienia, dzieje poszczególnych projektów, anegdoty. Zaczyna się od tej, jak to kiedyś poważny krytyk z redakcji „Fantastyki", nosząc na uczelnię egzemplarze pisma, wyrywał z nich uprzednio wkładki z komiksem, bo wstydził się przed kolegami. A potem jest jeszcze lepiej.

Maciej Parowski zmarł trzy lata temu, 2 czerwca 2019 r. Wciąż nie mogę uwierzyć, że już go z nami nie ma. ©℗

★★★★★☆

MACIEJ PAROWSKI „KAŻDY KOMIKS JEST FANTASTYCZNY" WYDAWNICTWO KURC 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wiemy o polowaniach Göringa i psie Hitlera. A poza tym? Dlaczego świnia to symbol aryjskości, a „koty to Żydzi wśród zwierząt"? Jakich metafor użyto w propagandzie? Co działo się w domach? Ciekawy dodatek do historii Niemiec.

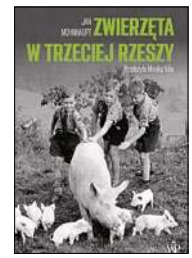

JAN MOHNHAUPT „ZWIERZĘTA W TRZECIEJ RZESZY" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Antologia opowieści niesamowitych, której patronują obrzędy Nocy Kupały. Wśród autorów Jan Barszczewski i Roman Zmorski, a także Oscar Wilde, Mrs Henry Wood, James Grant czy zwany „chińskim Tolkienem" Jin Yong.

AUTORZY RÓŻNI „DUCHY NOCY KUPAŁY" ZYSK I S-KA

Oryginalne połączenie przewodnika po sztuce i czegoś na kształt powieści graficznej; znana krytyk opisała dzieje zakochanych par artystów i wpływ tej miłości na ich sztukę, a Asli Yazan narysowała bohaterów i fragmenty dzieł.

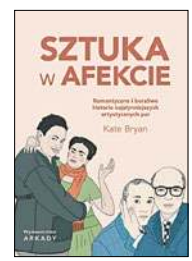

KATE BRYAN „SZTUKA W AFEKCIE" WYDAWNICTWO ARKADY

Klasyka SF z lat 60. w nowym przekładzie. Opowieść o przyszłości, w której ludzkość eksploruje kosmos dzięki potędze umysłów opuszczających ciało pozostające na Ziemi. A tak naprawdę przypowieść o nietolerancji. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

CLIFFORD D. SIMAK „CZAS JEST NAJPROSTSZĄ RZECZĄ" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „ODRODZENIE"

Kończy się XXI w., ludzkość jest bliska wyginięcia: wojny, pandemia, głód zbierają swoje żniwo. Czy uratują nas przybysze z kosmosu, przedstawiciele federacji planet zwanej Kompleksem? Jeśli mają dobre zamiary, to być może. Ale co, jeśli ich misja ma zupełnie inny cel? Zbiorcze wydanie trzech tomów cyklu dla miłośników klasycznej SF. Warto zwrócić uwagę na scenarzystę, Fred Duval to twórca bardzo utalentowany, znamy go ze świetnej komiksowej adaptacji powieści „Czarne nenufary" według bestsellerowej powieści Michela Bussiego. ©℗

FRED DUVAL, EMEM, FRED BLANCHARD „ODRODZENIE" EGMONT 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

DO ZOBACZENIA

Sejsmograf epoki przyspieszenia

RADOSŁAW WOJTAS

Blisko pół tysiąca prac Witkacego można obejrzeć na wystawie „Witkacy. Sejsmograf epoki przyspieszenia" w Muzeum Narodowym w Warszawie. To obrazy, rysunki, pastele i fotografie ze zbiorów własnych warszawskiego muzeum oraz prace wypożyczone z innych placówek muzealnych, a także udostępnione przez prywatnych kolekcjonerów. Te ostatnie dzieła, a także pastele, ze względu na ich delikatność, są dość rzadko prezentowane publicznie, zatem tym większa to gratka dla miłośników talentu Witkacego.

Ekspozycja ukazuje Witkacego jako artystę rozbijającego konwencjonalne myślenie o sztuce. Prawie 500 prac, które zgromadzono w warszawskim Muzeum Narodowym, nie podzielono chronologicznie, ale uszeregowano tematami ważnymi dla Witkiewicza oraz w sztuce nowoczesnej, m.in. kosmos, ciało, historia, ruch, pierwotna wizja artystyczna, psychologiczna intensywność przeżycia metafizycznego, refleksja socjologiczna.

Ekspozycję uzupełnią materiały wideo i archiwalia, a także ikoniczne dzieła twórców międzynarodowej awangardy. ©℗

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

GDZIE? *Muzeum Narodowe w Warszawie*
KIEDY? *do 9 października*

FOT. KRZYSZTOF JANKOWSKI/MUZEUM PAPIERNICTWA

ZA SIÓDMĄ GÓRĄ

Tradycje wyrobu papieru w japońskiej miejscowości Echizen sięgają 1,3 tys. lat, a wyroby tam powstające do dziś są cenione na cesarskim dworze. I to stamtąd do Muzeum Papiernictwa w Dusznikach-Zdroju sprowadzono oryginalny warsztat papierniczy oraz dużą kolekcję arkuszy washi. Za sprawą tego daru przekazanego przez mistrzów papiernictwa z Kraju Kwitnącej Wiśni polskie muzeum jest w posiadaniu jednej z ciekawszych w Europie kolekcji dotyczącej japońskiego papiernictwa. ©℗

GDZIE? *Muzeum Papiernictwa w Dusznikach-Zdroju*
KIEDY? *do 2 października*

NA SŁUCH

Celtycka kobiecość

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

Walijka Gwenno Saunders nagrywa płyty w odrodzonym w XX w. języku kornijskim, którym obecnie posługuje się ok. 2 tys. osób. Na trzecim albumie wokalistka zaprasza na surrealistyczną podróż w celu samopoznania.

Dla Gwenno kornijski nie jest egzotycznym lingwistycznym klejnotem, ale językiem jej dzieciństwa. Posługiwał się nim jej ojciec, poeta Tim Saunders. Śpiewając po kornijsku, w sposób bardziej naturalny snuje opowieści o mistycznych archetypach kobiecości. Na płycie są również piosenki śpiewane po walijsku, tyle że odnoszą się one do spraw politycznych, jak choćby w utworze „N.Y.C.A.W.", którego tytuł oznacza „Walia nie jest na sprzedaż".

Nie trzeba być biegłym w języku walijskim czy kornwalijskim, by zrozumieć głębię uczuć zawartą w piosenkach. „Tresor" jest albumem kontemplacyjnym. Upiorne elektroniczne mgiełki przechodzą w oszałamiające dźwiękowe pejzaże. Muzyka wciąga i jeśli się jej poddamy, to wyruszymy w naprawdę fascynującą podróż. „To album o odkrywaniu pożądania i innych emocji" – tłumaczy Gwenno.

„Ardamm" jest rodzajem złowieszczej epopei, „Anima" okultystycznym hymnem, „Kan Me" rytualnym ludowym obrzędem… W finale kończącej album piosenki „Porth la" rozbrzmiewają dzwony bazyliki La Salute w Wenecji nagrane podczas powodzi w 2019 r. „Chcę, byś wiedział – śpiewa Gwenno – że kiedy przybędziesz, będę tu". ©℗

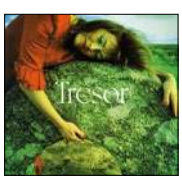

★★★★★
GWENNO „TRESOR" HEAVENLY

★★★★☆
NICK CAVE „SEVEN PSALMS" BAD SEED
Cave recytuje siedem psalmów własnego autorstwa o wierze, wściekłości, miłości, żalu, miłosierdziu, seksie i uwielbieniu. To jego duchowy portret naszych czasów. Muzykę współtworzył Warren Ellis. Ósmym nagraniem jest 12-minutowy, mroczny instrumental.

★★★★☆
STEPHEN MALLINDER „TICK TICK TICK" DAIS
Trzeci album frontmana zespołu Cabaret Voltaire, pioniera industrialnego rocka. Efektowne wokale wspierają wyciszone house'owe bity. Pulsują postpunkowy bass oraz rozedrgane electro z nutą słodko-gorzkiej nostalgii. Styl wokalny Mallindera jest daleki od nieokiełznanej paranoi wczesnego CV. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Biogen – jesteśmy pionierami neuronauki

Prowadzimy pionierskie badania naukowe, które poszerzają wiedzę na temat układu nerwowego. Dzięki zastosowaniu nowych technologii cyfrowych oraz włączeniu doświadczeń społeczności pacjenckich możemy pogłębić rozumienie oraz chronić cechy i wartości fundamentalne dla człowieka.

www.biogen-poland.pl

Biogen®

Biogen-60776

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Dwadzieścia pytań

FOT. ADOBE STOCK

Krzysztof Masłoń

Ma telewizja publiczna swoje przepastne archiwa i to jest jej największy czy – jak kto woli – jedyny walor

Jako że w telewizjach zapanował trend przerabiania wszystkiego na quizy, konkursy i najprzeróżniejsze telezagadki, idąc z duchem czasu, proponujemy państwu sprawdzić znajomość nadawanych aktualnie seriali. Nawiązując do klasycznego teleturnieju sprzed ponad pół wieku, przedstawiamy następujących 20 pytań:

- **Czy oranżada w proszku jest narkotykiem?**
- **Jak wykryć w sieci pedofila?**
- **Gdzie w Polsce grasują goryle?**
- **Dlaczego zazdrośnicy winni wystrzegać się sesji terapeutycznych?**
- **Jak ustrzec się przed rozpoznaniem przez volksdeutscha?**
- **Czy abstynencja wzmaga depresję?**
- **Jak zarobić na drewnie do kadzideł?**
- **Do czego służy kula ortopedyczna?**
- **Jaki kłopot wnosi w nasze życie kurier z bukietem róż?**
- **Jak pokonać tremę przed występem telewizyjnym?**
- **Czy uprawiający jogging są szczególnie narażeni na uprowadzenie?**
- **Jak pokonać odradzający się faszyzm (na razie na Wyspach Brytyjskich, w przyszłości – wiadomo gdzie)?**
- **Czy łatwiej wykryć leworęcznego przestępcę czy wręcz przeciwnie?**
- **Jakie są skutki takiego domowego nieszczęścia, jakim jest zepsucie lodówki?**
- **Czy wróżka powie, kto jest ojcem naszego dziecka?**
- **Na ile odmieni nam życie udział w konkursie recytatorskim?**
- **Co począć z ciążącą nad nami klątwą?**
- **Czy ukochanej (ukochanemu) spodobamy się bardziej po kąpieli i w nowych ciuchach?**
- **Czy na wypadki w pracy bardziej narażone są hostessy czy iluzjoniści?**
- **Jak wychować dziecko, by nie stało się wampirem energetycznym?**

Podpowiedzi nie będzie, seriale, w których stawia się wszystkie te pasjonujące kwestie, są na tyle popularne, że średnio wytrwały miłośnik seriali poradzi sobie z nimi. Na wszystkie pytania odpowiedzi znajdą państwo w tasiemcach nadawanych na okrągło przez wszystkie dostępne w Polsce stacje telewizyjne, szczególne te mające największą telewidownię. Lato to zresztą świetna okazja, by przypomnieć sobie dawne seriale, zwłaszcza te ciągnące się jak soliter przez kilkadziesiąt sezonów, że nie wspomnę o tych, które są wieczne.

Nic więc dziwnego, że Telewizja Polska rozpaczliwie poszukując czegokolwiek, czym poza sportem (a i tu, jak na złość, lekkoatletyczne mistrzostwa świata urządzono w Ameryce, w związku z czym trudno liczyć na milionową widownię zasiadającą przed telewizorami o drugiej w nocy) mogłaby wywatować wakacyjną ramówkę, od pierwszego odcinka przypomina „Ranczo". Kto chce na pamięć nauczyć się dialogów Kusego, Lucy czy Czerepacha, ma po temu okazję. A na deser – „Jan Serce" z samym Himilsbachem.

Ma telewizja publiczna swoje przepastne archiwa i to jest jej największy czy – jak kto woli – jedyny walor. Dziwnie jakoś dawne seriale prezentują się znacznie ciekawiej niż współczesne, choć kręcono je i przy szalejącej cenzurze, i za śmiesznie małe pieniądze, i bez takich aktorskich tuzów jak Tomasz Karolak czy Antoni Królikowski, a nawet bez Barbary Kurdej-Szatan. Nikt nie słyszał wtedy o serialowych sezonach, ba, nawet Bogusław Linda nie zdążył jeszcze zrealizować „Sezonu na leszcza", a przecież widzowie takich seriali jak „Wojna domowa" Jerzego Gruzy (z lat 60. zeszłego wieku!) w przeciwieństwie do ich dzisiejszych następców leszczami się nie czuli. Nie była to może wyrafinowana rozrywka, ale przynajmniej nie obrażała inteligencji przeciętnego obywatela kraju położonego między Odrą a Bugiem. Poza tym, co nie jest bez znaczenia, tamte seriale miały co najwyżej kilkanaście odcinków, więc torturowanie odbiorcy – bo grzmoty zdarzały się, a jakże (telewizja Kultura odkurzyła właśnie „Dyrektorów", spóźniony produkcyjniak z epoki środkowego Gierka) – trwało krócej.

O serialach historycznych rozwodzić się nie będę, bo to temat rzeka. Powiem tylko, że o ile traktujące o drugiej wojnie światowej komunistyczne seriale w dużej lub nieco mniejszej mierze zakłamywały rzeczywistość (na czele z nieustannie obecną na szklanym ekranie „Stawką większą niż życie", „Pancernymi" i „Polskimi drogami"), o tyle takie np. „Wojenne dziewczyny" są wolną adaptacją czegoś na kształt komiksu dziejącego się wszędzie, czyli nigdzie. Jak kto się uprze, to może i w okupowanej Polsce, bo nie ma to najmniejszego znaczenia.

Na koniec pozostawiłem ważną informację odnośnie do „Dwudziestu pytań". Konkursowe odpowiedzi proszę wysyłać na Berdyczów. To jeszcze Ukraina. Chyba. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

SUMMIT

W4UA

WORLD FOR UKRAINE

17–19 października 2022

G2A Arena

Rzeszów-Jasionka

www.w4ua.com

G2A ARENA
Centrum Wystawienniczo-Kongresowe
Województwa Podkarpackiego

PODKARPACKIE
przestrzeń otwarta

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

KRZYSZTOF MASŁOŃ: „Pojęcia szlachetności, lojalności, męstwa i innych przymiotów ducha zniknęły z języka politycznej debaty" – konstatuje pan w swoim podręczniku do „Historii i teraźniejszości", nowego przedmiotu, który od września obowiązywać będzie w liceach i technikach. Właśnie zmianom kulturowym, dziś tak wyraźnym, a zainicjowanym chyba na przełomie lat 60. i 70., poświęca pan wiele uwagi w tej, szeroko dyskutowanej, książce, odnoszącej się do okresu powojennego.

PROF. WOJCIECH ROSZKOWSKI: Mamy obecnie do czynienia z dość zasadniczym konfliktem cywilizacyjnym i do niego się odnoszę w książce, czego krytykujący ją albo nie rozumieją, albo nie chcą zrozumieć, napadając na tekst podręcznika pisany rzekomo według standardów zasad jakiejś prawicowej ideologii, podczas gdy ja zwracam uwagę na tę wojnę kulturową, która niszczy wymienione przez pana pojęcia. I poddaję uczniowi pod rozwagę, że w naszym życiu społecznym potrzebne są zarówno wartości stałe, jak i zmiany, należy tylko zapytać, które wartości winny być utrzymywane, i należy ich bronić za wszelką cenę, a także które zmiany są dopuszczalne, a nawet chwalebne.

Trzeba mieć na uwadze, czemu i komu mają one służyć, bo jeżeli taka zmiana rujnuje nasze życie społeczne, to jest ona niepotrzebna. W tym moim podejściu nie ma żadnej ideologii, jest ono wyłącznie zdroworozsądkowe. Wmawianie mi ideologii – a krytycy nie wnikają w dyskurs wiary i wiedzy, którego można się doszukać w warstwie filozoficznej książki – wynika więc albo z braku wiedzy o tym, co napisałem, albo z niezrozumienia tego.

Nie napisał pan klasycznego podręcznika do historii, takiego, do jakich, być może, byliśmy przyzwyczajeni, tak mocno bowiem wchodzi on w sferę obyczaju, religii, kultury. Moim zdaniem jest to jego zaletą, przeciwnie sądzą krytycy. No ale jeśli wzorce edukacji historycznej czerpało się z podręcznika Heleny Michnik i Ludmiły Mosler czy wręcz, bo nie mogę tego wykluczyć, Żanny Kormanowej, to nic nie dziwi.

Mój podręcznik wziął się z fundamentu pomysłu na ten nowy przedmiot nauczania – historię i teraźniejszość, w którym miały być połączone wątki historii najnowszej z wiedzą o społeczeństwie. No więc jak można prowadzić wykład w duchu tej właśnie syntezy bez uwzględnienia zasadniczych zmian społecznych i kulturowych, które

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Z prof. Wojciechem Roszkowskim, historykiem, Kawalerem Orderu Orła Białego, autorem podręcznika do przedmiotu historia i teraźniejszość

rozmawia Krzysztof Masłoń

Prawda nie jest względna

w ostatnich dziesięcioleciach miały miejsce? To wynika z założeń programowych historii i teraźniejszości, moim zdaniem, bardzo słusznych. Jak dotąd bowiem szkoły opuszczała młodzież kompletnie nieznająca historii najnowszej, czego nikt nie neguje, bo poziom uczniowskiej wiedzy o Polsce i świecie jest fatalny, nauczanie mechanizmów życia społecznego zaś prowadzone na lekcjach wiedzy o społeczeństwie pozostaje w niemal całkowitym oderwaniu od rzeczywistości, a już w żadnej mierze nie odnosi się do „mięsa" historii, co najwyżej w punkcikach zaznacza się np., co to jest faszyzm, podając jakąś definicyjkę. A potem uczeń słyszy Putina oskarżającego Ukraińców o nazizm i po prostu głupieje, nie wie, co o tym myśleć. Łącząc zatem wiedzę o społeczeństwie z historią najnowszą, przedstawiamy obraz świata, jaki jest naprawdę, w jakim uczeń żyje i o jakim dowiaduje się, choćby z mediów. A z wydawcą postanowiliśmy też zadbać o to, by podręcznik już samą swoją formą różnił się od tych dotąd używanych w szkole, gdyż w dotychczasowych podręcznikach od wszystkich okienek, ramek, podpisów, mapek, cytacików, wytłuszczeń uczeń mógł co najwyżej dostać oczopląsu. Spotkałem się zresztą z taką opinią młodego odbiorcy: „Wreszcie będziemy mogli sobie poczytać, a nie tylko skakać z obrazka na obrazek". W podręczniku mojego autorstwa obrazków też nie brakuje, jest ich bardzo dużo, ale w sumie stronice tej książki wyglądają zdecydowanie bardziej przyjaźnie. Tak więc jeśli chodzi o metodykę przedstawienia materiału, to jest na pewno lepiej niż wcześniej.

Ale autorom „Rzeczpospolitej" np. bardzo sie nie spodobał sposób przedstawienia, wzmiankowanego przez pana, Daniela Cohna-Bendita, maoisty, lewaka i, co szczególnie bulwersujące, pedofila, o czym zresztą rozpisywała się nie inna gazeta, a „Rzeczpospolita" właśnie, tyle że ta sama, a jakby inna. Cytat, wzięty skądinąd z książki samego Cohna-Bendita, uznany został za nazbyt drastyczny. Czy usunie go pan z podręcznika, którego na razie znamy, przypomnę, jedynie egzemplarze testowe, i czy zmiany w nim są możliwe?

Zmiany będą minimalne. Jednak rzeczywiście zdecydowałem się wykreślić jedno zdanie, ale nie z bulwersującego cytatu, a to ze względu na to, że mimo zupełnie innej niż przed laty wrażliwości nastolatków na kwestie obyczajowe, a szczególnie erotyczne, stępionej od czasów Clintona i masowego dostępu do pornografii, istnieje jednak jakaś część młodzieży, która może nie wszystko jeszcze widziała albo i zrobiła, a w związku z tym warto ją chronić.

To jest jednak niesłychane, że wśród zarzutów stawianych panu pojawił się i taki: nieomal o deprawację nieletnich.

Hipokryzja w całej pełni, bo nad nieświadomą ponoć istnienia pedofilii młodzieżą użalają się ci sami, którzy lansują edukację seksualną w szkołach, przysyłając tam tzw. edukatorów seksualnych – bez wiedzy i zgody rodziców dzieci.

Bo też nie bez znaczenia jest pewnie w całej sprawie to, że Daniel Cohn-Bendit, eurodeputowany – raz niemiecki, raz francuski, był sztandarową postacią rewolty w maju 1968 r. w Nanterre i Paryżu, podobnie jak Adam Michnik w Warszawie, dwa miesiące wcześniej. Obaj zaistnieli wtedy w polityce, a po latach Michnik publikował w „Gazecie Wyborczej" uczone dysputy, jakie z nim wiódł na najróżniejsze tematy, z pominięciem jednak tego jednego, wyraźnie zakazanego. Ale skoro wspomniałem wydarzenia marcowe w Polsce, to wytyka się panu również przypominanie w tym kontekście takich polityków jak Lech Kaczyński i Antoni Macierewicz.

Te pretensje to efekt selektywnego interpretowania historii. Marzec 1968 r. był pierwszym, jakże ważnym doświadczeniem całego pokolenia, do którego i ja się zaliczam. Osoby pochodzenia żydowskiego odegrały w nim szczególną rolę, ale nie tylko one brały udział w wiecach, nie tylko one nadawały intelektualny ton temu całemu ruchowi protestu. Na przykład całkiem zapomniany Jakub Karpiński był w tamtym momencie jedną z fundamentalnych postaci. Ale były to też ważne wydarzenia dla Macierewicza czy Kaczyńskiego.

Charakterystyczne dla pańskiego podręcznika są nawiązania do spraw aktualnych. Nie zakłócają one narracji, a z pewnością zaostrzają czytelniczą uwagę. Tak się dzieje, gdy np. pisze pan o przezwyciężaniu rasizmu w USA i zasługach Martina Luthera Kinga, by nagle napomknąć o ruchu Black Lives Matter, a o nim nasze nastolatki wiedzą zadziwiająco dużo, choć wiedza to jakby jednostronna.

W swojej książce kładę nacisk na to, że ruch ten odnosi się do szacunku dla ludzi o odmiennym kolorze skóry, ale w praktyce chodzi o jeden tylko kolor – czarny. Przy okazji zostałem zaatakowany za jednorazowe użycie słowa „Murzyn", co zresztą zrobiłem celowo, by pokazać, jak żongluje się znaczeniami

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

słów. To jest jakaś lekcja dla 15-latka, by przywiązując wagę do pewnej poprawności – uważam bowiem, że należy pilnować tego, co się mówi, i czy przypadkiem swoimi słowami nie urażamy kogoś – nie popadać w przesadę. Niestety, plączemy się w słowach, a niektóre z nich wcale nie są tak obraźliwe, jak się to nam wmawia.

Obciążanie winą za wyzysk kolonialny białych en masse, tych także, którzy z niewolnictwem nie mieli nic wspólnego, jest umysłową aberracją. A już mazanie po pomnikach w Polsce „Black Lives Matter" to jakiś piramidalny nonsens, przypominający mi lata 60., gdy na murach w nieodbudowanej jeszcze Warszawie tu i ówdzie zobaczyć można było napisane kredą trzy literki: OAS. Poziom absurdu ten sam.

Młodzi ludzie identyfikują się z ruchami i działaniami kontestacyjnymi. I zwyczajnie dzieci buntują się przeciw rodzicom. Co czasami wychodzi na dobre, gdy zmiany są uzasadnione, rodzice zaniedbują swoje obowiązki i młody człowiek ma prawo dociskać ich do muru. O ile nie wysadzi w powietrze cywilizacji.

Nie mógł się pański podręcznik podobać tym, którzy zachwycali się „Ludową historią Polski" Adama Leszczyńskiego, gdzie Rzeczpospolitą przedstawia się jako państwo kolonialne, tyle że niewolnikami byli chłopi. Do tego państwo prowadzące fatalną politykę wobec mniejszości narodowych. W ogóle dno. A pan śmie wspomnieć, że Polacy ratowali w czasie okupacji Żydów zamiast rozpisywać się o szmalcownictwie i Jedwabnem, choć jako żywo przedstawia pan historię powojenną, a nie dzieje drugiej wojny światowej i okupacji niemieckiej i sowieckiej.

Marginalnie tylko wspominam o pamięci różnych narodów, o tym, jak różnie wojna zapisała się w ich pamięci i jak różnie w tej pamięci wygląda. Nie ma tu miejsca na wchodzenie z narracją o tym, czym był Holokaust, czym getta i tak dalej. Dlaczego miałbym zresztą to robić, a nie wyróżniać np. skutków paktu Ribbentrop-Mołotow z deportacjami Polaków czy Katyniem? Ograniczyłem się do wzmianek, mających znaczenie z punktu widzenia powojennych opinii społecznych.

Rzekomo zminimalizował pan czy wręcz pominął treści wchodzące w zakres wiedzy o społeczeństwie na rzecz historii najnowszej.

To nieprawda, zostały jedynie ze sobą powiązane, skorelowane. W wielu miejscach wyjaśniam np., jak w ogóle rozumieć państwo, jakie są jego formy – federacyjne np., co to jest lewica, a co prawica. Wiadomości te łączą się z wydarzeniami, o których jest mowa, a nie było to wcale łatwe, bo zależało mi bardzo, by nie zakłócić płynnego toku narracji.

Nauczyciel zobowiązany jest zrealizować program, podręcznik obowiązkowy nie jest, co jakoś dziwnie rzadko przypominane jest w nagonce prowadzonej na „Historię i Teraźniejszość". W kontekście tego zastanawia to, że wydawcy – poza WSiP – nie przedstawiają jakoś swoich propozycji, alternatywnych wobec pańskiego podręcznika wydanego nakładem Białego Kruka. Podejrzewam, że liczą na nietrwałość zmian zachodzących w polskiej edukacji. I że wróci stare, a wtedy znów w naszych szkołach urządzać się będzie debaty o niczym i zaliczać testy ze znajomości martwych formułek.

> **Zezwoliliśmy na powielanie w dyskursie publicznym fundamentalnie szkodliwego poglądu, że każdy ma swoją prawdę**

No cóż, wychowaliśmy pokolenia dzieci, które w dorosłe życie wchodziły ze znajomością klikania w komputer, zapamiętanymi zbitkami pojęć bez głębszego ich poznania i umiejętnością dyskutowania. Całe założenie reformy wprowadzonej swego czasu przez panią minister Katarzynę Hall polegało na tym, by zmniejszyć ilość wiedzy, a zwiększyć ilość umiejętności. Pięknie to brzmi, tylko w praktyce młodzież nie pamiętając, o co chodziło w historii, zaczynała dyskutować o tym, kto jest faszystą, a kto nie, kto komunistą, a kto demokratą i w ogóle, kto to jest ten demokrata. Można rzec, że wiedzą – nie wiedząc, a w ten sposób buduje się społeczeństwo niedoinformowane, mało tego, rozgorączkowane jakimiś trzeciorzędnymi tematikami.

Tu dotykamy spraw ogromnej wagi, bo mam wrażenie, że w trakcie lektury pana książki w pewnych kwestiach usłyszałem echo słynnej Herbertowskiej kołatki: „Uderzam w deskę / a ona mi odpowiada / tak – tak / nie – nie". Bo – cytuję pański podręcznik: „Każdy ma prawo do wyrażania opinii – oczywiście w granicach rozsądku, moralności i bezpieczeństwa – ale to nie jest to samo, co wyrażanie prawdy. Są bowiem opinie prawdziwe i fałszywe, a [...] jeśli za względne uważamy życie człowieka lub jego dobro moralne, to szkodzimy sobie i innym".

Zezwoliliśmy na powielanie w dyskursie publicznym fundamentalnie szkodliwego poglądu, że każdy ma swoją prawdę. I zafunkcjonował on jako hasło, wymieniane obok np. „Zasługujesz na więcej". W szkole i gdzie indziej powtarza się również, że często prawda jest pośrodku, a to, co nazywa się prawdą, jest kłamstwem. I w tym miejscu prawdę, dla której nie ma szacunku, wyrzuca się do kosza. A jeżeli uważamy, że nie ma prawdy, to wywala się w powietrze wymiar sprawiedliwości, stosunki handlowe, właściwie całe życie społeczne, bo przecież prawdę ustala się w naszych relacjach społecznych. Więc jeśli każdy ma swoją prawdę, to znaczy, że kradzież może nie być kradzieżą, a zabójstwo zabójstwem. Jeśli będziemy tak uczyć młodzież, to nie dziwmy się potem, że duża jej część ucieknie w jakieś sfery nierealne albo się zdemoralizuje. Czy o to chodzi tym wszystkim postępowym krytykom mojego podręcznika? A nauczycielom, którzy pamiętają chyba o tym, co spotykało w pracy ich kolegów, i nie chcą chyba spotkać się z sytuacją, w której uczeń włoży mu na głowę kubeł ze śmieciami. I będzie miał swoją prawdę.

Mimo wszystko mam nadzieję, że znajdą się odważni i mądrzy nauczyciele, którzy z chęcią nauczać będą historii i teraźniejszości. A uczniowie skorzystają właśnie z pańskiego podręcznika, na którego drugą część czekam niecierpliwie...

Będzie tom drugi, obejmujący okres nam jeszcze bliższy, bo tom pierwszy zamyka się na roku 1979. Drugi odnosi się do lat 1980–2015, choć naprawdę mówię w nim również o sprawach dnia dzisiejszego. Będzie on trochę mniejszy, gdyż w drugiej klasie program zawiera w tygodniu tylko jedną godzinę historii i teraźniejszości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

XXXI Forum Ekonomiczne

KARPACZ, 6-8 WRZEŚNIA 2022 R.

FORUM EKONOMICZNE

EUROPA W OBLICZU NOWYCH WYZWAŃ

DOLNY ŚLĄSK

GŁÓWNY PARTNER

3 DNI

+300 DEBAT

+4500 GOŚCI

Organizowana od ponad 30 lat najważniejsza konferencja w Europie Środkowo-Wschodniej

Miejsce spotkań liderów ze świata biznesu i polityki z Europy, Azji i Stanów Zjednoczonych

Ponad 300 debat – energetyka, ekonomia, innowacje stosunki międzynarodowe, ochrona zdrowia

Hotel Gołębiewski w Karpaczu – centrum konferencyjne w sercu polskich Karkonoszy

forum-ekonomiczne.pl

Obserwuj nasze social media

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Na zielonej Ukrainie

Podczas konferencji w Lugano mówiono o tym, że odbudowana Ukraina musi wprowadzić równość genderową i zrównoważony rozwój – czyli dokonać ekologicznej transformacji FOT. ALESSANDRO DELLA VALLE/AFP/EAST NEWS

Wojciech Golonka

Czy właśnie zobaczyliśmy plan brudnego dealu mogącego zapewnić trwały pokój we wschodniej Europie? Ukraina zgodzi się na amputację Krymu i Donbasu w zamian za gigantyczne zachodnie inwestycje oparte na ekologii i zmieszane z nutą gender?

Na początku lipca w szwajcarskim Lugano odbyła się międzynarodowa dwudniowa konferencja poświęcona powojennej odbudowie Ukrainy. Prezydenci, premierzy, a zwłaszcza ministrowie przeszło 40 zachodnich nacji oraz przedstawiciele wiodących międzynarodowych instytucji dyskutowali o głównych założeniach odbudowy państwa wciąż pogrążonego w tragedii wojny, które streszczono w deklaracji zwieńczającej konferencję.

Wydarzenie, zorganizowane wspólnie przez Szwajcarię i Ukrainę, miało być pierwotnie kolejną, piątą konferencją poświęconą reformom Ukrainy i zagranicznym inwestycjom, jednak z powodu rosyjskiej inwazji zdecydowano się na zmianę tematu i formatu przedsięwzięcia przy jednoczesnym nawiązaniu do dotychczasowego paradygmatu. Stąd to nietypowe forum poświęcone zagranicznemu sfinansowaniu odbudowy Ukrainy jako zreformowanego, nowoczesnego państwa.

A DLA POLSKI – DONBAS

Przemawiająca na otwarciu konferencji przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen nadała specyficzny ton, który miał towarzyszyć całemu wydarzeniu. „Sprowadza nas tu dziś marzenie o nowej Ukrainie: nie tylko wolnej, demokratycznej i europejskiej, lecz także sprawiedliwej, zielonej, prosperującej; aby była miejscem, w którym jej złote pokolenie w końcu poczuje się jak u siebie" – podsumowała swe przemówienie na Twitterze. Były to słowa, owszem, pełne nadziei i optymizmu, niemniej surrealistyczne, zważywszy na posępne wieści, które nadciągały jednocześnie z oddalonego o 3 tys. km Lisiczańska, z którego wyparto właśnie siły ukraińskie, zadając im przy tym dotkliwe straty.

Makabryczne realia wciąż toczącej się na Ukrainie wojny przypominały zresztą dyskretnie czarne, żałobne stroje licznej ukraińskiej delegacji, z premierem Denysem Szmyhalem na czele. Ten, w odpowiedzi na witające go przemówienia, już na wstępie zgasił nieco atmosferę „marzeń" o nowej, lepszej Ukrainie, wyceniając projekt na kwotę aż 750 mld dol. Aby ułatwić jej przełknięcie, zasugerował, aby kraje „wolnego świata" pokryły jej część, wykorzystując zamrożone na Zachodzie aktywa Federacji Rosyjskiej i majątki rosyjskich oligarchów, które wycenił na 300–500 mld, a ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, że jest to prawnie niemożliwe, wezwał zachodnie kraje do ustanowienia odpowiedniej ku temu legislacji.

Przemówieniu Szmyhala towarzyszyła wyświetlana za jego plecami na gigantycznym ekranie prezentacja zdjęć z objętej wojną Ukrainy, w pierwszej chwili dość rozpraszająca, która jednak nabrała pierwszorzędnego znaczenia, gdy szef ukraińskiego rządu zaczął przedstawiać podział kraju na części, które przypadną poszczególnym zachodnim partnerom jako rejony ich inwestycji w ramach odbudowy Ukrainy. To właśnie wówczas okazało się, że Polska miałaby zainwestować w odbudowę Donbasu, którego resztki są właśnie wyrwane spod kontroli Kijowa przez Moskwę, która nie po to chyba ponosi potężne koszty w postaci

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

sankcji, strat ludzkich i materialnych, by pozwolić odebrać sobie za chwilę te tereny – czy to w wyniku ukraińskiej kontrofensywy, czy w wyniku traktatu pokojowego. Ten drobny, ale znaczący szczegół bynajmniej nie umknął uwadze komentatorów w Polsce i niekoniecznie przypadł do gustu samym Polakom.

Czy władze ukraińskie, wbrew coraz częstszym opiniom na Zachodzie, rzeczywiście wierzą, że odzyskają integralność terytorialną kraju? Prawdą jest, że na wojnie propaganda walczy do samego końca i kapituluje ostatnia, ale bardzo możliwe, że był to po prostu na prędko sklejony projekt na potrzebę kolejnego zwrócenia uwagi Zachodu na Ukrainę, a skoro oficjalna narracja brzmi, że Ukraina odzyska wszystkie swe ziemie, to – szczęście w nieszczęściu – polskim inwestorom przypisano teoretycznie najlepszy kąsek w postaci doszczętnie zniszczonego Donbasu. W rzeczywistości obecny w Lugano doradca ekonomiczny prezydenta Zełenskiego Alexander Rodnyansky w wypowiedzi dla genewskiego dziennika „Le Temps" dał do zrozumienia, że jedynym priorytetem Ukrainy jest w tym momencie wygranie wojny – i do tego sprowadza się obecnie jakakolwiek dyskusja o rekonstrukcji kraju: „To spotkanie jest ważne, aby wzmocnić nasze przyszłe wysiłki. Mowa o koordynacji i planowaniu, ale w żadnej mierze o realizacji czegokolwiek. To przedwczesne, Rosja wciąż destabilizuje nasz kraj. Straciliśmy nawet trochę terytorium w Donbasie. Powtarzam: w pełni popieram zapowiedziane tu wysiłki, ale jestem sceptyczny co do wykucia jakiegoś dużego planu. Moim zdaniem największym udziałem w odbudowie kraju byłoby wygranie wojny". Właśnie ten punkt widzenia, wypowiedziany w ramach prasowego komentarza, dał się wyczuć także w oficjalnych przemówieniach i prezentacjach, ponieważ władze ukraińskie, których miesięczny deficyt sięga przeszło 9 mld dol., dawały jak mogły do zrozumienia, że najważniejsza jest dla nich pomoc właśnie tu i teraz.

EKOLOGIA NAJWAŻNIEJSZA?

Wrażliwi czy niewrażliwi na te apele możni tego świata (Szwajcaria wystawiła przy okazji tego wydarzenia czek na 100 mln franków, co znaczy dużo i mało zarazem) i ich pełnomocnicy zebrani w Lugano postanowili mimo wszystko wykorzystać konferencję do sprecyzowania reguł, które mają przyświecać przyszłej odbudowie Ukrainy.

Gospodarz przedsięwzięcia, prezydent Szwajcarii Ignazio Cassis, mógł pochwalić się na koniec wydarzenia siedmioma zasadami, w których dopatrywał się „milowych kroków na rzecz długiej drogi odbudowy Ukrainy": 1) partnerstwo; 2) paradygmat reform; 3) transparentność, odpowiedzialność i praworządność; 4) demokratyczna partycypacja; 5) wielorakie zaangażowanie inwestorów [dosłownie: udziałowców]; 6) równość genderowa i inkluzywność; 7) zrównoważony rozwój [czyli ekologiczna transformacja].

Zdaje się, że to właśnie ostatniemu punktowi poświęcano najwięcej uwagi, a zebrani w Lugano uczestnicy rzeczywiście dawali upust marzeniom o Ukrainie odrodzonej jako lider Zielonego ładu. Dla przykładu: Betrand Picard, prezes fundacji Solar Impulse, podkreślał tę unikatową szansę, jaką stwarza możliwość odbudowy od zera (czyli po tym, jak wszystko poszło z dymem wojny), zachwalał energię pochodząca z biomasy i geotermii, ekscytował się przed publicznością możliwością wykorzystania zeroemisyjnego cementu czy uzyskania betonu z gruzu zgliszczy, zalecał izolację budynków i pompy ciepła, które pozwolą zaoszczędzić dwie trzecie energii ogrzewania… Wszystko pięknie i można nawet zrozumieć, że ekspert pieje z zachwytem o właściwych dlań tematach, jednak podobne pełne samozadowolenia wystąpienia w świetle kamer, w chwili, kiedy wojna na Ukrainie powoduje kolejne spustoszenia i zbiera swe krwawe żniwo, należy uznać nie tylko za brak taktu, lecz także za aberrację.

Nie inaczej należy interpretować wspomnianą zasadę inkluzywności i genderowej równości – jako warunek zachodnich inwestycji w odbudowę Ukrainy; zasadę, która oprócz wielu słusznych pomysłów na temat poprawy jakości życia społecznego zawiera bomby z opóźnionym zapłonem podłożone pod tradycyjne normy społeczne. Czy żołnierze ukraińscy rzeczywiście umierają za przyszłą, tęczową Ukrainę?

Jeśli niektóre zasady z Lugano są w oczywisty sposób uzasadnione, jak potrzeba walki z korupcją w kraju, który boryka się z tym rakiem społecznym od dekad, to z drugiej strony ich konstrukt niepokojąco przypomina znane nam mechanizmy grillowania niepokornych, gdyż wciąż suwerennych państw: pieniądze za praworządność, za tęczową rewolucję etc. Nie bez powodu zaznaczono też, że choć sama deklaracja nie tworzy wobec nikogo zobowiązań prawnych, niemniej stanowi strukturę polityczną, która ma przyświecać kolejnym etapom planowania rekonstrukcji Ukrainy.

Niezależnie jednak od tego, czy władze Ukrainy rozumieją przez te zasady to samo, co ich zachodni partnerzy, abstrahując także od tego, czy rzeczywiście chcą, aby ich kraj stał się radykalnie uzależniony od zachodniego kapitału, poniekąd w formie leasingu – nikt przecież za darmo na Ukrainie inwestować nie będzie, może poza Polską, której władze zdążyły już utożsamić interesy narodowe obu krajów – możliwe, że ta surrealistyczna, choć zrozumiała propagandowo konferencja świadomie bądź nieświadomie przedstawiła plan brudnego, ale efektywnego dealu mogącego zapewnić trwały pokój we wschodniej Europie: Ukraina zgodzi się na amputację Krymu i Donbasu (Noworosji?) w zamian za gigantyczne zachodnie inwestycje w jej zachodnią część.

Rachunek minimalny wystawiony Moskwie za tę wymuszoną sprzedaż jej rosyjskojęzycznych terenów wynosiłby kilkaset miliardów euro, a drugie tyle dorzuciłyby państwa zachodnie, zmęczone już wojną, której konsekwencje stają się katastroficzne dla ich własnych społeczeństw i gospodarek. W pewnym sensie obecna wojna z jej możliwymi koncesjami terytorialnymi, których zakres waży się właśnie na polu bitwy, byłaby ceną, którą sama Ukraina musi zapłacić, aby stać się w pełni niezależna od Rosji, nie bez silnego uzależnienia się jednocześnie od Zachodu, co ma już w zasadzie miejsce od czasów pomarańczowej rewolucji.

Na ile wszystkie strony byłyby gotowe zgodzić się na ten kompromis? Czy Rosja chciałaby „zapłacić" wystawiony rachunek (choćby w formie dokonanego przepadku mienia) w zamian za zniesienie najbardziej dotkliwych sankcji? I czy stronnictwa jastrzębi zza oceanu i w Europie przełknęłyby pokój, który kładłby kres ich marzeniom dziejowego rozbicia Federacji Rosyjskiej? Oto wciąż wielkie niewiadome. Szwajcaria w każdym razie od czasu Lugano wysyła sygnały woli pośredniczenia w procesie pokojowym, a jak wiadomo, jest to kraj, którego specjalnością jest właśnie zarabianie na pośredniczeniu w transakcjach finansowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Z dr. Michałem Sopińskim, prorektorem ds. rozwoju Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości
rozmawia Karol Gac

Chcemy dokonać rekonkwisty

FOT. ADOBE STOCK

KAROL GAC: Jeden z pomysłodawców powstania Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości, wiceminister Marcin Romanowski, rok temu w rozmowie z „Do Rzeczy" powiedział, że uczelnie wyższe w Polsce są przesiąknięte lewicową wizją świata, a SWWS ma być odtrutką na ów problem i tym samym oazą wolności. Udało się?

DR MICHAŁ SOPIŃSKI: Gdy zdecydowaliśmy się otworzyć SWWS, naszym marzeniem było stworzenie oazy wolności na akademickiej mapie Polski. Myśleliśmy o uniwersytecie jako o miejscu, w którym poszukuje się prawdy, a to musi się opierać na stawianiu ważnych pytań, także tych niewygodnych. I udało nam się to zrealizować zgodnie z tym, co sobie założyliśmy. Jeśli spojrzymy na herb uczelni, to mamy w nim triadę platońską i sprawiedliwość jako kolejną z cnót. Staramy się do nich dążyć, stwarzając odpowiednią przestrzeń studentom. Z perspektywy roku mogę więc stwierdzić, że ten eksperyment się udał.

Rok akademicki rozpoczęliśmy od zaproszenia jednego z czołowych przedstawicieli amerykańskiej filozofii politycznej – Roberta P. George'a, twórcy nowej doktryny prawa naturalnego w USA i wielkiego poszukiwacza prawdy. Podczas wykładu inauguracyjnego wiele mówił o odpowiedzialności za jakość kształcenia oraz naukę. Wskazywał, że ostatnie kilkanaście lat w Stanach było procesem odchodzenia od swobody przeprowadzania badań akademickich na rzecz narzucania pewnych paradygmatów paranaukowych, takich jak studia gender, postmodernizm czy różnego rodzaju teorie krytyczne.

A przecież misją uniwersytetu jest poszukiwanie prawdy.

Na SWWS nie potrzebujemy specjalnych regulacji dotyczących swobody wypowiedzi i badań akademickich, bo wymiana poglądów prowadzi do pogłębienia wiedzy. Umiejętność prowadzenia dyskusji to równocześnie umiejętność radzenia sobie z argumentami, z którymi się nie zgadzamy. Tym różni się nauka od indoktrynacji. Nauka to poszukiwanie prawdy, a indoktrynacja to narzucanie przekonania, że mamy rację.

Jednak lewicowy, by nie powiedzieć „lewacki", marsz przez instytucje nabiera rozpędu, a wraz z nim indoktrynacja młodych ludzi. Także w Polsce.

Przejmowanie dyskursu politycznego i medialnego bierze się z uniwersytetu. Wiedzieli o tym szkoła frankfurcka i neomarksiści. To właśnie na uniwersytetach zaczęto budować przyczółki gender i neomarksizmu, które dopiero stamtąd przeszły do dyskursu medialnego. To spowodowało znaczące przesunięcia w świecie prawnym, np. na rzecz legalizowania aborcji czy propagowania eutanazji i nihilistycznego podejścia do życia. To, co chcemy

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

zrobić, to – mówiąc po chrześcijańsku – dokonać rekonkwisty. Musimy zacząć od uniwersytetów i budowy środowisk, których światopogląd – oparty na cywilizacji łacińskiej – będzie miał cechy uniwersalizmu i obiektywizmu, chociażby w przedmiocie rozumienia tak podstawowych wartości jak godność, dobro czy wolność. Jeśli bowiem oprzemy się na tych wartościach, to możemy postawić wówczas tamę lewicowemu marszowi przez instytucje, a za jakiś czas dokonać zmiany instytucjonalnej. Tak jak teraz stało się to w USA w przypadku kwestii aborcyjnych czy na Węgrzech w kontekście ochrony rodziny. Trzeba budować środowisko.

Temu miały służyć m.in. stworzenie małych grup ćwiczeniowych czy objęcie studentów indywidualną opieką naukową. Do tej pory kojarzyło się to raczej z zachodnimi uczelniami, bo polskie stawiały na masowość. To próba powrotu do korzeni i relacji mistrz – uczeń?

Naszym celem nie było stworzenie kolejnej uczelni, która „produkuje" magistrów i rozdaje dyplomy, ale miejsca, w którym wiedza jest przekazywana w sposób pogłębiony. Wiedza to coś o wiele więcej niż informacja. Studia mają mieć charakter formacyjny. Dobrym przykładem są tutaj wzorce francuskie, gdzie za kuźnię kadr państwowych uznaje się École nationale d'administration. W naszym systemie taką jednostką miała być Krajowa Szkoła Administracji Publicznej. Uświadomiliśmy sobie jednak, że jest to forma przejęcia młodych ludzi dla państwa na zbyt późnym etapie. Naszym celem była próba usystematyzowania edukacji propaństwowej już na poziomie studenta I roku, ponieważ potrzeba kształcenia przyszłych elit państwowych występuje już na poziomie szkół wyższych.

Wydaje się, że w pracy prawnika na ogół na ostatnim miejscu znajduje się człowiek. Tymczasem w SWWS zajmuje on kluczowe miejsce.

Jak wyobrażamy sobie prawnika? Bardzo często jako szalbierza. Są takie badania socjologiczne, które przeprowadziła prof. Łojko na Uniwersytecie Warszawskim – dotyczyły postawy studentów wobec prawa – jednak ich wyniki były zatrważające. Okazało się, że studenci w ogóle nie mają posłuchu wobec prawa – uważali, że można go nie przestrzegać, a w pracy prawnika liczą się przede wszystkim koneksje i znajomości. Te odpowiedzi nie wzięły się znikąd. Studenci odpowiadali w ten sposób, ponieważ dostrzegali ów problem na uczelni. My myślimy o prawnikach nie tylko jako o rzemieślnikach prawa, lecz także jako o artystach. Uważamy, że poza przepisami prawa jest coś więcej – jego duch, który wynika także z ujęcia prawa naturalnego. Podkreślamy, że nie warto jedynie znać przepisy, bo dużo lepiej może je znać program informatyczny, ale uczymy przede wszystkim tego, jakie jest sedno danej instytucji prawnej. Chcemy nie tylko przekazać informacje, lecz także nauczyć krytycznego myślenia, bo to od niego zależy późniejsze kształtowanie prawa. Ważny jest przy tym cały background akademicki i filozoficzny.

Zwłaszcza że etyka chrześcijańska to, obok prawa rzymskiego i grecko-rzymskiej filozofii, niepodważalny fundament cywilizacji łacińskiej. Dziś się chyba o tym zapomina.

To prawda. Temu służą przede wszystkim przedmioty, które mają przygotować młodego adepta do wykształcenia w sobie wewnętrznej busoli. Szczególnie że zawody prawnicze to zawody zaufania publicznego, od których oczekujemy – jako społeczeństwo – pewnych przymiotów moralnych. Niestety – jak pokazuje praktyka – osobom wykonującym te zawody bardzo często ich brakuje. Powodem takiego stanu rzeczy jest brak wykształcenia odpowiednich postaw etycznych w toku nauki. Wina jest w nas, bo – jako system – wykształciliśmy prawników, którzy lekceważą prawo. Wydaje mi się, że w toku studiów prawniczych należy przede wszystkim wskazywać na to, że prawo jest wartością rozumianą jako ład. Przyszli prawnicy są nie tyle nadzwyczajną kastą, ile strażnikami owego ładu. Ich rolą będzie zabezpieczenie spójności społecznej i działanie na jej rzecz. Znajomość tradycji, na których oparta jest nasza cywilizacja, będzie im w tym pomagała.

Absolwenci SWWS pozwolą uzdrowić polski wymiar sprawiedliwości?

Głęboko w to wierzę. Obecnie nasi studenci ukończyli pierwszy rok prawa. Kończymy też rekrutację na kolejny i już widzimy, że jako SWWS przebijamy się w świadomości studentów. Mam nadzieję, że nasi absolwenci trafią przede wszystkim do instytucji państwowych, bo to, czego ich uczymy, to myślenie w kategoriach dobra wspólnego. Będziemy szczęśliwi, jeśli nasi absolwenci będą w przyszłości piastować najważniejsze stanowiska. To efekty długofalowe naszej uczelni. Francuska École nationale d'administration wychowała już kilku prezydentów, kilkunastu premierów i ministrów oraz ogromną rzeszę urzędników, ale działa ona od 1945 r. My jesteśmy młodą uczelnią i działamy dopiero od kilku lat. Mówiąc żartobliwie – wydaje mi się, że jestem najmłodszym prorektorem najmłodszej uczelni w Polsce. Naszym marzeniem jest to, aby wykształcić absolwentów, którzy wezmą odpowiedzialność za państwo.

Kiedy mówimy o SWWS, myślimy o wymiarze sprawiedliwości sensu largo – nie tylko o sędziach czy prawnikach, lecz także funkcjonariuszach, których zadaniem jest dbanie o bezpieczeństwo państwa. Uruchamiając kierunek bezpieczeństwo wewnętrzne, odpowiadamy na zapotrzebowanie społeczne. Żyjemy bowiem w niespokojnych czasach, a bezpieczeństwo warto analizować z różnych perspektyw. Wierzę więc, że bezpieczeństwo wewnętrzne także odniesie swój sukces.

Jakie plany ma SWWS?

Wszystkie kierunki, które mamy zamiar otwierać, mają na celu kształcenie młodych ludzi, chcących wziąć odpowiedzialność za Polskę. Ich ideą jest kształcenie elit propaństwowych. Nasz rozwój zakłada uzyskanie uprawnień do prowadzenia szkoły doktorskiej w obszarze nauk pedagogicznych, nauk o bezpieczeństwie oraz nauk prawnych. Chcemy się rozwijać, oferując paletę kierunków istotnych z punktu widzenia interesów państwa, ale nie budować portfolio pod kątem wyłącznie zainteresowania studentów. Nie chcemy być fabryką przyszłych magistrów, lecz pragniemy, by były to kierunki przemyślane. W związku z tym nie zamierzamy przyjmować kilku tysięcy studentów, ale raczej kilkudziesięciu. To gwarantuje dobrą relację z wykładowcami. W szkolnictwie wyższym nie można stawiać na liczbę, lecz na jakość absolwentów. I tego się w SWWS trzymamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Michał Sopiński
– prorektor ds. rozwoju Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości.

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Dowodzący powstaniem gen. Antoni Chruściel „Monter" (w środku, w furażerce)

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/DOMENA PUBLICZNA

Pod presją wydarzeń i czasu

Maciej Rosalak

Wysyłali na śmierć młodych chłopców, a sami kryli się za ich plecami! – usłyszałem o dowódcach AK w powstaniu warszawskim. Czy rzeczywiście byli tchórzami, którzy swoje życie opłacali krwią podwładnych?

W dyskusjach o powstaniu warszawskim wysuwa się wiele argumentów obciążających dowódców Armii Krajowej. Niektóre są zasadne. Dotyczą przede wszystkim podjęcia decyzji o wybuchu powstania bez wiarygodnych informacji o natarciu sowieckim na Warszawę, ze szczątkowym uzbrojeniem oddziałów

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

(jedna sztuka broni na 10 powstańców), postawienia przed nimi zadań niemożliwych do wykonania przy całkowitym braku broni ciężkiej i przeciwlotniczej oraz ogromnym niedoborze broni maszynowej. Czy jednak np. nieustaleniem współdziałania z aliantami, wynikającym przecież z braku politycznego przygotowania całej operacji, można obciążać dowództwo wojskowe, które zmuszono do podejmowania decyzji za rząd, Naczelnego Wodza i Delegaturę Rządu na Kraj?

Generał Tadeusz Komorowski „Bór" i najbliżsi współpracownicy znajdowali się pod presją wydarzeń i czasu. Niemcy grozili przecież, że zastosują surowe represje, jeśli do robót fortyfikacyjnych nie zgłosi się natychmiast 100 tys. warszawiaków. Ryzyko ujęcia przez Niemców żołnierzy AK bez jednego strzału z ich strony było więcej niż prawdopodobne. A co będzie, jeśli spontaniczne powstanie spowodują (były wyraźne sygnały!) Sowieci i ich agenci? Co się stanie, jeśli AK zaniecha ataku na Niemców i do spływającej krwią Warszawy wejdzie Armia Czerwona, głosząc, że podziemne państwo polskie okazało się kłamstwem? Jak wtedy spojrzą w oczy Polaków, a zwłaszcza swych żołnierzy?

TRZECH Z „ZOŚKI"

Zamiast własnego opisu nastrojów w Warszawie latem '44 przytoczę urywek wspomnień płk. Kazimierza Iranka-Osmeckiego „Hellera" (1897–1984), szefa Oddziału II (informacyjno-wywiadowczego) Komendy Głównej AK:

„Trzeba było przeżyć 5 lat okupacji w Warszawie, aby czuć to, co czuła ludność i żołnierze. Trzeba było żyć dzień po dniu, godzina po godzinie przez pięć lat w cieniu więzienia na Pawiaku, trzeba było w ciągu tych miesięcy widzieć, jak znikają przyjaciele jeden po drugim, […] milcząco asystować na rogu ulicy w smutny zimowy wieczór lub świetlisty poranek wiosenny, przy egzekucji dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu przyjaciół, braci lub nieznajomych, wziętych przypadkowo z tłumu, spędzonych pod mur, z ustami zaklejonymi gipsem i oczami wyrażającymi rozpacz lub dumę. Trzeba było to wszystko przeżyć, aby zrozumieć, że Warszawa nie mogła się nie bić".

A czy żołnierze AK nie mieli do dowódców pretensji za śmierć kilkunastu tysięcy poległych kolegów i ran ponad 20 tys. z ogólnej liczby 45 tys., którzy przystąpili do boju? Za zamordowanie przez Niemców 180–200 tys. cywilnych mieszkańców, za zniszczenie miasta i naszego dziedzictwa kulturalnego? Przy okazji spytałem o to Andrzeja Wolskiego „Jura" z kompanii „Rudy" batalionu „Zośka". Spojrzał na mnie szczerze zdumiony: „Przecież wszyscy poszliśmy się bić, żeby wyzwolić nasze miasto i jego mieszkańców…".

O „chowanie się dowódców za plecami wysyłanych na śmierć młodych żołnierzy AK" pytałem w swoim czasie nie tylko „Jura" (1924–2011), lecz także dwóch innych „zośkowców", których zresztą dobrze znałem znacznie dłużej: Stanisława Krupę „Nitę" (1922–2015) z kompanii „Maciek" i Zygmunta Kujawskiego „Broma" (1916–1996), lekarza batalionu. Wszyscy trzej z początku w ogóle nie rozumieli pytania. „Jak można naszym dowódcom stawiać tak kłamliwy, głupi, a jednocześnie obelżywy zarzut?!" – słyszałem.

Na przykład dowódca „Zośki", kpt. Ryszard Mieczysław Białous „Jerzy" (1914–1992), był po prostu ich starszym kolegą z harcerstwa, uczestniczącym i dowodzącym w wielu akcjach „Szarych Szeregów", a następnie Grup Szturmowych. A jeszcze jako sierżant podchorąży został ciężko ranny w obie nogi podczas obrony Warszawy w 1939 r. Pięć lat później przeszedł cały szlak bojowy zgrupowania „Radosław" od Woli, przez Stare Miasto, na Czerniaków. Został odznaczony Virtuti Militari oraz trzykrotnie Krzyżem Walecznych. Na pewno nie za „krycie się za plecami", ale za sprawne dowodzenie i męstwo okazane w boju, np. przy zdobyciu KL Warschau przy ul. Gęsiej, obrony cmentarzy wolskich, heroicznego trwania na Starówce i Powiślu Czerniakowskim…

Dowódca batalionu „Zośka" kpt. Ryszard Białous „Jerzy" FOT. GOV.PL

Przypomnijmy, że zgrupowanie „Radosław" pod dowództwem ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława" (1896–1988) składało się z żołnierzy elitarnych batalionów Kedywu KG AK: „Czata 49", „Miotła", „Parasol", „Pięść", „Zośka" (batalion „Zośka" stanowił trzon Brygady Dywersyjnej „Broda 53", do której należały jeszcze m.in. kompanie: „Topolnicki", motorowa „Żuk" i kobieca „Dysk"). Według ciekawego opracowania, które w obozie jenieckim w Murnau stworzyli dwaj oficerowie ze ścisłego sztabu „Radosława" – mjr Wacław Chojna „Horodyński" i por. Stanisław Wierzyński „Klara" – całe zgrupowanie liczyło latem 1944 r. ok. 1,7–1,8 tys. żołnierzy.

Wielu żołnierzy jeszcze nie miało broni. Oto, przykładowo, ordre de bataille „Brody" i „Parasola". Brygada Dywersyjna (z „Zośką") – „ok. 500 ludzi, łącznie z kobietami. Stan uzbrojenia na 30 proc. ludzi, przeważnie pistolety maszynowe różnego typu, 2 rkm oraz granaty różnego typu. »Parasol« – stan ok. 400–500 ludzi, uzbrojenie 40 proc. na stan ludzi, pistolety maszynowe różnego typu, kilka kb i rkm, granaty różnego typu". Mimo tych niedoborów zgrupowanie „Radosław", przeznaczone wstępnie do ochrony Komendy Głównej AK, należało do najlepiej uzbrojonych oddziałów powstańczych, a morale i wyszkolenie żołnierzy uczyniły je najbardziej bitnym ramieniem powstania warszawskiego. Toteż kierowano je na najbardziej zagrożone odcinki walk.

„ŚWIĘTY MORDERCA" I „AMOREK"

Z „Parasola" dobrze poznałem Danutę Kaczyńską „Lenę" (1924–2001), w powstaniu szefową sanitariuszek 1. kompanii, samą trzykrotnie ranioną. O swoich dowódcach mówiła to samo, co usłyszałem od jej kolegów z „Zośki". Jak inaczej mogłaby zresztą mówić o mjr. Adamie Borysie „Pługu" (1909–1986), cichociemnym, twórcy i dowódcy „Agatu" – „Pegaza" – „Parasola", który w ramach Kedywu podejmował m.in. najbardziej ryzykowne akcje wymierzania kar śmierci na takich gestapowskich zbrodniarzach jak Bürkl, Kretschman, Weffels, Kutschera…

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

„Pług" pomagał w przygotowaniu akcji, a następnie zawsze obserwował i analizował jej wykonanie. Jego obecność – jak wspominał szef parasolowego wywiadu Aleksander Kunicki „Rayski" – podnosiła na duchu podkomendnych, którzy, jeszcze nieletni, na początku wojny trafiali do harcerskiej konspiracji. Cieszył się ich szacunkiem i pełnym zaufaniem, którego nigdy nie zawiódł. 6 sierpnia został ciężko ranny w obronie cmentarzy protestanckich na Woli. Kula strzaskała mu kość przedramienia. Przeżył. Został odznaczony Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

Według powojennych obliczeń od 1 do 8 sierpnia batalion „Parasol" – mimo strat w zaciętych walkach na Woli – powiększył swój stan z 280 do 574 żołnierzy, z czego 369 ze składu konspiracyjnego (nie zdołało dołączyć 80 – wszyscy walczyli w szeregach innych oddziałów AK). Podczas odbijania Stawek i przebicia się do Starego Miasta dwukrotnie ciężko raniono „Radosława", a zginął jego młodszy brat kpt. Franciszek Mazurkiewicz „Niebora" (1901–1944), dowódca „Miotły". Od obrony Starówki stan tylko malał, aż we wrześniu na Powiślu niedobitki „Parasola" i „Zośki" biły się w jednym oddziale o sile kompanii...

W drugiej dekadzie sierpnia na Starówce, dotąd niebombardowanej i nieatakowanej przez Niemców, rozszalało się piekło. Wspomniani wyżej sztabowcy notowali: „24. VIII. Sztukasy szaleją. Przed południem Radosław na noszach ze szpitala obejmuje d-twa odcinka i Zgrupowania. […] Oddziały nasze trzymają się w gruzach i zgliszczach. […] 25. VIII. Co godzina nalot. Ogień artylerii, granatników i szaf bez przerwy. Czołgi z piechotą nacierają ze wszystkich stron. PWPW jeszcze się trzyma. […] 26. VIII. W nocy n-pl opanował zabudowania PWPW. Części rannych i ludności cywilnej nie zdołano uratować. Linia obrony zostaje skrócona… […] 27. VIII. Naloty nieprzyjacielskich sztukasów następują regularnie co pół godziny. Natarcia na Nowe Miasto trwają bezustannie. W nocy toczą się walki w samym kościele Panny Marii […]".

1 września został śmiertelnie ranny Józef Szczepański „Ziutek" (1922–1944), poeta, który napisał m.in. „Pałacyk Michla" oraz „Chłopców silnych jak stal", a ostatnim jego wierszem było dramatyczne wezwanie-wyzwanie do Sowietów „Czerwona zaraza". Ten bard „Parasola" okazał się zresztą wybornym strzelcem, dwukrotnie odznaczonym KW. W 1. kompanii „Ziutek" walczył pod rozkazami por. Stanisława Leopolda „Rafała". Zginął on 27 sierpnia. „Ziutek" tak pisał o swoim ukochanym dowódcy:

„To był ostatni Twój szturm, Rafale! / Szliśmy z Tobą, Twoja wierna gromada; / Twoja pierwsza kompania szturmowa, / Na Twój rozkaz do zrywu gotowa... / Cień zza murów wnękami się skradał / I pe-emy błyskały zuchwale!... […] /

Ja bym kazał Ci wyjść z tych szeregów, / Żebyś przestał być świętym mordercą, / W świętej sprawie piekielnym sposobem... / Ja bym kazał Ci tylko być sobą... / Zamiast broni do ręki wziąć serce, / Twoje serce... jaśniejsze od śniegu... […]".

W Armii Krajowej, jak w każdej armii, dowódcy wysokiej rangi zajmowali stanowiska, na których po prostu nie powinni już pochopnie ryzykować życia. Ich śmierć lub ciężkie zranienie oznaczałyby bowiem wyłączenie z pełnienia obowiązków mających większe znaczenie niż np. poprowadzenie ataku na małym wycinku frontu

Notabene „Rafał" był bratem ciotecznym porucznika (pośmiertnie kapitana) Andrzeja Romockiego „Morro" (1923–1944), niebywale dzielnego, a zarazem utalentowanego dowódcy kompanii „Rudy" z „Zośki". Jako jedyny przeprowadzi swój oddział ze Starówki do Śródmieścia „górą", a nie kanałami, zginął zaś 15 września od przypadkowej kuli na Czerniakowie. Koledzy podkomendni zwali przystojnego dowódcę „Amorek". Wcześniej na Starówce zginie jego młodszy brat, dowódca jednej z drużyn „Zośki" – Janek „Bonawentura" (1925–1944). Był powszechnie lubiany za wdzięk, przystępność i poczucie humoru, co łączyło go z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim.

Też pisał wiersze, a jego „Modlitwa" często jest (była?) przypominana: „Od wojny, nędzy i od głodu / Sponiewieranej krwi narodu / Od łez wylanych obłąkanie / Uchroń nas Panie! / Od nieprawości każdej nocy / Od rozpaczliwej rąk niemocy / Od lęku przed tym, co nastanie / Uchroń nas Panie! / Od bomb, granatów i pożogi / I gorszej jeszcze w sercu trwogi / Od trwogi strasznej jak konanie / Uchroń nas Panie!".

Za poprowadzenie natarcia 4 sierpnia – w którym zdobyto cztery samochody ciężarowe, broń i amunicję – został ranny i odznaczony KW. 12 sierpnia został powtórnie ranny, atakując granatem niemiecki czołg na Stawkach, za co otrzymał awans na podporucznika. Trafił do powstańczego szpitala przy ul. Miodowej 23. Bombardowania szpitala 18 sierpnia nie przeżył. Trzy dni później przyznano mu Virtuti Militari.

Z POKOLENIA LEGIONÓW

Dowódcy w elitarnych harcerskich oddziałach byli „pierwszymi wśród równych" szaroszeregowych wspólnot, obdarzonymi uznaniem kolegów rówieśników. Natomiast „Radosław" należał do poprzedniej generacji powstańczych dowódców. Brali oni udział w pierwszej wojnie światowej, tworzyli organizacje niepodległościowe, zaciągali się w szeregi Legionów, walczyli o granice Rzeczypospolitej i odparli najazd bolszewicki w 1920 r. Wszyscy wzięli udział w kampanii wrześniowej i zbrojnej konspiracji przeciw okupacji niemieckiej. Nie musieli udowadniać odwagi – świadectwem były odniesione wcześniej rany oraz krzyże Virtuti Militari i Walecznych.

W Armii Krajowej, jak w każdej armii, dowódcy wysokiej rangi zajmowali stanowiska, na których po prostu nie powinni już pochopnie ryzykować życia. Ich śmierć lub ciężkie zranienie oznaczałyby bowiem wyłączenie z pełnienia obowiązków mających większe znaczenie niż np. poprowadzenie ataku na małym wycinku frontu. Dotyczy to oczywiście członków Komendy Głównej AK, dowództwa Okręgu Warszawskiego AK (siedem obwodów i jeden samodzielny rejon) z płk./gen. Antonim Chruścielem „Monterem" na czele. Ale gdy bombardowania z ziemi i powietrza oraz przypadkowe kule każdego mogły pozbawić życia w każdej chwili, a znikome w porównaniu z wrogiem siły i środki niemal każdy bój czyniły kwestią przetrwania całych oddziałów, niejeden z wyższych dowódców stawał w pierwszej linii.

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Pułkownik Franciszek Pfeiffer „Radwan" w rejonie ulic Górskiego i Wareckiej. Ubezpiecza go z peemem „Błyskawica", łączniczka Wanda Stawska „Pączek"

FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Ciężką ranę Jan Mazurkiewicz odniósł już w grudniu 1914 r. pod Łowczówkiem, w pierwszej bitwie całej I Brygady Legionów. Uciekł z niewoli rosyjskiej. Następnie raniono go w październiku 1915 r., a w 1918 r., po kryzysie przysięgowym, zdezerterował z wojska austriackiego. Z niewoli niemieckiej uciekł po bitwie pod Kaniowem, organizował w Kijowie dywersję POW, a w Wojsku Polskim zajął się służbą wywiadowczą w II Oddziale Sztabu Generalnego. Pełnił tę służbę podczas kampanii wrześniowej i potem, kilkakrotnie kursując między krajem a Naczelnym Wodzem na emigracji, aż w 1944 r. zastąpił płk. Augusta Emila Fieldorfa w Kierownictwie Dywersji KG AK. 11 sierpnia 1944 r. poprowadzi wraz z bratem atak na Stawki, aby ocalić całe swe zgrupowanie. Na Starówce przyniosą go do Szpitala Jana Bożego na noszach właśnie żołnierze.

„SAMOBÓJCZY SZAŁ"

W cieniu „Radosława" pozostaje jego młodszy brat – kpt. Franciszek Mazurkiewicz „Niebora" (1901–1944). Od 1935 r. w Straży Granicznej, podczas drugiej wojny organizował bazy przerzutowe przez Węgry. Po roku 1943 w Oddziale IV KG AK szkolił dowódców plutonów i kompanii batalionu „Miotła". Na czele tego batalionu nocą z 1 na 2 sierpnia zdobył Monopol Tytoniowy przy ul. Pawiej, a 11 września poprowadził jego natarcie na Stawki, powstrzymując potężne uderzenie Niemców. Zginęli on, jego zastępca Tadeusz Wiwatowski „Olszyna" z Kolegium A, czterech innych oficerów i wielu żołnierzy.

3 sierpnia poległ na Lesznie szef Oddziału VII KG AK (Biuro Finansów i Kontroli) ppłk Stanisław Thun „Nawrot" (ur. 1894). Według relacji jego wnuka wyjrzał z okienka na poddaszu, szukając dobrego pola do ostrzału. Niestety, szybszy okazał się niemiecki „gołębiarz"... Z kolei zastępca szefa sztabu KG AK płk Antoni Sanojca „Marian" w powstaniu zastępował dowódcę Grupy „Północ". 9 sierpnia ciężko raniono go w rękę i w nogę w walce na Starówce.

Wśród dowództwa AK wyróżniał się od czerwca 1944 r. – gdy po wylądowaniu z Anglii został szefem Operacji i I zastępcą szefa sztabu KG AK – wojowniczy gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek" (1898–1946). Raniony w Legionach w 1916 r., dwukrotnie podczas wojen 1919 r. i jeszcze raz w 1920 r. Podczas obrony Warszawy w 1939 r. poprowadził udane kontrnatarcie na Woli. Aresztowany przez NKWD jako komendant ZWZ podczas okupacji sowieckiej przeżył straszne śledztwo na Łubiance i w Lefortowie. Zwolniony po układzie Sikorski-Majski trafił do armii gen. Andersa, który miał o nim jak najlepsze zdanie, a potem do Londynu. Ów ostatni dowódca Armii Krajowej został w marcu 1945 r. porwany podstępem przez Sowietów. Skazany w moskiewskim procesie szesnastu na 10 lat więzienia, już w Wigilię 1946 r. został tam prawdopodobnie okrutnie zamordowany. Czterokrotnie odznaczony VM.

Często wyszydzany komendant główny AK, olimpijczyk igrzysk paryskich w 1924 r. w jeździectwie Tadeusz Komorowski „Bór", pierwszy z trzech VM otrzymał za wojnę 1920 r. Raniono go, gdy prowadził do boju 12. Pułk Ułanów Podolskich podczas bitwy pod Komarowem, gdzie polska jazda rozgromiła 31 sierpnia bolszewicką Armię Konną Budionnego. W powstaniu odniósł 13 sierpnia dotkliwą kontuzję podczas wybuchu tzw. czołgu pułapki na ul. Kilińskiego. Nie poszedł „na chorobowe".

Ale, chcąc nie chcąc, do szpitala trafił z ciężką raną twarzy jego szef sztabu gen. Tadeusz Pełczyński „Grzegorz" (1892–1985). Ranę odniósł 4 września podczas bombardowania gmachu PKO przy ul. Świętokrzyskiej, gdzie znajdowało się kolejne miejsce postoju Komendy Głównej. Życie uratuje mu dopiero po wzięciu do niewoli operacja w Langwasser. Natomiast jego jedyny syn kapral podch. Krzysztof Pełczyński „Kasztan" (1924–1944), dowódca drużyny w harcerskim pułku „Baszta", ciężko ranny został już 1 sierpnia (umarł nocą z 17 na 18 sierpnia) podczas ataku na koszary SS w szkole na rogu ulic Kazimierzowskiej i Narbutta.

Dowódcą Grupy Śródmieście Północ był płk Franciszek Pfeiffer „Radwan" (1895–1964). VM oraz cztery KW ów legionista 5. pułku piechoty otrzymał już za wojnę z bolszewikami. W powstaniu został po raz pierwszy ranny odłamkiem bomby 3 sierpnia. Przy reorganizacji sił powstańczych pod koniec września powierzono mu dowództwo 28. Dywizji Piechoty AK im. Stefana Okrzei oraz przyznano kolejne VM. „Nie szafował krwią młodych ludzi, starał się ich chronić, a kiedy sytuacja była już beznadziejna, doprowadził do tego, żeby było jak najmniej ofiar w powstańczych walkach" (dr Tomasz Toborek, autor książki o „Radwanie").

Znakomity był też dowódca batalionu „Kiliński", srebrny medalista olimpijski w jeździectwie (IO Berlin 1936) rtm. Henryk Roycewicz „Leliwa". Pod jego dowództwem zdobyto 1 sierpnia Prudential, działo pancerne Chwat, a następnego dnia Pocztę Główną przy pl. Napoleona, do której żołnierze wnieśli go na rękach. Największym sukcesem było zdobycie 20 sierpnia Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej (PAST-y). Ciężko ranny został 8 września.

Z długich szeregów wspaniałych dowódców wszystkich szczebli zdołałem wspomnieć naprawdę niewielu. Tym, którzy usiłują ich potępić, dedykuję cytat z wojennych wspomnień bardzo krytycznego wobec powstania Stanisława Cata-Mackiewicza: „Przez wiele setek lat, dopóki istnieć będzie naród polski, każdy Polak będzie przyznawał, że Powstanie Warszawskie było samobójczym szałem, i będzie miał do niego synowską tkliwość i miłość. Będzie z niego dumny".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Feralny U-Boot Hitlera

Zwiedzający Muzeum Nauki i Przemysłu w Chicago mogą zobaczyć prawdziwy niemiecki okręt podwodny z czasu drugiej wojny światowej, a nawet go dotknąć. Umieszczony w specjalnym, klimatyzowanym hangarze stalowy kolos stanowi główną atrakcję placówki.

To legendarny okręt U-505. Jedyny taki zachowany obiekt na całym świecie. Dlaczego jednak U-Boot znajduje się w muzeum w USA, a nie w Niemczech? Ponieważ w czerwcu 1944 r. został zdobyty przez amerykańskich marynarzy! Znowu był to jedyny taki przypadek w dziejach. 24 października 1943 r. dowódca okrętu – kpt. Peter Zschech – popełnił samobójstwo na pokładzie. Tak, również tym razem był to jedyny przypadek w historii. Żaden inny dowódca okrętu podwodnego nie strzelił sobie w głowę w pełnym zanurzeniu.

Zschech doznał załamania nerwowego. Okręt U-505 borykał się bowiem z licznymi awariami – skutek sabotażów robotników przymusowych – i niepowodzeniami. Jednostka wśród marynarzy Kriegsmarine uchodziła za feralną. O niesamowitych losach okrętu i jego załogi pisze w pasjonującej książce Łukasz Grześkowiak.

Autor słusznie zwraca uwagę, że opinia, iż U-505 był okrętem pechowym, była przesadzona. Jego załoga miała bowiem to szczęście, że przeżyła drugą wojnę światową. Tego nie da się zaś powiedzieć o innych podwodniakach walczących w mundurach III Rzeszy.

„Z 1154 wcielonych do służby U-Bootów – pisze Grześkowiak – aż 768 stracono podczas patrolu. Z prawie 41 tysięcy członków załóg U-Bootwaffe aż 28 tysięcy poniosło śmierć, a kolejnych 5 tysięcy dostało się do niewoli. Widać z tego, że przetrwanie wojny stanowiło nie lada wyczyn".

Gdy U-505 po wojnie znalazł się w chicagowskim muzeum, doszło przy nim do niecodziennej ceremonii. Członkowie załogi okrętu pojednali się z amerykańskimi marynarzami, którzy zdobyli U-505. „U-Boot legenda! – pisze autor książki. – Jeśli którykolwiek z okrętów niemieckiej U-Bootwaffe zasłużył na ekranizację, to właśnie on!".

Chętnie bym obejrzał taki film! ©℗

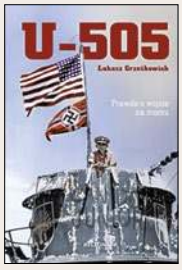

★★★★★★

ŁUKASZ GRZEŚKOWIAK „U-505" BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koniec Kabaretu Starszych Panów

Mało znaną historią z dziejów Kabaretu jest to, że teksty piosenek służyły czasami Jeremiemu Przyborze do wyrażania własnych uczuć w stosunku do młodszej o 20 lat Agnieszki Osieckiej. Poznali się na początku 1964 r. i połączył ich płomienny romans, który ukrywali przed otoczeniem tak, że wiedzieli o nim tylko najbliżsi znajomi. Oboje dotychczas nie potrafili dać sobie rady z życiem osobistym, Osiecka była po rozstaniu z pierwszym mężem, Wojciechem Frykowskim, a Przybora ciągnął drugie, nieudane małżeństwo. Ich związek obfitował w kłótnie, rozstania i powroty. Po jednej z takich awantur Wiesław Gołas śpiewał ze sceny Kabaretu piosenkę z tekstem Przybory przeznaczoną dla Agnieszki:

„Podła / Na pasku kłamstw mnie wiodła, / By nagle zepchnąć w otchłań, / W bezsenną noc bez dna. / Ooo... zgubna... / Niewierna, choć nieślubna, / Fałszywa, samolubna, / Podstępna, pusta, zła".

Ostatecznie się pogodzili, ale ich związek nie miał przed sobą przyszłości. Próba wspólnego zamieszkania zakończyła się katastrofą, zbyt różnili się od siebie. Rozstali się po 2,5 roku, a Przybora „leczył się" z Osieckiej przez kolejne dwa lata. Niepowodzenie to wywarło fatalny wpływ na jego działalność artystyczną, musical „Jedzcie stokrotki" zrobił klapę, a z anteny zniknął Kabaret Starszych Panów (ostatni program wyemitowano 22 lipca 1966 r.). Przybora z czasem jednak uregulował swoje życie uczuciowe. Ożenił się po raz trzeci (tym razem szczęśliwie), a życie dopisało puentę do jego znajomości z Osiecką. Przez lata jej unikał, spotkali się dopiero w 1989 r., podczas Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu:

„[...] Widzę, że Jeremi rumieni się jak licealista – wspominała Magda Umer – przeprasza na chwilę nas, swoją żonę Alicję i podchodzi do Agnieszki. Są daleko, nie słyszę słów, ale coś tak niezwykłego dzieje się między tym dwojgiem, że nie mogę oderwać od nich oczu. On się uśmiecha, ona płacze, wręcza mu żółtą różę. Całują się nieśmiało. Scena jak z filmu".

Piosenki z Kabaretu Starszych Panów do dzisiaj cieszą się ogromną popularnością, w czym zasługa reedycji na DVD programów zespołu. Wprawdzie brakowało pierwszych pięciu odcinków, które emitowano na żywo, to jednak po latach nagrano je na nowo w nieco zmienionej obsadzie. I całe szczęście, gdyż dzięki temu możemy w pełni poznać fenomen tego programu. Jak bowiem mawiano w środowisku artystycznym, gdyby „było więcej takich ludzi" jak Starsi Panowie, to „naprawdę świat byłby 55 razy piękniejszy". Ich piosenki wciąż rozbrzmiewają i znajdują nowych wielbicieli... ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

REPUBLIKA

Rocznica Wybuchu Powstania Warszawskiego

1. sierpnia, poniedziałek od 07:35
przez cały dzień pasmo specjalne
w **Telewizji Republika**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Kolaboracja, korupcja, walka o władzę

Maciej Pieczyński

Oficjalnym powodem dymisji szefa SBU i prokurator generalnej na Ukrainie były liczne przypadki zdrady państwa w kierowanych przez nich instytucjach. Jednak według części mediów prawdziwym celem zmian jest konsolidacja władzy w rękach oskarżanych o korupcję i działanie na rzecz Kremla współpracowników Wołodymyra Zełenskiego

Wygłoszone w niedzielę 17 lipca cowieczorne przemówienie prezydenta Ukrainy wywołało polityczne trzęsienie ziemi. Po raz pierwszy od początku pełnowymiarowej inwazji rosyjskiej doszło w Kijowie do dymisji na tak wysokich stanowiskach, do tego tak istotnych dla bezpieczeństwa państwa. Wołodymyr Zełenski ogłosił decyzję o odsunięciu od pełnienia funkcji szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy Iwana Bakanowa oraz o usunięciu ze stanowiska prokurator generalnej Iryny Wenediktowej. Na drugi dzień otoczenie prezydenta tłumaczyło, że chodzi o zawieszenie do czasu wyjaśnienia toczących się spraw. Ostatecznie jednak oboje stanowiska stracili – decyzję prezydenta już we wtorek zatwierdziła Rada Najwyższa.

Dymisję Bakanowa i Wenediktowej uzasadniał Zełenski za pomocą konkretnych liczb. Według stanu na 17 lipca wszczęto 651 spraw dotyczących zdrady państwa oraz działalności kolaboracyjnej pracowników prokuratury oraz innych organów ścigania. 198 funkcjonariuszy usłyszało już zarzuty. Ponad 60 pracowników prokuratury i SBU pozostało na terenach okupowanych i przeszło na stronę Rosji. „Taka skala przestępstw przeciwko podstawom bezpieczeństwa narodowego oraz wykryte związki, łączące pracowników resortów siłowych Ukrainy z rosyjskimi służbami specjalnymi, każą stawiać bardzo poważne pytania konkretnym osobom na kierowniczych stanowiskach. Na każde z tych pytań znajdziemy odpowiedź" – mówił Zełenski.

Kilka godzin przed przemówieniem prezydenta został zatrzymany były szef krymskiego SBU Ołeh Kulinicz [pomimo aneksji od 2014 r. nadal funkcjonują organy władzy na półwyspie, tyle że rezydują w Kijowie – M.P.]. Zełenski zwolnił go ze stanowiska jeszcze w marcu. Kulinicz pozostał jednak w służbie, pełniąc funkcję doradcy szefa SBU. Miał zdradzać Rosjanom tajemnice państwowe.

Jeszcze wyżej postawiony funkcjonariusz – były szef wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego SBU Andrij Naumow – uciekł z kraju na kilka godzin przed inwazją. Zełenski pozbawił go stopnia generalskiego i wprost nazwał zdrajcą. W czerwcu został zatrzymany w Serbii pod zarzutem prania brudnych pieniędzy. Stopień generała stracił również szef SBU w obwodzie chersońskim Serhij Kriworuczko – także oskarżony o zdradę państwa. Jego współpracownik, koordynujący działalność antyterrorystyczną w chersońskim SBU, Ihor Sadochin, został zatrzymany już w marcu. Są dowody, że przekazał siłom rosyjskim mapę pól minowych i współrzędne obiektów wojskowych. To wszystko ułatwiło agresorom szybkie zajęcie obwodu chersońskiego. Już po zdymisjonowaniu Bakanowa Zełenski zwolnił jego zastępcę Wołodymyra Horbenkę i zmienił kilku szefów regionalnych biur SBU. Między innymi wyznaczył nowego szefa służby w obwodzie charkowskim. Jego poprzednik, Roman Dudin, został zwolniony pod koniec maja, ponieważ, jak wyjaśnił Zełenski, „od pierwszych dni pełnowymiarowej inwazji nie pracował nad obroną miasta, zamiast tego myślał tylko o sobie".

MEDIALNA KRYTYKA

O ile w Polsce i na Zachodzie decyzje personalne Zełenskiego odebrano jako potwierdzenie, że głowa państwa bezkompromisowo walczy ze zdradą we własnych szeregach, o tyle media ukraińskie nieprzychylne władzy (a tych jest większość) posunięcia te krytykują. Dziennikarze tygodnika „Nowoje Wriemia" zauważają, że na stronę wroga przeszło mnóstwo policjantów, a jednak czystka nie dotknęła ministerstwa spraw wewnętrznych. Przed dymisją na łamach tej samej gazety zastanawiano się, dlaczego Zełenski wciąż nie zwolnił Bakanowa, skoro powszechnie wiadomo, że nie jest zadowolony z działań SBU w czasie wojny. Krytykowano ówczesnego szefa służby za bezczynność w pierwszych dniach wojny, spekulowano, czy aby nie opuścił wówczas Kijowa. Wtedy wskazywano na dwie przyczyny, dla których prezydent wciąż nie podejmuje decyzji. Po pierwsze – żeby usunąć szefa tak newralgicznej służby, trzeba wiedzieć, kim go zastąpić. Po drugie – Bakanow to przyjaciel prezydenta z dzieciństwa. Mieszkali w jednym bloku w Krzywym Rogu. Potem współ-

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Szef służby bezpieczeństwa Ukrainy Iwan Bakanow i prokurator generalna Iryna Wenediktowa – jeszcze przed odwołaniem

FOT. TARASOV VOLODYMYR/UKRINFORM/ABACA / ABACA PRESS / FORUM

pracowali w przemyśle rozrywkowym. Bakanow został pierwszym przewodniczącym partii Sługa Narodu. Zełenski mianował go szefem SBU pomimo braku jakiegokolwiek doświadczenia w resortach siłowych.

Wydawałoby się więc, że prezydent w końcu stanął na wysokości zadania, pozbawiając stanowiska swojego niekompetentnego przyjaciela. Jednak media zdominował inny przekaz. Zgodnie z nim dymisja Bakanowa oraz Wenediktowej była częścią wielkiej intrygi, prowadzonej przez najbliższych współpracowników Zełenskiego. Były już szef SBU miał mieć napięte stosunki z szefem biura prezydenta Andrijem Jermakiem, uważanym za prawą rękę głowy państwa. Według informacji portalu Ukraińska Prawda Jermak żądał, by Bakanow kontaktował się z Zełenskim tylko za jego pośrednictwem. „Na jakiej podstawie? Raportuję demokratycznie wybranemu prezydentowi" – odpowiadał Bakanow. Niekompetentny szef ważnej służby, za którego trzymanie na stanowisku dostawało się Zełenskiemu, już po dymisji urasta do roli nieomal niewinnej ofiary zakulisowych rozgrywek, których celem było skupienie pełni władzy nad resortami siłowymi w rękach Jermaka oraz jego zastępcy Ołeha Tatarowa.

PODEJRZENIA I KONTROWERSJE

Również Wenediktowa w przeszłości była bliską współpracowniczką obecnej głowy państwa. Pracowała w sztabie wyborczym podczas kampanii prezydenckiej. W jej przypadku spekuluje się o kilku powodach utraty stanowiska. Jako prokurator generalna dążyła do jak najszybszego ukarania rosyjskich zbrodniarzy. To zaś utrudniało rozmowy z Moskwą o wymianie jeńców, na której z kolei zależało Zełenskiemu. Przedstawiciele Kremla mieli grozić, że w zemście za postawienie przed sądem żołnierzy rosyjskich „azowcy" „nie wrócą do kraju przez 10 lat".

Dymisja mogła mieć związek z przeciąganiem się konkursu na szefa Wyspecjalizowanej Prokuratury Antykorupcyjnej – stosunkowo niezależnej instytucji, której powstanie na Kijowie już w 2015 r. wymusił Zachód, a teraz jej usprawnienie stawia jako jeden z warunków integracji z Unią Europejską. Zełenski zaapelował do tych, od których konkurs zależy (a są to przedstawiciele parlamentu oraz prokuratury), aby doprowadzili do finalizacji procesu. Dwa dni później tak też się stało i nowym szefem instytucji został oficjalnie Ołeksandr Kłymenko. Konkurs wygrał już dawno, ale komisja zwlekała z zatwierdzeniem wyników, zasłaniając się absurdalnymi pretekstami („W domu czeka na mnie głodny kot" – tak zasiadająca w komisji parlamentarzystka uzasadniła przerwanie kolejnych obrad). Według antykorupcyjnego aktywisty Witalija Szabunina powodem zwłoki było to, że w przeszłości Kłymenko kierował śledztwem w sprawie wiceszefa biura prezydenta Ołeha Tatarowa. Zastępca Jermaka, jeszcze pracując jako prawnik w firmie budowlanej, miał pośredniczyć w przekazaniu łapówki celem otrzymania korzystnej dla firmy ekspertyzy. Sprawą zajęli się prokuratorzy Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU). Biuro prokuratora generalnego przeniosło postępowanie z NABU do SBU, gdzie sprawie ukręcono łeb. Bezpośrednio odpowiadał za to ówczesny zastępca, a teraz już p.o. następca Wenediktowej – Ołeksij Symonenko. Prywatnie ponoć dobry znajomy Ołeha Tatarowa. Podobnie zresztą jak Wasyl Maliuk – zastępca i zarazem p.o. następca Bakanowa. Pełniący obowiązki prokurator generalny oraz szef SBU byli widziani na imprezie urodzinowej Tatarowa. To zaś zdaniem mediów kolejny dowód, że obaj są ludźmi wiceszefa biura prezydenta. Przy czym już wiadomo, że ostatecznie Symonenko będzie miał rywala w walce o fotel prokuratora generalnego – drugim kandydatem jest Andrij Kostin, prawnik, parlamentarzysta Sługi Narodu. Media, które wcześniej krytykowały politykę kadrową Zełenskiego, teraz krytykują fakt mianowania na miejsce p.o. zdymisjonowanych urzędników ich zastępców, którzy bynajmniej nie byli przeciwieństwami swoich szefów.

Podejrzenia o korupcję to nie są jedyne kontrowersje wokół Tatarowa. Za czasów Janukowycza był on wysokim funkcjonariuszem MSW. Publicznie uzasadniał brutalne działania służb wobec protestujących podczas rewolucji godności. Po ucieczce Janukowycza został zwolniony z posady. Od 2020 r. jest zastępcą szefa biura prezydenta, odpowiadającym m.in. za prokuraturę. Również sam szef biura nie cieszy się sympatią ukraińskich mediów. Kontrowersje wokół Jermaka opierają się jednak nie na konkretnych zarzutach, ale na domysłach i insynuacjach. Jermak jest nieformalnie drugą osobą w państwie, niektórzy nawet twierdzą, że pierwszą. To producent filmowy i telewizyjny, przyjaciel Zełenskiego z branży. Pomimo braku doświadczenia samorodny polityczny talent. Podobno w 2020 r. szef brytyjskiego wywiadu ostrzegał Zełenskiego, że w jego otoczeniu jest rosyjski agent – miał być nim właśnie Jermak. Jednak te zarzuty się nie potwierdziły. Odgrywał kluczową rolę w rozmowach z Rosjanami o wymianie jeńców, która była jednym z pierwszych sukcesów prezydentury „sługi narodu". Odpowiada za politykę zagraniczną oraz kontakty z USA czy Rosją. Po wybuchu wojny na łamach zachodnich mediów regularnie publikuje teksty zagrzewające tamtejsze rządy do pomocy Ukrainie. Niedawno amerykańska kongresmenka z Partii Republikańskiej Victoria Spartz w liście otwartym do Bidena zaatakowała Jermaka, oskarżając go (bez podstaw) m.in. o sabotaż obrony obwodu chersońskiego. Ani Kijów, ani Waszyngton tymi enuncjacjami się nie przejęły.

Ukraińskie media najpierw krytykowały Zełenskiego za trzymanie na ważnych stanowiskach swoich niekompetentnych przyjaciół. Gdy zaś wreszcie ich zdymisjonował, w zmianach kadrowych dostrzeżono nie tyle próbę usprawnienia państwa, ile konsolidację władzy w rękach Tatarowa i Jermaka. Demonizowanie zwłaszcza tego drugiego może być elementem zwykłej walki politycznej opozycji z rządem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Za Chiny ludowe

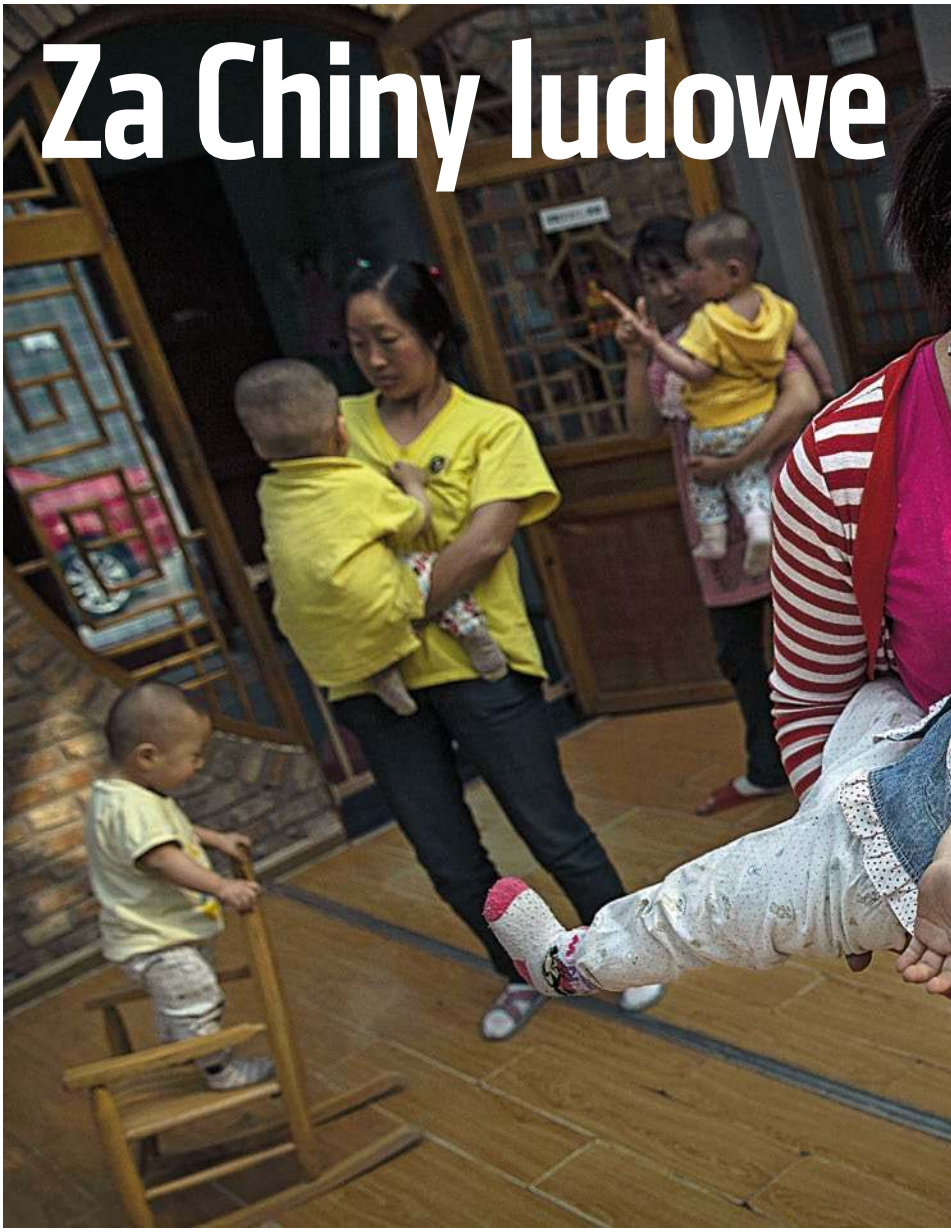

Piotr Włoczyk

Chociaż władze robią wszystko, by ratować demografię, to Chinki za nic w świecie nie chcą mieć więcej dzieci. Dekady zwalczania wielodzietności i przymusowe aborcje zrobiły swoje – marzenia o światowej hegemonii ChRL może pogrzebać tragicznie niska dzietność

Najnowszy cios dla ambicji Pekinu przyniosły dane ONZ. Wszystko wskazuje na to, że już w przyszłym roku to Indie staną się najludniejszym krajem świata – ogłosili na początku lipca eksperci ONZ. Obecnie różnica między oboma azjatyckimi mocarstwami wynosi ok. 30 mln obywateli na niekorzyść Indii, ale wobec demograficznej eksplozji Indii i totalnej zapaści Chin rok 2023 ma być przełomowy pod tym względem. Czołowi specjaliści zajmujący się demografią alarmują, że manipulowanie przez chińskich komunistów dzietnością skończy się katastrofą, której nie da się już uniknąć.

Profesor Fuxian Yi, wykładowca University of Wisconsin-Madison, jeden z najbardziej uznanych specjalistów do spraw chińskiej demografii, przekonuje, że Chiny stoją w obliczu „niewyobrażalnego" kryzysu demograficznego. Jego zdaniem w rzeczywistości chińskie dane na temat dzietności są dużo gorsze od oficjalnych.

– Władze twierdzą, że współczynnik dzietności wynosił w 2021 r. 1,1, ale w rzeczywistości było to najprawdopodobniej 0,9, co jest wynikiem gorszym od polskiego wskaźnika wynoszącego 1,32 – mówi „Do Rzeczy" prof. Fuxian Yi. – Chińska polityka jednego dziecka sprawiła, że społeczeństwo diametralnie zmieniło postrzeganie rodzicielstwa. Niechęć do posiadania potomstwa stała się problemem systemowym. Chiny zestarzeją się, zanim staną się bogate.

Profesor Fuxian Yi przywołuje przykład Japonii, która od dekad próbuje złagodzić efekty kryzysu demograficznego. Japończycy ogromne środki przeznaczają na darmową opiekę nad dziećmi, polepszenie ochrony zdrowia kobiet ciężarnych i dzieci, specjalne dotacje na zakup domów dla młodych par, a tymczasem wskaźnik dzietności w tym kraju wzrósł jedynie symbolicznie (w 2005 r. wynosił 1,26, dekadę później wzrósł do 1,45, by spaść w 2021 r. do 1,30; tymczasem przyjmuje się, że współczynnik ten powinien wynosić 2,1, by można było mówić o zastępowalności pokoleń).

– Chiny starają się kopiować japońską politykę prorodziną, ale w przypadku Chin zwiększenie dzietności jest jeszcze trudniejsze – mówi prof. Yi Fuxian. Wynika to przede wszystkim z dwóch czynników. Dzietność jest dziś w Chinach dużo niższa niż w Japonii, więc punkt wyjścia jest o wiele gorszy, a poza tym cztery dekady polityki jednego dziecka przeorały chińskie wyobrażenie o rodzinie i dzieciach. Obecnie jedno dziecko (maksymalnie) stało się po prostu częścią kodu kulturowego.

Profesor Liang Jianzhang, ekonomista z Uniwersytetu Pekińskiego zajmujący się wpływem demografii na gospodarkę, nazywa obecny problem chińskich komunistów „bombą zegarową".

„Chiny stoją w obliczu jedynego w swoim rodzaju wyzwania demograficznego. Żaden inny kraj na świecie nie ma aż tak wielkiego problemu w tej kwestii" – mówi prof. Liang Jianzhang.

NIECHCIANE DZIEWCZYNKI

Według oficjalnych danych populacja Chin zwiększyła się w zeszłym roku

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

FOT. KEVIN FRAYER /GETTY IMAGES

o zaledwie pół miliona w stosunku do 2020 r. Przewidywany na koniec obecnej dekady demograficzny szczyt nastąpi więc w ciągu najbliższego roku, choć zdaniem części badaczy Chiny już teraz zaczęły tracić mieszkańców.

Demografia to olbrzymi problem dla tworzącego się dopiero chińskiego dobrobytu. Jeżeli nie dojdzie do rewolucji w demografii – a wszystko wskazuje na to, że to już niemożliwe – Chiny za 80 lat będą liczyły maksymalnie 600 mln ludzi. O ile dziś 100 osób w wieku produkcyjnym utrzymuje tam 20 emerytów, o tyle w 2100 r. proporcja ta będzie wynosiła już 100:120.

Czterdzieści lat temu przeciętny Chińczyk miał niewiele ponad 20 lat. Dziś liczy sobie prawie 40 i jest już starszy od przeciętnego Amerykanina. Co najgorsze z punktu widzenia gospodarki, ekspresowo starzejące się chińskie społeczeństwo straciło od 2010 r. 40 mln pracowników (o tyle zmniejszyły się tamtejsze zasoby siły roboczej, które do niedawna wydawały się nieprzebrane).

Chińskie władze za wszelką cenę starają się odwrócić ten trend, ale starania te można porównać do walki z wiatrakami. Najpierw w 2016 r. ChRL zrezygnowała z polityki jednego dziecka, która była bardzo brutalnie egzekwowana od 1980 r. Druga ciąża w przypadku mieszkanek miast musiała się skończyć aborcją. Jeżeli kobieta sama nie chciała zabić swojego dziecka, to w grę wkraczało państwo i aborcji dokonywano pod przymusem. Szacuje się, że polityka jednego dziecka sprawiła, że na świat nie przyszło 400 mln Chińczyków.

Od zeszłego roku chińskie władze prowadzą już politykę „trzeciego dziecka". Jak jednak wyjaśniają socjologowie, obecnie odwrócenie zmian kulturowych jest praktycznie niewykonalne. Chińczycy przyzwyczaili się po prostu, że rodziny są bardzo małe, i marzenie Denga Xiaopinga o powstrzymaniu wzrostu populacji konsumującego owoce rozwoju gospodarczego stało się dla Xi Jinpinga koszmarem.

Sytuacja jest dziś na tyle paląca, że Pekin nie tylko zachęca chińskie rodziny na wszelkie sposoby do wielodzietności, lecz także zapowiada ograniczenie dostępu do aborcji z przyczyn pozamedycznych. Dekady pełnej dowolności w dostępie do aborcji zrobiły swoje. Łatwość „przerwania" ciąży wraz z kulturowym przeświadczeniem, że chłopczyk jest bardziej pożądany od dziewczynki, sprawiły, że badania USG dla milionów nienarodzonych dzieci stały się wyrokiem śmierci. Obecnie rozkład płci jest w Chinach kompletnie zaburzony. Średnio w tym kraju na 120 chłopców rodzi się 100 dziewczynek, ale są też prowincje, gdzie proporcja ta wynosi 130:100! Stąd przyszła „baza rozrodcza"– jak widzą to technokraci z Pekinu zajmujący się demografią – będzie w kolejnych dekadach jeszcze węższa. W związku z palącym niedoborem potencjalnych matek Chiny zabroniły dokonywania aborcji z powodu „niewłaściwej" płci. Jednak zakaz ten bardzo trudno wyegzekwować i zabicie nienarodzonej dziewczynki tylko dlatego, że jest dziewczynką, nie jest w Chinach większym problemem.

W związku z nadciągającą katastrofą władze wydają komunikaty, które jeszcze dekadę temu byłyby uważane za atak na chiński dobrobyt.

„Należy bez żadnych wyjątków wprowadzać w życie narodową politykę równości płci i udzielania pierwszeństwa dzieciom" – przekonywał niedawno Huang Xiaowei, wiceszef Narodowego Komitetu Roboczego ds. Kobiet i Dzieci, działającego w ramach Rady Państwa ChRL (najwyższy organ władzy wykonawczej w Chinach).

Walcząc o dzietność, chińscy komuniści zabronili nawet ostatnio udzielania prywatnych korepetycji, by obniżyć koszt wychowania dzieci (chińscy rodzice ogromną wagę przykładają do jak najlepszego wykształcenia swoich pociech i wydatki na edukację pochłaniają w ChRL nieproporcjonalnie duży procent budżetu rodzinnego w porównaniu z innymi państwami).

Wygląda jednak na to, że wszystko to w bardzo niewielkim stopniu odbije się na dzietności. W chińskich mediach społecznościowych temat ten zajmuje bardzo dużo miejsca – widząc kolejne naciski rządzących na powiększanie rodzin, Chinki komentują, że znają jedynie świat małych rodzin i dobrze się w nim odnajdują. Okazuje się, że antydziecięca polityka Denga Xiaopinga okazała się tak wielkim „sukcesem", że obecne kierownictwo nie będzie raczej w stanie skutecznie odwrócić tego zabójczego dla społeczeństwa i gospodarki trendu.

USA, główny rywal Chin, również zmaga się z niekorzystnym wskaźnikiem urodzeń (1,7), ale Amerykę ratuje duża imigracja. W przypadku Chin ta recepta na kryzys demograficzny nie wchodzi w grę. Po pierwsze, w związku z gigantyczną populacją tego kraju ciężko byłoby znaleźć wystarczająco dużo chętnych obcokrajowców, by skutecznie odwrócić starzenie się społeczeństwa. Po drugie – sami Chińczycy nie są zainteresowani przyjmowaniem masowej imigracji. Co więcej, wśród własnych mniejszości, które uważają za zagrożenie, prowadzą bezwzględną politykę zmierzającą do ograniczenia liczby „obcych". Wiele na ten temat mogą powiedzieć Ujgurzy, w stosunku do których wciąż stosuje się drastyczne metody kontroli przyrostu naturalnego, z przymusowymi aborcjami na czele.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

FOT. MIKE COMER/GETTY IMAGES

NAGRODA DLA KOBIETY DLA MĘŻCZYZNY?

Lia Thomas jako mężczyzna osiągał dobre wyniki w pływaniu, był członkiem męskiej reprezentacji Uniwersytetu Pensylwanii. Potem uznał, że chce być kobietą, i od sezonu 2021–2022 startuje w zawodach dla kobiet. Wśród kobiet jego wygrane budzą kontrowersje, bo wiedzą, że ma nad nimi przewagę anatomiczną. Teraz jednak będą mieć kolejny powód do zazdrości – uczelnia nominowała go do nagrody Kobieta Roku NCAA, przyznawanej od 1991 r. najlepszym sportsmenkom.

PROPAGANDA Z KRADZIONĄ LODÓWKĄ

Rosyjska wideoblogerka Szichman nagrała ckliwy odcinek z rodziną, która straciła bliskiego podczas napaści na Ukrainę. Wszystko jest pięknie – że syn dobry, szlachetny i nikogo by nie skrzywdził – do momentu, gdy w kadrze pojawiła się lodówka. Ludzie w Internecie szybko dostrzegli, że ma napisy o gwarancji po ukraińsku, jest więc mieniem zrabowanym podczas wojny.

SANKCJE JAK ZŁOTO

Siódmy pakiet sankcji został już zatwierdzony przez Komisję Europejską. Zapisano w nim m.in. zakaz importu rosyjskiego złota. Portal Politico zwrócił uwagę na ciekawe sformułowanie tego zakazu. Okazało się, że do Unii Europejskiej nie będzie można przywozić złota, jeśli pochodziło z Rosji. Jednak do dokumentu dotyczącego sankcji sporządzono ciekawy aneks. Sprecyzowano w nim, że zakaz dotyczy sproszkowanego kruszcu, monet i złomu – ale nie ma tam już zapisu o biżuterii ze złota.

W ROSJI ZABRAKŁO ZIEMNIAKÓW

Część osób jest przekonana, że Rosjan niewiele rusza dopóty, dopóki mają samogon i kartoszki. Otóż z tym drugim już nie jest dobrze. Nowa sieć fast foodów, która przejęła lokale po McDonald's, przestała oferować frytki. Do ich wykonania najlepsze są pewne odmiany ziemniaków, których w Rosji brakuje, a żaden kraj nie chce im już ich sprzedać. Rosjanie mają też małe moce przetwórcze, a także brakuje im odpowiednich warunków do przechowywania ziemniaków.

LEPSZY NOS W ZAMIAN ZA DZIECKO

33-latka z Dagestanu sprzedała swoje nowo narodzone dziecko bezdzietnej parze. Zgodziła się oddać potomka za 200 tys. rubli (nieco ponad 16 tys. zł). Śledczy, którzy rozpracowali tę sprawę, relacjonowali w Rosji, że motywacją matki było zebranie pieniędzy na operację plastyczną. Chciała sobie poprawić nos. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wielka szansa dla Orlenu

Komisja Europejska w ubiegłym tygodniu dała oficjalnie zielone światło na realizację planu przejęcia przez PKN Orlen węgierskiej firmy Normbenz Magyarország oraz innych aktywów węgierskiego koncernu MOL. Dzięki temu płocka spółka przejmie 144 stacje paliw na Węgrzech oraz 41 stacji na Słowacji.

To oznacza, że PKN Orlen – który dotąd na Węgrzech obecny nie był – z przytupem wejdzie do krajów Madziarów i od razu zostanie czwartym co do wielkości graczem na węgierskim rynku handlu paliw dla odbiorców detalicznych. Stacje z logo polskiego koncernu są już także obecne w Czechach, na Słowacji, na Litwie oraz w Niemczech.

Powstający właśnie w Polsce wielki koncern multienergetyczny stoi więc przed szansą budowy marki, która podobnie jak inne wielkie koncerny, typu Shell czy BP, będzie kojarzona w wielu różnych krajach świata, a już na pewno w Europie Środkowej.

Narodowi czempioni, którzy mogą bez kompleksów prowadzić ekspansję na zachodnie rynki, są potrzebni szczególnie w czasach nadchodzącego spowolnienia (jak mówią optymiści) lub wielkiego kryzysu (jak straszą pesymiści). Dużemu graczowi łatwiej jest radzić ograniczać koszty, a także współpracować z innymi globalnymi graczami, jak choćby z Saudi Aramco.

Mądrze zarządzany krajowy gigant może i powinien przynosić korzyści nie tylko spółce, lecz także konsumentom. Dobrze widać to na przykładzie rabatu na paliwo. Prosta akcja marketingowa spowodowała, że polski koncern utrzymał wysoki poziom wizyt klientów, a śladem narodowego czempiona podążyli kolejni gracze, jak Lotos, BP, Shell etc. Konkurencja sprawiła zaś, że łatwo można zaoszczędzić kilkanaście złotych na wakacyjnym tankowaniu. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne

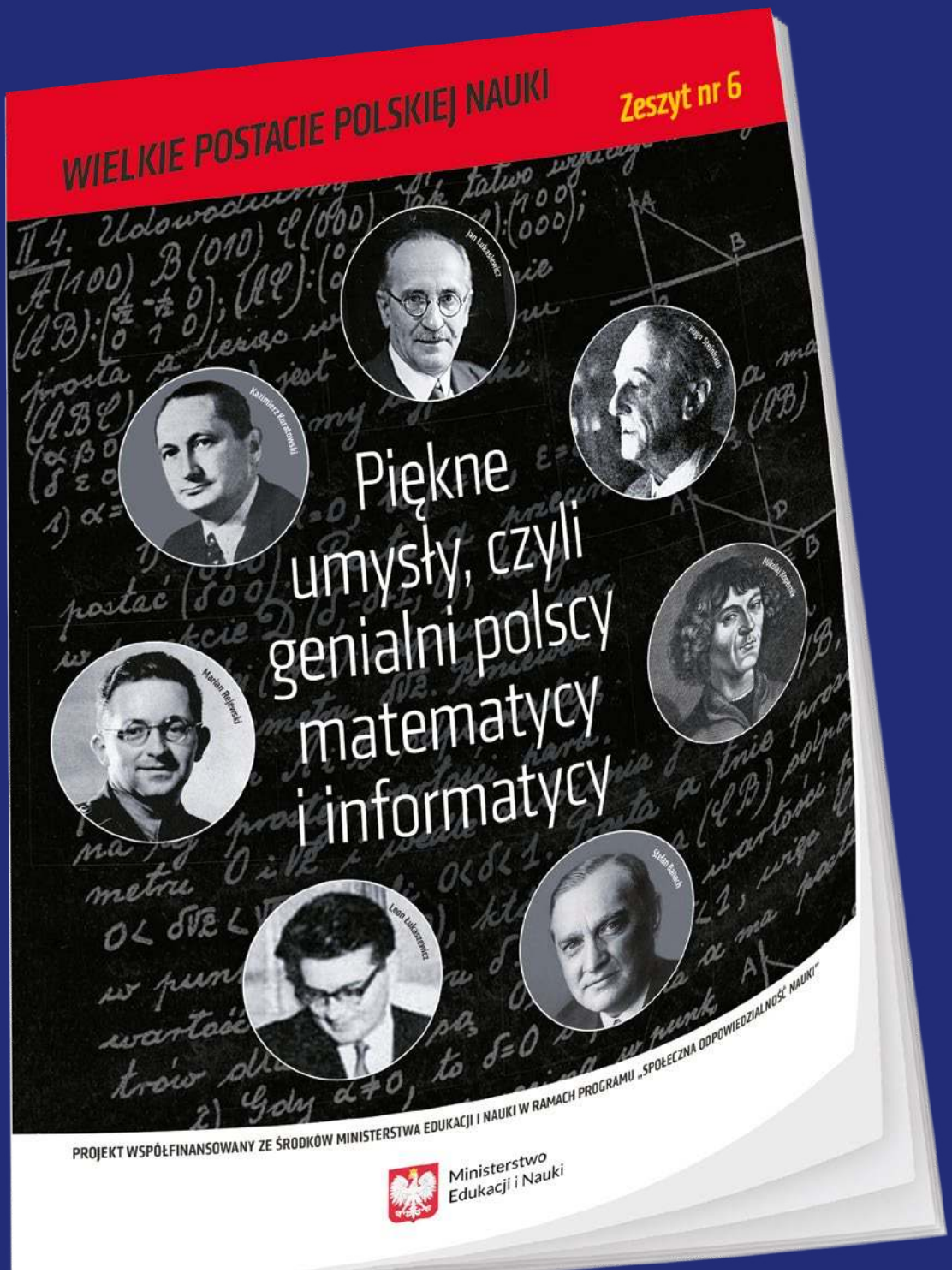

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Ekonomia polityczna

Tomasz Cukiernik

Problemy mamy w tych gałęziach gospodarki, do których wtrącają się politycy, w tym najgorszy ich gatunek – eurokraci

Gdyby Polska na ślepo nie realizowała unijnej polityki energetyczno-klimatycznej, to moglibyśmy gwizdać na Putina i nie mielibyśmy teraz problemów energetycznych. Wdrażanie tej unijnej polityki potrójnie zwiększyło nasze uzależnienie od Rosji. Po pierwsze, gdybyśmy nie likwidowali kopalni, a inwestowali w nie, to nie trzeba by było importować węgla z Syberii. Po drugie, odchodzenie od energetyki węglowej oznacza dla Polski większe inwestycje przede wszystkim w elektrownie zasilane gazem, którego nie mamy. Po trzecie, gdybyśmy inwestowali w energetykę węglową, a nie w odnawialne źródła energii w połączeniu z koniecznym gazowym wspomaganiem, to z Rosji kupowalibyśmy znacznie mniejsze ilości gazu ziemnego niż teraz go potrzeba.

WĘGIEL SPOD LADY

Czy wyobrażamy sobie, że Katar importuje gaz ziemny, a Arabia Saudyjska ropę naftową? Ten ostatni kraj co prawda importuje ropę od Rosji, ale to dlatego, że Moskwa oferuje bardzo atrakcyjną cenę (swoją drogą pokazuje to, jakim absurdem są sankcje na Rosję – bardziej szkodzimy sobie niż Kremlowi, który i tak wyjdzie na swoje). Otóż premier Mateusz Morawiecki nakazał spółkom Skarbu Państwa pilny zakup za granicą 4,5 mln ton węgla. Ma to zostać sfinansowane z… Funduszu Przeciwdziałania COVID-19.

Nie wiadomo, co COVID-19 ma wspólnego z węglem-22, ale to Unia Europejska powinna zapłacić za ten węgiel, bo to Bruksela żądała od polskich władz prowadzenia samobójczej polityki energetycznej. Właściwie dlaczego Unia czy też polscy podatnicy mają płacić ze ten węgiel, a nie klienci, którzy zawsze go kupowali? Wszystko jest postawione na głowie. Bo to już nie jest ta sama cena. Cena jest co najmniej trzy razy wyższa. Politycy boją się buntu wyborców, więc wolą już zapłacić za niego pieniędzmi podatników, nie oglądając się na wzrost zadłużenia publicznego. W rezultacie węgiel będzie kupowany przez spółki Skarbu Państwa (zdaniem znawców z branży z powodów logistycznych nie ma możliwości sprowadzenia takich ilości węgla w tak krótkim czasie), a potem sprzedawany za jedną trzecią tej ceny. Dopłaci niczego nieświadomy podatnik.

Tak to jest, gdy państwo wtrąca się do gospodarki, kiedy unijni i krajowi politycy ręcznie próbują nią sterować. Najpierw realizowane są żądania Unii Europejskiej, a potem okazuje się, że kraj leżący na złożach węgla, które starczyłyby na kilkaset lat, musi ten węgiel sprowadzać z zagranicy. Najpierw politycy wszystko zepsują, a potem próbują z doskoku łatać dziury, które sami zrobili. Braki węgla na rynku automatycznie wywindowały jego ceny, na co rząd odpowiedział nie uwolnieniem i zderegulowaniem rynku, a kolejnym interwencjonizmem w postaci dopłat do węgla – zarówno dla jego dostawców, jak i dla gospodarstw domowych. Ale to tak nie działa.

„Wystarczyło kilka dni, aby prawda o socjalizmie po raz tysięczny wyszła na jaw. Wspaniała cena węgla po 996 zł, ludzie płaczący ze wzruszenia. Cena świetna, tylko towaru nie będzie. To oczywiście było banalnie proste do przewidzenia, bo takie były efekty cen regulowanych i reglamentacji w latach 80. Chciałem też wszystkich uspokoić… Węgiel będzie, tyle że spod lady i za 5 tys. zł za tonę. Taka sama tragedia czeka nas, gdy Tusk wprowadzi czterodniowy tydzień pracy. Socjalizm zawsze jest piękną bajką w ustach polityków, tyle że w realu to za każdy »dany przez państwo 1000 zł musisz sam zapłacić 3000 zł, a za każdy skrócony dzień pracy musisz odpracować dwa«" – skomentował w mediach społecznościowych Paweł Tanajno z Polski Liberalnej Strajku Przedsiębiorców.

ZREZYGNOWAĆ Z ETS

Dlatego europoseł Patryk Jaki z Solidarnej Polski słusznie opowiada się za

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

FOT. ADOBE STOCK

rezygnacją z ETS i natychmiastowymi inwestycjami w wydobycie węgla. Tylko że problem nie pojawił się teraz. To trzeba było robić przed laty, zanim zaczęto importować pierwszą tonę węgla z Syberii. To wtedy, na bieżąco, trzeba było inwestować w nowe ściany, bo z tygodnia na tydzień nie uruchomi się wydobycia. To proces kosztowny i wielomiesięczny. Niestety, wtedy PiS wesoło realizował unijny plan likwidacji polskiego górnictwa (zdecydowano o zamknięciu 14 kopalni), przeznaczając na to miliardy z kieszeni podatników. Ba, górnictwo likwidowane było przez kolejne ekipy rządowe od początku lat 90. pod pretekstem nierentowności. A wystarczyło je sprywatyzować (jak przynoszącą zyski Bogdankę czy kopalnię Silesia) i niech się prywatny właściciel martwi. Ale ówczesnym rządzącym socjalistom, z premierem Jerzym Buzkiem na czele, takie rozwiązanie nie przyszło nawet do głowy.

Bo tak naprawdę to prywatni przedsiębiorcy powinni się zajmować zarówno wydobyciem, importem (konkurencja jest konieczna, by krajowy węgiel nie był zbyt drogi) oraz eksportem węgla, jak i każdego innego surowca, a także wytwarzaniem energii elektrycznej oraz ciepła. A politykom wara od energetyki. Tylko wtedy będziemy mogli mówić o bezpieczeństwie energetycznym, kiedy zajmować się tym będą setki, a może i tysiące konkurujących na rynku firm, a nie kilku polityków. Oni już pokazali, że potrafią tylko wszystko popsuć. Żądanie premiera, by państwowe spółki nagle w krótkim czasie sprowadziły do Polski 4,5 mln ton węgla, to jest kabaret. Szef rządu nie jest od decydowania o imporcie węgla, maseczek, respiratorów czy guzików.

Wszelako przykład idzie z góry: Bruksela zajmuje się nie tylko tradycyjnymi żarówkami, foliówkami, plastikowymi słomkami i termometrami rtęciowymi, zakazując tych wynalazków, lecz także zniszczeniem energetyki – planuje zlikwidować samochody spalinowe, zakazać pieców węglowych, gazowych i olejowych oraz dobić rolnictwo. Czy Unii chodzi o to, byśmy wrócili do jaskiń i stali się znowu cywilizacją zbieracko-łowiecką?

Taki sam fatalny efekt jak w energetyce będziemy mieli w branży spożywczej, branży, która bardzo dobrze sobie radzi także na wspólnym unijnym rynku. Sadownicy skarżą się na niekorzystne przepisy, które sprawiają, że produkcja jest droższa. Co na to rząd? Zagwarantował jak najszybszą likwidację tych przepisów? Nie! Bo nie da się zmienić unijnych regulacji, a polskie na nich się opierają. Za to za pieniądze z budżetu, z dotacji unijnych i od państwowych banków władze planują w każdym powiecie utworzyć przynajmniej dwa–trzy… zakłady przetwórcze owoców i warzyw. W kwietniu br. już powołano Krajową Grupę Spożywczą. Ma to być początek procesu konsolidacji sektora rolno-spożywczego. Państwowe spółki mają rozpocząć działalność w nowych segmentach, jak nasiennictwo czy hodowla roślin, a także zwiększyć przychody w sektorze zboża, mąki czy skrobi. Spółki KSG będą prowadziły szeroko zakrojoną działalność jako producent, przetwórca, hurtownia i skład. Argumenty za utworzeniem takiego podmiotu były takie same jak te, którymi szermowali komunistyczni aparatczycy przeciwko własności prywatnej i wolnemu rynkowi, czyli walka ze spekulacją. Co gorsze, możliwa jest także konsolidacja w innych obszarach, jak np. sektor przemysłowy. Była już mowa w tym kontekście o branży chemicznej czy niezlikwidowanych do tej pory hutach.

NACJONALIZACJA W PEŁNYM NATARCIU

W 2016 r. państwowa Enea odkupiła od francuskiego właściciela sprywatyzowaną kilkanaście lat wcześniej elektrownię Połaniec. W kolejnym roku kontrolowana przez Skarb Państwa spółka PGE nabyła aktywa francuskiego koncernu energetycznego EdF w Polsce. Również w 2017 r. kontrolowany przez państwo PZU oraz Polski Fundusz Rozwoju przejęły od włoskiego banku UniCredit akcje banku Pekao. Upaństwowiono ponadto branżę ratownictwa medycznego, a kontrolowany przez państwo Orlen kupił wydającą lokalne gazety spółkę Polska Press. Niedawno rząd podjął także decyzję o tworzeniu spółki ze 100-procentowym udziałem Skarbu Państwa o nazwie Narodowa Agencja Bezpieczeństwa Energetycznego, w której rękach mają się znaleźć wszystkie elektrownie węglowe należące teraz do PGE, Taurona, Energi i Enei. Z kolei w czerwcu br. Rada Ministrów przyjęła projekt uchwały dotyczący nabycia przez Skarb Państwa akcji Lubelskiego Węgla „Bogdanka".

Politycy nie uczą się na błędach swoich poprzedników. Odpowiedzią na szkodliwy i niedziałający interwencjonizm jest jeszcze większy interwencjonizm w postaci nacjonalizacji i ręcznego sterowania gospodarką. Jak doskonale wiemy z historii gospodarczej, także w tym wypadku efekt będzie fatalny. Całe sektory gospodarki zostaną rozregulowane, a potem znowu z doskoku trzeba będzie cerować dziury pieniędzmi podatników. Czy wkrótce w Polsce poza węglem, którego już nie ma na rynku, zabraknie owoców, warzyw, stali i energii elektrycznej? I tak do momentu, aż któryś polityk pójdzie po rozum do głowy i doprowadzi do kolejnej prywatyzacji? Na razie we Francji rząd zapowiada renacjonalizację EdF. Dziwić może to, że nawet w wydawałoby się racjonalnych Niemczech pojawił się ostatnio pomysł, by znacjonalizować firmy energetyczne.

Efektem realizacji unijnej polityki energetyczno-klimatycznej są braki węgla, wzrost cen energii elektrycznej i zbliżające się niebezpieczeństwo blackoutu oraz wzrost cen ogrzewania zarówno tego na węgiel, na gaz, jak i z ciepłowni oraz elektrociepłowni. W odpowiedzi rządu na te problemy, które nigdy by nie wystąpiły, gdyby decydował nieskrępowany regulacjami prywatny właściciel na konkurencyjnym rynku, a nie polityk, mamy dodatkowy interwencjonizm: dopłaty do węgla, które zrzucono na plecy podatnika. I nie jest to wina Putina, bo nie on rządzi Unią Europejską, a (euro) politycy doprowadzili do takiej sytuacji na długo przed wojną na Ukrainie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy Polska by się z tego cieszyła?

Polska – jej władze i przytłaczająca większość obywateli – od dnia inwazji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. stanowczo i donośnie domagała się, żeby wszystkie państwa UE, w tym zwłaszcza Niemcy, czym prędzej zerwały z rosyjskim gazem (a także z rosyjską ropą, rosyjskim węglem i wszystkim, co pochodzi z Rosji).

W tym samym czasie rzeczone Niemcy działały w tej sprawie – jak pamiętamy – wyjątkowo mało entuzjastycznie, wręcz niemrawo, jakoś tak szczególnie „langsam" i niekoniecznie „sicher", czyli na pewno nie: „Langsam, langsam, aber sicher". A potem Rosja – najpierw z początkiem lipca – zredukowała im dostawy gazu do 60 proc., a 10 dni później – pod pretekstem jakiejś naprawy czy innej konserwacji gazociągu Nord Stream 1 – ścięła je do zera. Z ostatnich, niejasnych doniesień wynika, że zmniejszyła je Niemcom do zera podobno tylko czasowo, a dziś podobno „tylko" do 30 proc., lecz – jak wiadomo – z Moskwą nigdy nic nie wiadomo.

No i teraz niezwykle mnie ciekawi, czy Polska cieszy się z tego powodu; czyli – ni mniej, ni więcej – czy cieszą się z tego Polacy? To znaczy: Czy Polska – sama odcięta przez Rosję od jej gazu w kwietniu – cieszy się z powodu zrealizowania silnie forsowanego przez siebie – przez swoje władze i większość obywateli – postulatu odcięcia od rosyjskiego gazu także Niemiec (co prawda, zrealizowanego nie przez Niemcy, a przez Rosję, i być może tylko czasowo)? I czy cieszyłaby się jeszcze bardziej, gdyby Niemcy zostały od niego odcięte na stałe? Nawet gdyby miało to oznaczać, że z tego powodu Polska od tamtej pory – od początku lipca – nie mogłaby sprowadzać z Niemiec rosyjskiego gazu tłoczonego tam z Rosji przez Nord Stream 1? A to przecież mogłoby się wiązać z nielichymi konsekwencjami – nie tylko takimi jak jeszcze szybszy wzrost cen gazu. Także z takimi, jak być może trudności w zapewnianiu bieżących dostaw gazu do Polski na dotychczasowym poziomie. A może nawet z takimi jak konieczność naruszenia – i o to pewnie istniałaby obawa – już teraz, latem, naszych zmagazynowanych na jesień i zimę rezerw gazu, a to z kolei mogłoby grozić niedostatecznym ich poziomem wtedy, gdy będą najbardziej potrzebne.

Czy zatem Polska, która sama od lat sposobiła się do uwolnienia się od gazowego szantażu Kremla, budując świnoujski Gazoport i gazociąg Baltic Pipe, cieszyłaby się ze stałego odcięcia dopływu rosyjskiego gazu także do Niemiec? Do Niemiec, które co prawda dziś są gorzej do tego przygotowane od nas, lecz za to sporo bogatsze, a więc mają też dużo większe możliwości radzenia sobie z kłopotami; a to oznacza, że w sytuacji, gdy na europejskim rynku jest ograniczona ilość gazu, to te starania bogatszych Niemiec o pozyskanie go dla siebie mogłyby mocno utrudnić pozyskanie go Polsce.

Czy zatem Polska naprawdę by się z tego cieszyła? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Siedem lat bez atomu

Gdy pojawiła się wiadomość o dymisji Piotra Naimskiego, pełnomocnika rządu do spraw krytycznej infrastruktury energetycznej, pan premier opublikował na jego temat krótki pean na Twitterze: „Piotr Naimski od lat jest jednym z najlepszych w Polsce specjalistów od energetyki. Baltic Pipe i wielu innych inwestycji tworzących architekturę bezpieczeństwa energetycznego Polski to jego dziedzictwo".

Jako żywo stanęła mi przed oczami pani premier Beata Szydło, która była tak znakomitym szefem rządu, że musiała odejść zaraz po tym, jak opozycji nie udało się przeforsować wotum nieufności wobec niej. Odejście Naimskiego ma również poważne konsekwencje: stwarza wielką szansę pobicia światowego rekordu niewybudowania elektrowni jądrowej, Polsce po prostu niezbędnej. To bowiem odwołany minister odpowiadał za tę inwestycję.

Platforma Obywatelska nie zbudowała elektrowni atomowej przez pięć lat, a PiS – już przez siedem

Platforma Obywatelska nie zbudowała elektrowni atomowej przez osiem lat swoich rządów, ale gdyby liczyć od momentu powstania powołanej specjalnie w tym celu, a już nieistniejącej spółki PGE EJ1, którą przez jakiś czas kierował Aleksander Grad, były minister skarbu w rządzie Donalda Tuska, to jednak PiS już dawno PO pobił. PGE EJ1 powołano bowiem w 2010 r., a więc można uznać, że PO nie zbudowała elektrowni przez pięć lat, a PiS – już przez siedem.

To wyjątkowy fenomen: wszyscy się zgadzają, od lewicy do prawicy, że Polska potrzebuje elektrowni jądrowej. Wpisywano ją do wszystkich kolejnych strategii energetycznych. PiS miał wszelkie warunki, rządząc niepodzielnie w pierwszej kadencji i niemal niepodzielnie w drugiej, żeby zatwierdzić lokalizację, zdecydować się na którąś z oferowanych technologii i rozpocząć budowę. To powinno się było zdarzyć najdalej trzy lata po objęciu władzy, czyli do 2018 r. I co? I nico. Dotychczas udało się jedynie wytypować lokalizacje preferowane, a i to dopiero w ciągu paru ostatnich miesięcy, ale nie wyznaczono nawet tej ostatecznej. Powiedzieć, że to kompromitacja, to nic nie powiedzieć. Dymisja Naimskiego może niestety oznaczać, że sprawa budowy elektrowni jądrowej nie będzie teraz miała swojego „pilota". I tak jak prawie nic się w tej sprawie nie wydarzyło do tej pory, tak nie wydarzy się do końca tej kadencji. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Poznań

Grupa Inwest®

HORYZONT
NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl

WILDA CORNER

PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Przecięta mierzeja

Adam Zubek

Nie ma chyba na obszarze Polski terenów bardziej pożądanych przez deweloperów niż mierzejowe odcinki polskiego wybrzeża Bałtyku. Co prawda, podlegają ochronie, ale coraz częściej przegrywają z nienasyconymi apetytami branży hotelowo-pensjonatowej. Mierzeja Wiślana przegrała zaś z geopolityką, choć po tym, co wydarzyło się 24 lutego tego roku, trzeba na tę „przegraną" spojrzeć zupełnie inaczej

Już w czerwcu, trzy miesiące przed oficjalnym otwarciem przekopu, wody Bałtyku połączyły się z wodami Zalewu Wiślanego. W miejscu, którego natura, jak martwiła się niedawno jedna z posłanek, nie przewidywała. Może to nie do końca tak było z planami natury. Narodziny prawie każdej mierzei zaczynały się od łańcucha wysepek. Jeszcze w średniowieczu Mierzeja Wiślana była okresowo porozrywana licznymi przesmykami. Rejon obecnej Krynicy Morskiej przestał być wyspą ok. 1200 r. Również w okolicach powstającego przekopu, między Skowronkami a Przebrnem, funkcjonowało okresowe połączenie z Zatoką Gdańską. Od tego czasu rodziły się u władców terenu, Polaków i Niemców, przeróżne, nierzadko sprzeczne, pomysły zagospodarowania tego niezwykłego obszaru, jaki tworzą Mierzeja Wiślana, Zalew i pobliskie Żuławy. Czyli całej strefy ujściowej Wisły.

BAŁTYCKA PIASKOWNICA

Matką ich jest woda, ojcem wiatr. Ale kluczowe znaczenie miał chyba „dziadek", bo tak zapewne należałoby określić rolę, którą odegrał plejstoceński lądolód skandynawski. Mierzeje bałtyckie to wynik „zabawy" dwóch żywiołów z piaskiem, którego kolosalną dostawę zapewnił lodowiec. Do tej zabawy włączył się w ostatnich stuleciach człowiek. Jak to zwykle bywa – z niejednoznacznym skutkiem.

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Przekop Mierzei Wiślanej FOT. ADOBE STOCK

Tą bałtycką „piaskownicą", w której zabawiają się wiatr i woda, obdarowała nas epoka lodowcowa. Kilkakrotne nasuwanie się lądolodu skandynawskiego na teren dzisiejszego Bałtyku i dzisiejszej Polski (aż do Karpat i Sudetów) dostarczyło nieprawdopodobnych ilości materiału skalnego – głazów, żwirów, piasku i gliny. Jednocześnie lodowiec przeorywał i pogłębiał nieckę zajmowaną dziś przez Bałtyk. Była to niecka istniejąca już dużo wcześniej, od paru milionów lat, ale dopiero ostatnie zlodowacenie, zwane bałtyckim lub północnopolskim, które zaczęło ustępować ok. 14 tys. lat temu, ukształtowało dzisiejszy Bałtyk. To ustępowanie lądolodu odbywało się metodą „krok do przodu, dwa do tyłu" i w takim samym rytmie zmieniał się nasz Bałtyk. Raz stawał się jeziorem słodkowodnym, raz prawdziwym, słonym morzem. Takich zmian, z którymi wiązały się wahania poziomu morza, badacze naliczyli pięć. Wszystko to sprzyjało dalszemu rozdrabnianiu materiału skalnego i gromadzeniu piasku. Zmieniał się także za każdym razem przebieg linii brzegowej. 11–12 tys. lat temu Polska byłaby na północy większa o pas szerokości 30–40 km. Natomiast w okresie między 9,8 tys. a 6 tys. lat temu linia brzegowa była już zbliżona do współczesnej. Jak podaje prof. Szymon Uścinowicz, wskutek wzrostu poziomu morza linia brzegowa przesunęła się na południe od ok. 60 km w Zatoce Pomorskiej, przez 10–30 km na środkowym Wybrzeżu, do 5–10 km w Zatoce Gdańskiej. W czasie transgresji zniszczone i zalane zostały wyspy, które istniały na południowym Bałtyku we wcześniejszych fazach rozwoju, m.in. Południowa Ławica Środkowa, Ławica Słupska i Ławica Orla.

Pod koniec transgresji linia brzegowa była zbliżona do współczesnej. Lecz mimo to spacer plażą od Świnoujścia do Helu nie byłby możliwy, ponieważ nie było plaży. Transgresja litorynowa sprawiła, że wody morskie wdarły się w ujścia rzek i doliny między pagórami morenowymi. Brzeg był bardzo poszarpany, roił się od zatok, zatoczek, bagnistych dolin. I wtedy właśnie, ok. 6 tys. lat temu, wiatr do spółki z morskimi falami włączył się do kształtowania brzegu po swojemu.

Mechanizm powstawania mierzei, opisywany już w podręcznikach szkoły podstawowej, jest oczywisty dla każdego plażowicza, który choć przez chwilę obserwuje to, co dzieje się na linii styku wody i lądu, w strefie nabiegania fal. Fale, nawet te niewielkie, uruchamiają piasek i żwir budujące tzw. przybrzeże. Drobiny piasku nigdy nie wracają na swoje miejsce. W zależności od kierunku wiatru i prądów przybrzeżnych przesuwane są wzdłuż brzegu w lewo lub w prawo. W przypadku południowego Bałtyku – na wschód lub na zachód. Wydawałoby się, że przy zdecydowanej w tej części Europy cyrkulacji zachodniej piaski polskich plaż powinny wędrować na wschód. Tak dzieje się tylko na wschód od Mielna, w którym to rejonie następuje tzw. dywergencja potoków rumowiska, co oznacza, że na zachód od tego miejsca transport piasku przyjmuje kierunek odwrotny. W sumie morze wykonuje niewyobrażalną pracę. Obliczono, że średnioroczne, wzdłużbrzegowe przemieszczanie się piasku wynosi od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy metrów sześciennych.

MIERZEI CI U NAS DOSTATEK

Mierzeje zwykle kojarzą się nam z plażą, wydmą i jeziorami przybrzeżnymi. Stanowią barierę oddzielającą te jeziora od morza. Potrafimy nazwać kilka z nich – z pewnością Mierzeję Wiślaną (30 km w granicach Polski), Łebską (z mierzejami Sarbską, Gardnieńską, łącznie ok. 45 km), Jamneńską (10 km), może jeszcze Wicką. Ale na pierwszym miejscu z pewnością Mierzeję Helską (35 km), którą jednak prawidłowo należałoby nazwać kosą, a więc formą, która tylko jednym końcem łączy się z lądem. Studia nad mapą polskiego pobrzeża Bałtyku pozwolą zlokalizować jeszcze mierzeje Kopańską, Bukowską, Resko Przymorskie, Dziwnowską i Bramy Świny. Można w ten sposób doliczyć się 14 mierzei o łącznej długości ok. 185 km. Geomorfolodzy liczą inaczej. Oceniają, że prawie 75 proc. polskiej linii brzegowej Bałtyku ma charakter mierzejowo-wydmowy.

Podróżując nad morze samochodem, zwłaszcza do kąpielisk na środkowym i zachodnim Wybrzeżu, można na końcowym odcinku podróży dostrzec pewną prawidłowość. Gdy wyjeżdżamy z większych ośrodków miejskich, jak Lębork, Słupsk, Sławno, Koszalin, Gryfice, i zanim dotrzemy do nadmorskich wczasowisk, trzeba przejechać przez niemal bezludny 20–40-kilometrowy pas użytków i nieużytków rolnych z rzadko rozsianymi osadami. To teren dawnych jezior, bagnisk, rozlewisk i zatok morskich, które po odcięciu ich mierzejami od morza uległy (i ulegają) osuszaniu i zarośnięciu przez dziką roślinność. Mierzeje niejako więc „zrosły się" z lądem, z obszarami nazywanymi naukowo równinami akumulacji organogeniczno-mineralnej lub nizinami nadbrzeżnymi. Takie krajobrazy dominują na naszym Wybrzeżu.

To, co najlepiej zapamiętujemy z mierzei, to plaża. I rzeczywiście plaże mierzejowe są najatrakcyjniejsze. Potrafią osiągać znaczną szerokość, choć zmienia się ona z roku na rok. Średnio nasze plaże mają 35 m. W Świnoujściu, na wyspie Uznam, szerokość plaży może dochodzić do 140 m. Do najszerszych należą plaże w Słowińskim Parku Narodowym, w Sopocie, na cyplu helskim, przy ujściu Wisły. Ale znacznie ważniejszą cechą wybrzeży typu mierzei jest to, co znajduje się na zapleczu plaży, co zwykle traktujemy

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

jako uciążliwą przeszkodę w drodze na plażę – wał wydmowy. Nierzadko jest to cała sekwencja wydm, malowniczo dzielonych przez specjalistów na wydmy białe, wydmy szare i brunatne. Wydma biała (przednia) wznosi się tuż nad plażą. Szara bywa porośnięta niską roślinnością, a kolor zawdzięcza znacznej domieszce materii organicznej. Wydmy brunatne są z reguły porośnięte lasem. To właśnie wydmy decydują o trwałości brzegu mierzejowego, wymieniając się z plażą budulcem, czyli piaskiem. Jakie skutki dla tego delikatnego tworu, którym są mierzeje, może mieć ludzka ingerencja?

DWIE STRONY PRZEKOPU

Przekop Mierzei Wiślanej i wytyczenie toru wodnego w obrębie Zalewu Wiślanego nie są całkiem nowymi projektami. Mierzeja i Zalew Wiślany były obiektem zakusów w różnym czasie, z różnych stron. Ciekawe, że polskich władców interesowała zawsze raczej kwestia przekopu przez Mierzeję, natomiast za rządów niemieckich powstawały plany osuszenia Zalewu Wiślanego. Sprawy przekopu wspierał zawsze Elbląg, licząc na odzyskanie swej morskiej potęgi. Zwalczał te pomysły Gdańsk w obawie przed konkurencją. Tymczasem polskich władców interesowały bardziej militarne aspekty przekopu. Stefan Batory, prowadząc wojnę z Gdańskiem, polecił w 1577 r. zbadać możliwość wykonania przekopu i tym samym stworzenia z Elbląga nie tylko konkurencyjnego portu handlowego, lecz także wojennego. Zakończony pokojem konflikt z Gdańskiem sprawił, że król stracił zainteresowanie tą inwestycją. Jednak, jak podaje Wiesław Kaliszuk, badacz historii Wyżyny Elbląskiej (www.historia-wyzynaelblaska.pl), niecałe sto lat później, za panowania Jana Kazimierza, taki przekop (przesmyk?) istniał właśnie w okolicach wsi Skowronki i był broniony przez dwa forty od strony Zatoki Gdańskiej. Pomysł przekopania Mierzei pojawił się także za panowania Jana III Sobieskiego i wracał niejednokrotnie aż do wieku XX.

Tymczasem niemieccy gospodarze tych ziem, począwszy od pierwszego rozbioru Polski, zachęceni rolniczym sukcesem Żuław, planowali osuszanie Zalewu Wiślanego celem powiększenia powierzchni uprawnej. Pierwsze projekty pojawiły się w wieku XIX, a w latach 20. i 30. XX w. planowano – co ciekawe, z inicjatywy Elbląga – polderyzację przeszło połowy powierzchni Zalewu. Jak podaje W. Kaliszuk, projekt inżynierów H. Dromtra i O. Jauera przewidywał pozostawienie dwóch kanałów żeglugowych – jednego do planowanego przekopu w okolicy Krynicy Morskiej i drugiego do Głębi Piławskiej. Projekty te pozostały jedynie na papierze. Podobne pomysły pojawiły się także za naszych czasów, w latach 1948–1952. Za jednym z nich stał minister Eugeniusz Kwiatkowski, twórca Gdyni. Projekty były reaktywowane w latach 80. XX w. w Instytucie Morskim w Gdańsku przez prof. Tadeusza Jednorała.

ZMARTWIENIE SANDACZY

O zagrożeniach ekologicznych i spodziewanych korzyściach ekonomicznych z realizowanego obecnie przekopu napisano już chyba wszystko. Cieszy się Elbląg, także Frombork i Tolkmicko, liczące na impuls gospodarczy, ale ostateczną decyzję przypieczętowały względy bezpieczeństwa państwa. Umowa z Rosją (2009) stworzyła sytuację bardzo niekorzystną dla Polski. Korzystanie z Cieśniny Piławskiej zostało ograniczone tylko do statków handlowych oraz jachtów tylko pod polską banderą. Umowa ogranicza też maksymalne zanurzenie statków do 1,8 m. Realizowany przekop będzie umożliwiał ruch statków o zanurzeniu 4,5 m. Poza tym zawsze trzeba się liczyć z tym, że Rosja w każdej chwili może zamknąć cieśninę.

W tej sytuacji aspekty ekologiczne, choć istotne, zeszły na drugi plan. Znawcy twierdzą, że powody do zmartwienia mają przede wszystkim ptaki i sandacze. Inwestycja zaburzy warunki w rejonie ważnym dla migracji oraz zimowania ptaków morskich i wodnych. Pewną rekompensatą dla ptaków będzie sztuczna wyspa, którą utworzono na Zalewie Wiślanym z piasku pochodzącego z wykopów. Sandaczom, które na Zalewie mają swoje tarliska, nie będzie sprzyjało wzburzanie mułu zalegającego na dnie Zalewu, tworzącego przy pogłębianiu toru wodnego do Elbląga za każdym razem chmurę zawiesin. Zadbano jednak o zwierzęta lądowe, dla których przewidziano specjalne pochylnie na brzegach kanału.

CZY NATURA POLUBI NASZ PRZEKOP?

Inne zmartwienie mają mieszkańcy wczasowisk na Mierzei – w Kątach Rybackich, Krynicy Morskiej czy Piaskach. Mierzeję Wiślaną, w ocenie dr E. Zawadzkiej-Kahlau, prowadzonej do lat 80. XX w., cechowała względna stabilność brzegu. Dynamika wód, mniejsza w Zatoce Gdańskiej niż na otwartym morzu, sprawia, że plaże i nadbrzeża Mierzei nie ulegają dużym i szybkim przekształceniom.

Była ona do tej pory najdłuższym w Polsce odcinkiem całkowicie naturalnego brzegu. Lokalna erozja na niektórych odcinkach bywała zjawiskiem przejściowym, a brzeg ulegał ponownej samoczynnej odbudowie. Obecnie jednak – twierdzi badaczka – w XXI w., dynamika brzegów i zmiany erozyjne są bardziej zintensyfikowane. Interesował się tym problemem prof. Tomasz A. Łabuz z Uniwersytetu Szczecińskiego, który analizował następstwa spiętrzeń sztormowych w latach 2016 i 2017, noszących imiona Angus, Barbara i Axel. I rzeczywiście, to ostatnie, przekraczające 6 m, sprawiło, że obniżone zostały plaże i podmyte wydmy między Krynicą a Stegną. Spiętrzenie Axel spowodowało cofnięcie wydm wałowych w rejonie Krynicy o 6–8 m, a Skowronek – 1–3 m.

Jednocześnie nie ulega wątpliwości, że budowa falochronów osłonowych od strony morza zakłóci naturalny przebieg procesów w tej strefie. Jest to zjawisko znane z innych odcinków naszego Wybrzeża (np. sąsiedztwo portu we Władysławowie). Przy przeważającym wschodnim kierunku ruchu osadów będzie następował po stronie zachodniej falochronów przyrost linii brzegowej, a po wschodniej wystąpią wzmożona erozja i wkraczanie morza na ląd. A więc można się spodziewać zanikania plaż. Z badań Instytutu Budownictwa Wodnego PAN w Gdańsku wynika, że zasięg zmian brzegowych po 10 latach będzie wynosił w obu kierunkach 1 tys. m, a przyrost linii brzegowej po stronie zachodniej oraz ubytek po stronie wschodniej wyniosą ok. 20 m. Innego zdania jest prof. Tomasz A. Łabuz. Uważa, że zmiany będą sięgały od Kątów Rybackich do Piasków (prawie 30 km), a na odcinku Kąty Rybackie – Krynica (15 km) będzie to wpływ znaczący. Jak prognozuje profesor, ucierpią tamtejsze plaże. W tej sytuacji dla ratowania ich erodowanych odcinków niezbędny będzie dość kosztowny zabieg, zwany refulacją, czyli okresowe zasilanie piaskiem z dna morskiego. Dla przyrodników jest to wizja trudna do zaakceptowania.

Będziemy więc musieli włożyć sporo wysiłku i ponieść znaczące koszty, żeby natura „polubiła" nasz przekop. Ale zachowanie naszego wschodniego sąsiada, z którym dzielimy Mierzeję Wiślaną, uświadomiło nam już 24 lutego 2022 r., że decyzja o przekopie była zasadna i te koszty ponieść musimy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

KGHM POLSKA MIEDŹ

PZU

PARTNER

IKO Fundacja

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Crocksy marki Balenciaga to buty dla przerośniętego smerfa
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Bardzo brzydkie buty

Joanna Bojańczyk

Birkenstocki stały się symbolem wyzwolenia z niewygodnych, a nakazywanych przez modę butów. To był początek. Po nich nadeszły „ugly shoes". To nie subiektywna ocena, to nazwa fenomenu mody. Masowy wysyp karykaturalnych modeli obuwia nastąpił w zeszłym roku i trwa w najlepsze w tym

Ktokolwiek miał kiedyś złamaną kończynę, wie, jakie to kalectwo. „... ten tylko się dowie, kto ją stracił" – strawestowałabym wieszcza. Są dwie szkoły: otwocka mówi, że złamać rękę jest lepiej, bo można chociaż chodzić, falenicka utrzymuje, że lepiej pobyć chwilowo bez nogi, bo jednak ręką da się coś zdziałać. Jako człowiek, który doświadczył jednego i drugiego złamania, twierdzę, że lepiej jednak mieć dwie nogi zdrowe, bo jedną ręka można sobie poradzić.

OBRAZA DLA ELEGANCJI

Stopa to bardzo mądra maszyna. 26 kości, 33 stawy, ponad 100 wiązadeł i ścięgien. Od kiedy człowiek się spionizował, całe jego życie spoczywa na tych dwóch skomplikowanych przyrządach. Od nich zależy też nasze zdrowie. Bo czy można być zdrowym, nie chodząc, nie biegając, nie pływając, nie jeżdżąc na nartach, na rowerze?

Na stronie „New York Timesa" moją uwagę przyciągnęła zabawna, niekonwencjonalna i niegłupia reklama butów Birkenstock, niemieckiej marki wygodnych sandałów, tak brzydkich, że moda długo nie śmiała nawet zbliżyć się do nich. Przez wiele lat uchodziły za obrazę dla elegancji. Ale gdy zaczęły być modne, wszystko się zmieniło. O tym za chwilę.

W reklamie o stopach opowiada dwoje naukowców: Carol Ward, profesor anatomii z Uniwersytetu w Missouri, oraz Bruno Nigg, profesor emeritus Uniwersytetu w Calgary. – Stopa pozwala nam zrozumieć przebieg ewolucji człowieka. Małpa potrzebuje czterech kończyn i chwytnych dłoni, żeby utrzymać młode i zdobyć pożywienie – mówi Ward. Zmieniające się otoczenie, zmniejszenie powierzchni lasów na naszej planecie wymusiło konieczność pionizacji, bo trzeba było więcej widzieć. Stała się ona możliwa dzięki wykształceniu się stopy, która stała się silniejsza. – Żeby chodzić i biegać, potrzebujemy napędu i stabilności – mówi prof. Nigg. Napęd dają przednie mięśnie łydki, stabilność – tylne.

ZŁOTE LILIE

Zamiast cieszyć się dobrodziejstwem, jakim jest sprawna, zdrowa stopa dana przez naturę, człowiek musi się wtrącić i zepsuć. O zwyczaju wiązania stóp w Chinach wszyscy słyszeli, ale mało kto wie, jak to naprawdę wyglądało. Oto fragment książki chińskiej pisarki Jung Chang „Dzikie łabędzie. Trzy córki Chin", który o tym opowiada. Tradycja krępowania stóp została wprowadzona ponad tysiąc lat temu, podobno przez jedną z konkubin cesarza. Ten opis to lata 40. XX w., więc całkiem niedawno.

„»Największym majątkiem dziewczyny były krępowane stopy, zwane po chińsku siedmiocentymetrowymi złotymi liliami (sancun jinlian). Oznaczało to, że chód był jak kołysanie się młodych pędów wierzby w wiosennych powiewach« – jak to

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

ujmowali chińscy znawcy kobiecej urody. Widok kobiety kołyszącej się na krępowanych stopach miał działać na mężczyznę erotycznie, ponieważ jej bezradność budziła opiekuńcze uczucia w patrzącym. Babcia miała dwa lata, kiedy zaczęto jej bandażować stopy. Jej matka, która sama miała krępowane stopy, najpierw kawałkiem białego materiału o długości sześciu metrów przywiązała jej palce, oprócz dużego, do podeszwy stopy. Potem na wierzchu położyła duży kamień i zgruchotała kości. Babcia krzyczała w potwornym bólu, ale matka wetknęła jej między zęby złożony kawałek materiału, żeby nie było słychać wrzasków. Trwało to dobrych kilka lat. Nawet kiedy kości już połamano, stopę krępowano bandażem z grubego materiału w dzień i w nocy, bo gdyby ją uwolniono, mogłoby się zdarzyć, że kości zaczną się zrastać. Przez lata moja babka żyła w nieustannym bólu. Kiedy prosiła, żeby rozwinąć bandaże, matka szlochała i mówiła, że to by zrujnowało jej życie".

MASOCHIZM SZPILEK

Te barbarzyńskie praktyki należą do przeszłości. Jednak w człowieku chęć do samoudręczenia połączona z pawim instynktem podobania przetrwała. Największym jej wyrazem były posunięte już do granic szaleństwa szpilki, które stały się modne wraz z wejściem w trzecie tysiąclecie. 12, 13, 14 cm. Kto da więcej? To już minęło, od paru lat mainstream fashion przerzucił się na sportowe buty; nie wiedzieć czemu, szpilki znalazły swój przyczółek w telewizji. Pogodynkom, dziennikarkom programów śniadaniowych, generalnie kobietom na wizji nie uchodzi pokazać się bez szpilek. To, że świat zrezygnował już z tego niezdrowego obuwia, nie dociera do telewizyjnych stylistek.

Przez 30 lat wolnego rynku lat przećwiczyłyśmy różne gatunki obuwnicze. Jedne ładne, inne mniej. Były szpice i zawrotne szpilki, które mordowały stopy, ale męki te kobiety znosiły w pokorze. Chwile wytchnienia zapewniały japonki, balerinki, trampki i uggi. W książce „Shoes. Fashion and fantasy" Colin McDowell pisze, że modne buty częściej są niewygodne niż modne ubrania. Ale jeżeli dużo ludzi zaczyna nosić wygodne, ale brzydkie buty, to w końcu ci modni też się do nich przekonują. No i właśnie – teraz trochę o tych brzydkich, bo to fenomen ostatnich lat.

BUTY DLA SMERFA

Wróćmy do birkenstocków. Te najwygodniejsze, a jeszcze do niedawna uchodzące za najbrzydsze buty świata w ciągu ostatnich trzech lat przeszły zadziwiającą ewolucję od obuwia typu „niemiecki turysta na wakacjach w Egipcie" do ulubionego artefaktu pokazów mody. Wyrazem tego są także ceny. Zwykłe sandały z ortopedyczną podeszwą teraz nie schodzą poniżej 120 euro, niedawno kosztowały połowę tej sumy. A dużo droższych modeli jest wiele.

Ich ścieżka kariery w modzie zaczęła się w roku 2012, kiedy na pokazie Celine'a modelki nosiły birkenstocki model Arizona wykładane futrem z norek. Logikę tej kombinacji pomińmy – miał to być to hołd, który dyrektorka artystyczna Celine'a, Phoebe Philo, złożyła niemieckiemu szewcowi Johannowi Adamowi Birkenstockowi, założycielowi firmy. Rok założenia: 1774. Od tego pokazu krzywa kariery klapek Birkenstock zaczęła piąć się ostro w górę. Miley Cirus pokazała się w nabijanych diamentami, włoski projektant Giambatista Valli ozdobił je ćwiekami, Givenchy wypuścił model z lakierowanej czarnej skóry ozdobiony różyczkami. Nieświadom zapewne, że jest w awangardzie, parę lat temu zaprezentował się w nich w sytuacji oficjalnej redaktor Adam Michnik, lekceważąc dress code... Fanem zdrowvch sandałów zadeklarował się nawet projektant morderczych szpilek na 13-centymetrowym obcasie Manolo Blahnik, który dotąd działał raczej w branży szpilek.

Klapki Birkenstock FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Birkenstocki (pieszczotliwie birksy) mają większą zasługę dla ludzkości niż jakikolwiek rodzaj obuwia. Dokonały przełomu. Stały się symbolem wyzwolenia z niewygodnych, a nakazywanych przez modę butów. Odbyły triumfalny marsz przez Instagram, nostryfikując buty na nogach influencerek. Wygoda wzięła górę.

Brzydkie buty, a takimi są z pewnością birksy, mają silną konkurencję w dzisiejszej modzie. Jak wiadomo, o gustach się nie dyskutuje, ale „ugly shoes" to w tym wypadku nie subiektywna ocena, lecz nazwa fenomenu. Masowy wysyp karykaturalnych modeli nastąpił w zeszłym roku i trwa w najlepsze w tym. Przy crocksach marki Balenciaga poczciwe campery, birkenstocki, martensy czy zwykłe klapki Kubota wydają się niewinnym ustępstwem na rzecz wygody. To buty dla przerośniętego smerfa. Trzeba przyznać, że Demna Gwasalia, szef marki Balenciaga słynącej niegdyś z najbardziej eleganckich ubrań, obecnie ma zasługi na polu krzewienia najbardziej karykaturalnych modeli. Żeby były chociaż zdrowe – w tych smerfach nie utrzymałby równowagi nawet klown.

Cieszmy się jednak, że stopy zostały uwolnione, że upalne lato możemy spędzić w sandałach. Dzisiaj nie bardzo zdajemy sobie sprawę, że do połowy XX w. bose stopy, nawet w Europie, uchodziły za nieprzyzwoite. Były wszak formą nagości, a fetyszystom kojarzyły się wręcz perwersyjnie.

Jarosław Iwaszkiewicz w „Książce moich wspomnień" opowiada: „Jurek przyjeżdżał do nas latem. Pamiętam, jak przyjechał kiedyś w krótkich skarpetkach i z gołymi łydkami. Na owe czasy była to rzecz niezwykła i wywołała zgorszenie mojej matki, a ja pamiętam, jak bujając go na hamaku pod wysoką gruszą, starałem się go uszczypnąć w te łydki, aby przekonać się, czy to są pończochy takiego koloru czy też nagie ciało. Ja nosiłem wtedy długie pończochy czarne albo czerwone, zapinane na podwiązki".

Przetrwać lato w pończochach i skórzanych zakrytych butach? Jak dobrze, że to już nas nie dotyczy. Swoboda obyczaju ma swoje dobre strony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Wyśrubowany cel pochłaniania CO_2

czyli nieosiągalne unijne cele klimatyczne

Unia Europejska żąda zwiększenia poziomu pochłaniania dwutlenku węgla przez polskie lasy. Zaproponowany w projekcie rozporządzenia LULUCF 35-procentowy wzrost celu jest nieosiągalny. Mechanizm niesprawiedliwie obarcza rolą katalizatora klimatycznego i przyrodniczego te państwa, które mają największy udział lasów publicznych

Edward Siarka, Ministerstwo Klimatu i Środowiska

Ostatnio Komisja Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności PE pochyliła się nad propozycjami reformy unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji. Jakie zmiany nas czekają?

EDWARD SIARKA: Niezwykle ambitne plany całej UE w zakresie neutralności klimatycznej cały czas posuwają się do przodu. Uważam, że wysiłek na rzecz ochrony klimatu solidarnie i w równym stopniu powinny ponosić wszystkie państwa Wspólnoty Europejskiej. Niestety, nierówne traktowanie obserwujemy również na płaszczyźnie leśnej. Unia zakłada znaczący wzrost ambicji w zakresie pochłaniania dwutlenku węgla na rok 2030, który dla Polski został określony na poziomie 38 mln ton ekwiwalentu CO_2. Przy obecnej strukturze własności lasów w Polsce cała odpowiedzialność spocznie głównie na Lasach Państwowych. Niestety, systematyczny wzrost temperatur i zaburzenia pogodowe przejawiają się w coraz częstszym występowaniu niszczycielskich huraganów oraz dotkliwych susz. Wszystko to powoduje spadek zdolności pochłaniania dwutlenku węgla przez lasy.

W jaki sposób moglibyśmy zwiększyć poziom pochłaniania CO2?

Polska dysponuje coraz większymi zasobami leśnymi, które mają istotny wkład w wiązanie i magazynowanie węgla z atmosfery. Niewiele osób pamięta, że to na gruntach Lasów Państwowych mamy 80 proc. wszystkich form ochrony. Stąd też i nasza przewaga w stosunku do wielu lasów europejskich – one są dobrze zarządzane, ale z tego też, jak widać przy tworzeniu prawa unijnego, wynikają zagrożenia. Obecnie skupujemy nowe grunty pod zalesianie oraz prowadzimy projekty małej retencji w ekosystemach leśnych na terenach nizinnych i górskich. Jednak osiągnięcie powyższego celu wymaga drastycznego ograniczenia pozyskania surowca drzewnego, co prowadzi do szybkiego wzrostu wieku i zasobności w drewno lasów, a w konsekwencji do ich zamierania. Im starsze są lasy, tym mniej dwutlenku węgla wiążą. To prosta droga do dalszego pogłębiania efektu cieplarnianego. W Polsce od 1945 r. przeciętny wiek drzewostanów wzrósł z 44 do 64 lat. Niezależnie od zaproponowanych celów należałoby wdrożyć mechanizm elastyczności, który powinien umożliwiać korektę zobowiązań rocznych w wyniku czynników niezależnych od człowieka, np. bardzo silnej suszy, huraganów, czy gradacji kornika.

Polska dysponuje coraz większymi zasobami leśnymi, które mają istotny wkład w wiązanie i magazynowanie węgla z atmosfery

To czym zastąpimy drewno?

Zmniejszenie ilości surowca drzewnego na rynku spowoduje ekstremalny wzrost cen i zwiększony import surowca spoza UE, w pierwszej kolejności z Ameryki Północnej, Indii i Brazylii. Istnieje ryzyko wylesień i presji na gatunki zagrożone wyginięciem. A co, jeśli nie drewno? Plastik, szkło, metal, guma – a może beton?

A jakie mogą być skutki gospodarcze zaproponowanych celów klimatycznych?

Unia Europejska dąży do objęcia ochroną ścisłą blisko jednej trzeciej powierzchni leśnej UE. Realizacja tego celu spowoduje spadek produkcji surowca drzewnego w Polsce o ok. 40–50 proc. Zbankrutuje nawet 90 proc. niewielkich, rodzinnych przedsiębiorstw przetwarzających lokalnie surowiec drzewny. Kryzys gospodarczy, kryzys energetyczny oraz utrata miejsc pracy doprowadzą do gwałtownych protestów społecznych, a także całkowitego braku akceptacji dla działań wynikających z unijnej strategii na rzecz bioróżnorodności 2030.

Czy kraje UE są gotowe na aż tak drastyczne zmiany?

Dokument Fit for 55 budzi szereg uwag i wątpliwości, nie tylko Polski, lecz także innych krajów. Jest dużo znaków zapytania. Istnieje uzasadniona obawa, że niektóre z zaproponowanych sposobów rozwiązania problemów, sformułowane w postaci celów do osiągnięcia, mogą spowodować negatywne skutki gospodarcze, społeczne oraz dla różnorodności biologicznej. Mogą też przyczynić się do przyspieszenia zmian klimatycznych. Dlatego podjąłem dialog z przedstawicielami państw o znaczącej lesistości – przede wszystkim z państwami Europy Wschodniej i Skandynawii. Okazało się, że Finowie i Szwedzi podzielają nasze obawy. Zobaczymy, czy dotychczasowe prace nad pakietem zmienią swój dotychczasowy kierunek. Z pewnością, będziemy trzymać rękę na pulsie i informować o kolejnych etapach procesu legislacyjnego pod hasłem „Gotowi na 55".

Polskie lasy pokrywają jedną trzecią powierzchni kraju. Co roku zwiększa się w nich zapas drewna, a co za tym idzie – ilość zmagazynowanego węgla

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

TEST „DO RZECZY": MOTOROLA EDGE 30 5G

Znakomity ekran OLED, ciekawy design, czysty Android 12, niezła wydajność, przyzwoita bateria oraz świetny stosunek jakości do cechy – to największe zalety najnowszego smartfona z półki superśredniaków firmy Motorola.

Pierwszy plus: design. Model Edge 30 jest smukły, zgrabny i – co ważne – waży zaledwie 155 g. Co prawda, tylny panel został wykonany z tworzywa sztucznego, ale zastosowane szkło akrylowe prezentuje się bardzo elegancko. Wszystko wygląda na dobrze spasowane, więc nie ma się do czego przyczepić. Aż trochę żal zakładać dołączone w zestawie silikonowe etui.

Zaletą testowanego modelu jest również dobry ekran OLED o przekątnej wynoszącej 6,5 cala oraz rozdzielczości 2400 x 1080 (Full HD+). Na pochwałę zasługuje bardzo dobre odwzorowanie kolorów, odświeżanie na poziomie 144 Hz oraz obsługa standardu HDR10+. Edge 30 5G powinien się więc dobrze sprawdzić w rękach tych użytkowników, którzy lubią czasem obejrzeć na smartfonie kilka odcinków serialu czy jakąś romantyczną komedię. Również stereofoniczne głośniczki jak na smartfonowe brzmią całkiem poprawnie.

Sercem urządzenia jest procesor Qualcomm Snapdragon 778G+ 5G wspomagany przez 8 GB pamięci RAM. Do tego 128 GB szybkiej pamięci wewnętrznej, z czego do dyspozycji na dane użytkownika pozostaje ok. 113 GB. To oczywiście gorsze parametry niż we flagowcu Edge 30 Pro, ale cena tego testowanego modelu jest o 1,6 tys. zł niższa. I choć dla zagorzałych graczy i fanów bicia rekordów szybkości nie jest to zestaw marzeń, to Edge 30 5G spokojnie radzi sobie z codziennymi zadaniami. Bardzo płynne działanie aplikacji wynika nie tylko z wysokiego odświeżania, lecz także z tego, że Motorola tradycyjnie zastosowała niemal czysty system Android w wersji 12 bez niepotrzebnych nakładek i śmieciowych aplikacji.

Bateria o pojemności 4020 mAh nie wprawia w zachwyt, podobnie jak moc ładowania 33 W (ładowanie od zera do pełna trwa niecałą godzinę, pół godziny wystarczy, by dojść do 60 proc). Przeciętny użytkownik (czyli nie fan smartfonowym gier) będzie mógł podłączać Edge 30 do ładowania raz na dzień lub nawet raz na dwa dni. Przy bardzo intensywnym użytkowaniu smartfon może jednak nie dotrwać do wieczora. Do tego jeszcze oczywiście moduł NFC oraz Bluetooth 5.2.

Co ze zdjęciami? Nie jest to model dla najbardziej zagorzałych miłośników smartfonowej fotografii. Główny obiektyw (50 Mpix, f/1.8) mimo wszystko daje radę. W robieniu przyzwoitych zdjęć pomaga optyczna stabilizacja obrazu. Fotografie zrobione w dobrych warunkach oświetleniowych są dobrej jakości, z dużą liczbą detali i nieźle oddanymi kolorami, dzięki czemu spokojnie można je oglądać nie tylko na ekranie telefonu, lecz także na laptopie czy telewizorze. Istotnie gorzej wyglądają zdjęcia zrobione obiektywem szerokokątnym, a także fotografie robione w gorszych warunkach oświetleniowych. Filmy o jakości 4K można kręcić maksymalnie z prędkością 30 kl./s.

Wady? Brak wodoszczelnej obudowy. Testowany model spełnia jedynie normę IP52, więc teoretycznie należy się z nim obchodzić ostrożnie nie tylko przy basenie, lecz także podczas ulewy. Edge 30 jest jednak pokryty powłoką hydrofobową, więc zwykły deszcz czy zachlapanie przy umywalce powinien mimo wszystko przeżyć. Nieco wyższy mógłby być również maksymalny poziom jasności, ale nawet w słońcu ekran jako tako daje radę. Żałuję też, że Motorola nie znalazła miejsca na wyjście słuchawkowe mini jack oraz że czytnik linii papilarnych zamiast z boku umieściła na dole ekranu – niby i tak działa OK, ale boczny skaner wydawał mi się wygodniejszy.

Mimo kilku minusów stosunek jakości i możliwości do ceny jest w tym modelu bardzo dobry. Za Edge 30 5G trzeba zapłacić 2199 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SUPERSZYBKIE ŁADOWANIE

iQOO 10 Pro. Tak nazywa się najnowszy model flagowca chińskiej marki Vivo. To bodaj najszybciej ładujący się obecnie smartfon na rynku. Według zapewnień producenta dzięki obsłudze technologii szybkiego ładowania 200 W na uzupełnienie energii w akumulatorze o pojemności 4700 mAh od zera do 100 proc. wystarczy zaledwie 10 minut. Model iQOO 10 Pro został też wyposażony w procesor Qualcomm Snapdragon 8+ Gen 1 oraz – w zależności od wersji – od 8 do 12 GB pamięci RAM. Chińczycy zainwestowali też w obiektyw główny o rozdzielczości 50 Mpix, obiektyw ultraszerokokątny o rozdzielczości 50 Mpix, teleobiektyw (14,6 Mpix) oraz aparat do selfie (16 Mpix). Najnowszy flagowiec Vivo w najmocniejszej wersji z 12 GB pamięci RAM oraz 512 GB pamięci na dane ma kosztować 5999 juanów, czyli równowartość ok. 4,1 tys. zł.

FOTOWOLTAIKA NA LEŻAKU

Polska firma Green Cell wprowadziła do sprzedaży solarny powerbank, a więc urządzenie będące połączeniem ładowarki fotowoltaicznej o mocy 21 W i konwersji na poziomie ok. 25 proc. z powerbankiem o pojemności 10000 mAh z możliwością ładowania do trzech urządzeń jednocześnie. Gadżet może się przydać każdemu, kto latem postanowił wybrać się na wakacje w miejsce, gdzie do najbliższego gniazdka elektrycznego jest bardzo daleko. GC SolarCharge waży 730 g i po złożeniu ma format zbliżony do A4. Cena: 599,95 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Stare miasta, nowe miasta

JACEK KOMUDA

Podróżując przez Polskę, często napotykamy przydomek Stary w nazwach miasteczek i wsi, sugerujący, że oto mamy do czynienia z protoplastą sławnego miasta, które dziwnym zrządzeniem losu obumarło, stając się ledwie wioską. Tak jest ze Starym Zamościem – kiedyś po prostu Zamościem, kupionym w połowie XV w. przez Tomasza z Łaźnina, którego synowie – Florian i Maciej – dali początek sławnemu rodowi. Synem Floriana był Stanisław, ojciec kanclerza i hetmana Jana Zamoyskiego, który zdecydował się w 1580 r. założyć okazałą siedzibę i miasto na południowy zachód od tego pierwszego Zamościa, nazywanego dzisiaj Starym. Dlaczego nie zdecydował się na rozbudowę istniejącej wsi? Cóż, nowe miejsce położone wśród bagien i rozlewisk było bardziej obronne. Poza tym miało to być miasto idealne, wytyczone od nowa w szczerym polu i może zabudowa istniejącego Zamościa w tym przeszkadzała. Jak pisze biograf hetmana, Stanisław Grzybowski, początki były trudne – przy błotnistych ulicach powstały najpierw drewniane domki, wzniesione przez fundatora. Początkowo miało to być miasto tylko dla rzymskich katolików, później Zamoyski dopuszczał inne grupy – w 1585 r. Ormian, Greków. Wreszcie w 1588 r. pozwolił osiedlić się tutaj Żydom sefardyjskim (ale nie miejscowym). Później przybyli Niemcy, Anglicy, Szkoci, Turcy, Persowie, Włosi, Węgrzy, Hiszpanie, ruszył handel, pojawiły się wspaniałe kamienice i domy. W 1589 r. ukończono pałac Zamoyskiego, wkrótce potem kościół parafialny, ratusz miejski.

RYS. OBA

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W 1594 r. wzniesiono pierwszy gmach szkolny, który stał się podstawą funkcjonującej tutaj Akademii Zamoyskiej. Tymczasem w Starym Zamościu czas się zatrzymał. Minęło ponad 400 lat, ciągle jest to zwykła wieś, mimo że od niej, a nie od pobliskiej metropolii, wzięło się nazwisko Zamoyskich.

Powodów, dla których przenoszono miasteczka, było wiele – niezdrowe, błotniste miejsce, powodzie, pożary, wojny i najazdy. A często też wpływ miała konkurencja na szlaku handlowym. W taki właśnie sposób w XIII w. założono dwa miasta na południu Małopolski. Stary Sącz, pierwszy raz wymieniany w dokumencie z 1251 r., a wcześniej też przenoszony. Pojawia się bowiem jako Sącz Podegrodzki – gród kasztelański znajdujący się na terenie dzisiejszej wsi Podegrodzie, która staje się ofiarą pożarów, a w 1241 r. zostaje poważnie zniszczona przez Tatarów. Wreszcie w 1257 r. książę Bolesław Wstydliwy nadaje węgierskiej księżniczce Kindze, swojej żonie, ziemię sądecką, ta zaś funduje tutaj w 1280 r. klasztor Klarysek, który istnieje do dzisiaj. Obok konwentu powstaje miasto, które jednak dopiero w 1357 r. zostaje lokowane na prawie magdeburskim. W tym samym prawie czasie, w 1292 r., król Wacław II nadaje przywilej lokacyjny miastu powstałemu na terenie na północ od wsi Kamienica, przenosząc na niego także nazwę Sandecz, do której szybko zostaje dodany przydomek Nowy. Od tego czasu Nowy i Stary Sącz funkcjonują jako konkurujące ze sobą miasta na szlaku handlowym prowadzącym z Węgier. Rywalizację wygrywa Nowy, który w dodatku zostaje doceniony przez królów Polski. W 1350 r. Kazimierz Wielki nakazuje wznieść tutaj zamek, przebywają w nim król Ludwik Węgierski i Jadwiga, wreszcie Jagiełło i Witold układają plany wojny z zakonem krzyżackim. Oba miasta podupadają w czasie potopu. Stary Sącz gości jeszcze wracającego z odsieczy wiedeńskiej króla Jana III Sobieskiego. Jednak jakoś przetrzymuje konkurencję i dziś jako piękne miasteczko z rynkiem i licznymi zabytkami ofiarowuje spokój, którego nie znajdziemy w Nowym Sączu.

Jeszcze ciekawsze są początki Starego Torunia, dziś ledwie wioski leżącej na zachód od miasta, której lokalizacja także zmieniała się kilkakrotnie. Otóż założyli go Krzyżacy, którzy w 1231 r. przekroczyli Wisłę i odbudowali istniejący tutaj dawny gród, którego główną częścią był gigantyczny pogański dąb. W grudniu 1232 lub 1233 r. krzyżowcy zakładają tutaj miasto Toruń, które otrzymuje prawa miejskie wspólnie z Chełmnem. Miejsce lokowania pierwszego Torunia jest dziś zaznaczone głazem znajdującym się we wschodniej części wsi Stary Toruń, przy ul. Szerokiej, koło remizy OSP, jednak prawdziwa zabudowa rozciągała się bardziej na południu nad Wisłą. Wkrótce z powodu wylewów rzeki Krzyżacy przenoszą miasto w miejsce dzisiejszego Torunia. Ostatnie pozostałości – kościół i majątek ziemski – istniały w tym miejscu do czasów wojny trzynastoletniej, kiedy zostały zniszczone. Ostatecznie więc dzisiejszy Stary Toruń również nie leży w miejscu, gdzie była pierwotna lokacja miasta. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Na jagody!

Krótki, ale za to intensywny sezon na jagody zawsze kojarzy nam się z najlepszymi na świecie jagodziankami z pobliskiej cukierni. Na te właśnie jagodzianki czekamy cały rok i – niezależnie od ceny – obowiązkowo każdy musi zjeść chociażby kilka w sezonie.

Jest środek ukochanego lata, najpiękniejszy czas w całym kalendarzowym roku. Lipcowe stragany uginają się pod ciężarem świeżych, polskich owoców, cudownych mięsistych czereśni, malin, pierwszych wiśni, a przede wszystkim jagód. Wspaniałych, czarnych perełek zbieranych własnoręcznie przez najbardziej wytrwałych zbieraczy. Same dawno temu miałyśmy okazję zbierać jagody w Beskidzie Śląskim i wiemy, że jest to praca dla wytrzymałych i bardzo cierpliwych. Zbieranie jagód jest bardzo mozolne, w niewygodnej pozycji na kolanach lub w kucki, ale warte poświęcenia.

Jagody nie dość, że są pyszne, to również są źródłem witamin C, A, B, PP oraz błonnika, dzięki czemu stymulują nasz metabolizm. Mają dobroczynny wpływ na obniżenie poziomu złego cholesterolu oraz regulują poziom cukru we krwi. Z czarnych jagód pozyskujemy drogocenny kwas foliowy, są też źródłem antocyjanów i fitoestrogenów.

FOT. ADOBE STOCK

Te pierwsze to związki hamujące wchłanianie się toksyn, działają antybakteryjnie, stosowane są pomocniczo w zatruciach pokarmowych, to silne przeciwutleniacze. Fitoestrogeny, czyli naturalne hormony roślinne, stosowane są w profilaktyce różnych chorób – szczególnie nowotworowych. Historycznie sławę czarnej jagodzie przyniósł Rasputin, który leczył nią krwotoki carewicza Aleksego, dzięki czemu zyskał uznanie cara Mikołaja (przez co miał wpływ na losy Rosji). Jagody korzystnie też działają na wzrok.

Warto zatem wprowadzić je na stałe do swojej diety nie tylko latem, gdyż czarne jagody nie tracą właściwości po zamrożeniu.

Najpopularniejsze u nas ciasto drożdżowe z jagodami oraz jagodzianki każdy zapewne zna, ale my dziś proponujemy sernik z jagodami.

Połączenie smaku lekko kwaśnego sera ze słodkimi jagodami daje aksamitny smak.

Sernik z jagodami

Ciasto kruche: • 50 dag masła • 100 dag mąki • 50 dag cukru

Zagniatamy ciasto, połowę wykładamy w tortownicę, a drugą połowę wkładamy do lodówki. Wkładamy do piekarnika nagrzanego do 180 st. C i pieczemy 20 min.

• 1 kg sera w wiaderku (mielonego) • 200 g jagód czarnych – musimy je zblendować • 1,5 szklanki cukru • 4 jajka (duży rozmiar) • 200 g śmietany 36-procentowej • 2 łyżki mąki ziemniaczanej

Ser miksujemy z jajkami, cukrem, śmietanką, mąką, a na końcu z jagodami. Przekładamy na podpieczony spód. Pieczemy w temperaturze 180 st. C przez 30 min, a następnie 130 st. C przez ok. 40 min. Sernik pozostawiamy do wystudzenia w piecu. Podajemy schłodzony. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Od czwartej do siódmej

Kiedy w latach 80. mieszkaliśmy za wielką wodą, nasi synowie, wówczas w wieku wczesnoszkolnym, dostali zaproszenie na urodziny szkolnego kolegi. „Od czwartej do siódmej" – stało na zaproszeniu. Co za brak taktu – pomyślałam wtedy – wyznaczyć komuś godzinę końca imprezy. Znajoma Amerykanka zdziwiła się na moje zdziwienie. – To ułatwia sprawę – powiedziała, wszyscy wiedzą, kiedy odebrać dzieci.

Rzeczywiście. I przypomniałam sobie dziecięce imprezy w Polsce w tamtych czasach, kiedy niektórzy rodzice, zadowoleni, że udało im się dziecko komuś upchnąć, zjawiali się po odbiór pociechy ok. godz. 23 zdziwieni, że gospodarze, którzy już zdążyli zmyć naczynia i posprzątać krajobraz po bitwie, z trudem walczą z zamykającymi się powiekami.

Tak było; teraz amerykańskie zwyczaje przeniknęły do nas. Urodziny urządza się w wynajętych salach, gdzie siłą rzeczy czas trwania jest ograniczony i opłacony. Jednak zawsze pozostaje problem tego jednego dziecka, po które odbiorcy się spóźniają i które samotnie bawi się w opuszczonej sali, raz po raz spoglądając w stronę drzwi…

Dotyczy to nie tylko dzieci. Każdy zna problem z zalegającymi gośćmi, których do późnych, a nawet czasem wczesnych godzin nie można się pozbyć. Nie mam na myśli gości nietrzeźwych, bo tych można spokojnie ułożyć

FOT. ADOBE STOCK

do snu i samemu zrobić to samo. Najgorsi są ci całkiem trzeźwi, którzy szczyt aktywności intelektualnej mają ok. godz. 2. Trzy kawy, koniaczek tylko ją pobudziły. Im się nie spieszy. Bo i dokąd? Komunikacja nie działa, nocna taryfa droga. Rozwijając kwestię dialektyki Arystotelesa, nie zauważyli, że gospodarze są już w piżamach. Cóż to przeszkadza?

Kłopot sprawiają także goście imprez bardziej kameralnych. Zaproszeni na weekendowy obiad o godz. 14, o 20 wciąż nie powiedzieli jeszcze wszystkiego, co mają do powiedzenia. A mają dużo. Dokładny opis osiągnięć akademickich i zawodowych dzieci i wnuków, relacja z ostatnich wizyt u kardiologa, spis przepisanych lekarstw, szczegółowy raport z podróży odbytych w ciągu ostatniego dziesięciolecia. W okolicach 21 z zaciekawieniem obserwują, jak gospodyni krząta się wokół kolacji. Obiad był smaczny, ale już człowiek zdążył zgłodnieć.

Może nieźle byłoby wprowadzić regulaminy imprez życia towarzyskiego? Z zaznaczeniem godzin: od – do. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Mój faworyt

Już tu pisałem o moim faworycie, doktorze Grzesiowskim. Zasłużony, nagrodzony, pokazywany. Ale pozostaje kwestia zasadnicza – wiarygodność. Komuś, kto się skompromitował w swojej dziedzinie, nie podstawia się mikrofonu pod usta. To znaczy kiedyś się nie podstawiało, ale jak trzeba przywrócić kolejną falę covidowej paniki, to pan doktor się nadaje jak nikt. A przecież ten człowiek wieszczył na luty tego roku setki tysięcy zakażeń i trupów. I jego wiarygodność jest właśnie na poziomie… medialnym.

Pan doktor zastępuje samoodwołaną Radę Medyczną w dziedzinie napominania rządu, że zaniedbuje. Po prostu morduje ludzi, nie wprowadzając obostrzeń takich jak gdzie indziej, gdzie choruje i umiera znacznie więcej ludzi niż u nas. Ostatnio mój faworyt zajął się szczepieniami, czwartą dawką, i zderzył się z… rządową narracją.

Pan doktor chce, by zaszczepić czwartą dawką kogo się da, zwłaszcza tych po sześćdziesiątce. Niedzielski szczepi tych po osiemdziesiątce i walka jest (na razie) o tych pomiędzy 60. a 80. rokiem życia. Pan doktor chce od razu wszystkich, a minister uważa, co logiczne, że trzeba poczekać na nową szczepionkę Big Pharmy, celowaną w omikrona. Wedle ministra, jeśli się zaszczepimy tym, co mamy w magazynach, to będzie kłopot. Bo ta wersja nie jest na omikrona i jak się ją weźmie teraz, to będzie jeszcze gorzej, bo jak przyjdzie ta „prawdziwa", to zaszczepieni będą musieli odczekać parę miesięcy, które trzeba dawać między dawkami.

Z tą czwartą szczepionką to komedia jest. To druga dawka przypominająca, tak jakby szczepionki miały sklerozę i trzeba było im „przypominać" o istnieniu wirusa. Do tej pory towarzystwo zarzekało się, że najpierw dwa strzały wystarczą, potem – że trzeci będzie forever (Niedzielski), teraz musimy sobie przypominać po raz drugi.

Mamy też do czynienia z ciekawą, covidową, wersją matematyki. Która dawka jest czwarta? Niech naiwni nie myślą, że od razu można zaszczepić się czwartą, na „tego" omikrona i już. Nie, musisz być po całej serii szczepień. Będzie się liczyło, że musisz być po co najmniej dwóch dawkach. Ale to znowu absurd, bo po dwóch dawkach następna będzie od razu czwarta. Czego tu nie rozumiecie?

Nasz bohater nawołuje, by się opamiętać, czyli szczepić i testować wszystko, co się rusza i na płaską ziemię nie ucieka w foliowej czapeczce. Po prostu sanitaryzm nie może wytrzymać, by nie wiedzieć, jak się wirus rozprzestrzenia. Po co? Mówią, żeby namierzać i… leczyć. A przepraszam – jak leczyć? Jak się leczy koronawirusa? Teleporadami, to już wiemy. Tak samo jak wiemy o ich „skuteczności". Musimy wrócić do reżimu z powodu wersji wirusa powodującego bóle głowy i drapanie w gardle. Zrobimy to szczepionką celowaną w omikrona, jednocześnie strasząc, że już ten minął i czeka nas nowy wariant – centaur. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Niemieckie sztuczki

To, gdzie Niemcy będą mieli stolicę, jest sprawą drugorzędną. Pamiętam, gdy stolicą było miasto nad Renem – Bonn, więc skoro przyspieszył marsz ku federalizacji, to stolicą Niemiec może być równie dobrze Bruksela. Na drodze jednak stoi Polska.

Niemcy wiedzą, że bez uległego rządu w Warszawie pomysł federalizacji nie wypali. Stąd ten niekończący się katalog żądań, które Komisja Europejska wyciąga jak iluzjonista chusteczki z brustaszy. I choć wiem, że porównanie czegoś tak przytłaczającego jak owe „kamienie milowe" do lekkiej, jedwabnej poszetki jest nieco mylące, to jednak pozostanę przy tym, ponieważ Ursula von der Leyen i unijni komisarze na naszych oczach wycinają magiczne sztuczki jak najprawdziwsi prestidigitatorzy.

W centrum oczywiście jest kwestia sądownictwa i choć sztuczek jest więcej, to prawnicze interpretacje są jednak najbardziej przydatne, bo zawikłane, niejednoznaczne i elastyczne (można je dowolnie naciągać). Jestem pewien, że sami komisarze już nie ogarniają, ile dyscyplinujących Polskę spraw jest w toku, ale ma być tyle, by Polska obiecanych miliardów nigdy nie zobaczyła.

Przykładem stosowania podwójnych standardów jest sprawa sprzed dwóch lat, gdy niemiecki Federalny Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe podważył orzeczenie wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE dotyczące polityki monetarnej Europejskiego Banku Centralnego. I co? I rząd w Niemczech złożył polityczne zobowiązanie, że w przyszłości będzie zapobiegać takim sytuacjom. Bruksela szybko zadowoliła się tym i zakończyła wobec Niemiec postępowanie.

Dziś powodem uruchomienia przez KE procedury naruszeniowej jest orzeczenie polskiego Trybunału Konstytucyjnego uznające część traktatów europejskich za niezgodne z Konstytucją RP, kwestionujące mandat TSUE do podejmowania decyzji o polskim wymiarze sprawiedliwości. Choć obie sprawy różnią się nieco od siebie, to istotą jest to, że Niemcy (czytaj: centrala) mogą podważać wyroki TSUE, a Polska (kolonia) już nie. Pikanterii dodaje owo polityczne zobowiązanie niemieckiego rządu wobec Komisji Europejskiej, gdzie Berlin wprost deklaruje, że „w przyszłości będzie zapobiegać takim sytuacjom". Czyżby chodziło o to, że polityczna władza stwierdza, iż przypilnuje Trybunał, by wydawał tylko właściwe wyroki? A co ma zrobić polski rząd? Ma unieważnić wyrok TK? Trudno o bardziej jaskrawy przykład naruszenia praworządności. Czy ktoś podniesie wtedy krzyk? Tym jednak, co najdobitniej ujawnia prawdziwą kolonialną postawę Niemiec, jest zapowiedź europejskiej „solidarności energetycznej", czyli pomysł podzielenia się gazem z Niemcami. Nie lepiej nazwać to po prostu kontyngentem, słowo „kontrybucja" brzmi mniej elegancko? ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie pod każdą strzechę Kluska

Czasy idą przykre, pełne upokorzeń. Kiedyś mogłem sobie wejść do księgarni i np. zagaić z pewną taką wiedzą: „Poproszę dwie książki Olgi Tokarczuk, noblistki, znaczy się". I ja mogłem te książki nabyć, płacąc po prostu. Ale to przeszłość.

Teraz nasza noblistka z kluskami na głowie (taką ma fryzurę, nic na to nie poradzę, ja np. nie mam fryzury w ogóle i jakoś bytuję) obwieściła: „Nigdy nie oczekiwałam, że wszyscy mają czytać i że moje książki mają iść pod strzechy.

Po wejściu do księgarni czekać mnie będzie zapewne zasadzka

Wcale nie chcę, żeby szły pod strzechy. Literatura nie jest dla idiotów. Żeby czytać książki, trzeba mieć jakąś kompetencję, pewną wrażliwość, pewne rozeznanie w kulturze. Te książki, które piszemy, są gdzieś zawieszone, zawsze się z czymś wiążą". Z tych słów wynika jednoznacznie, że jest więc pewna elitarność i nawet wręcz niedostępność dzieł Tokarczuk nie dla idiotów. Idiotom zabronione.

Więc jeśli Pani Kluska nie chce, żeby jej książki czytali idioci, to ja mogę mieć daleko idące utrudnienia, gdyż ja jestem właścicielem twarzy antyinteligenta, tak się złożyło, i po wejściu do księgarni czekać mnie będzie zapewne zasadzka. Ja wchodzę i mówię: „Poproszę dwie książki Olgi Tokarczuk, noblistki, znaczy się". A na to księgarnia, to znaczy sprzedająca: „A czy pan aby nie idiota?". Na co ja: „Słucham, że co? Jak pani śmie! No coś podobnego!". A na to księgarnia, znaczy sprzedająca: „Pan chyba wie, że pani Olga Tokarczuk nie życzy sobie, żeby jej książki czytali idioci, a pan z twarzy to raczej nie fizyk kwantowy, pan tu rozwiąże test na inteligencję krótki". I mi podsuwa jakiś papier. Ja speszony zaczynam rozwiązywać, ale z tego wszystkiego to mi się synapsy trzęsą, gdyż jestem wzburzony! Że moja twarz nie wygląda jak fizyka kwantowego? No jak tak można klientowi?

Rozwiązałem wreszcie, daję zołzie, znaczy tej księgarni i... och, chyba puszczą we mnie tamy gwałtownej niechęci, gdyż ja widzę, jak na jej twarzy wykwita jadowity bazyliszek. I ona do mnie mówi tak: „Z pana wynikiem to ja panu polecę Blankę Mikołajewską »365 dni«, chociaż może przeczyta pan trochę szybciej". I ona chichocze, a potem ludzie się dziwią, że dochodzi do morderstw w afekcie.

Czasy idą przykre, pełne upokorzeń. A na sam koniec dodam historię prawdziwą, która miała miejsce – ręczę za to własną fryzurą! Otóż po przeczytaniu dzieł wszystkich Olgi Tokarczuk zadzwoniła do niej we własnej osobie, przy świadkach, Pretensja – z wyraźną pretensją, że jej dzieła są tak pretensjonalne, że trudno nie mieć pretensji. Cóż za brak taktu! ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Klimat – ludobójca

Małgośka – mówią mi – klimat powoduje eksterminację Hiszpanów. Tak przynajmniej interpretują upał media w Hiszpanii oraz władza mówiąca wprost o tym, że notowane od kilkunastu dni nawet setki zmarłych dziennie to sensu stricto ofiary zmian klimatycznych.

Jakbym ja się wczoraj urodziła, to może bym i uwierzyła. W to, że mamy parę stopni cieplej, nikt nie wątpi, lecz że służy to kręceniu ideologicznego bicza na Europejczyków – to już inna sprawa.

Pamiętam, jak trzy lata temu, idąc na wywiad z deputowanym, którego dokonania i temperament wprawiały mnie w stan paraliżującego stresu, spojrzałam na kiosk z prasą i przeczytałam coś, co dodało mi wtedy mnóstwo otuchy: „Dziś wszyscy pomrzemy!". Tak alarmowała wtedy okładka najbardziej prestiżowego dziennika Hiszpanii z mapą pogody rozgrzanego do czerwoności Półwyspu Iberyjskiego. Wlało mi to w serce nadzieję, że słoneczny armagedon wyzwoli mnie od spotkania z politykiem, który zresztą finalnie okazał się wspaniałym człowiekiem i z którym wciąż utrzymuję serdeczny kontakt. Planeta – wbrew katastrofistom – nie sczezła i pewnie jeszcze sędziwa Greta, ta eko-Pippi, wygrażać będzie naszym prawnukom.

W Hiszpanii – choć lewacy nie uwierzą – gorąco było od zawsze. Z uwagą więc śledzę wojnę, którą prowadzą tam wyznawcy zielonej religii z dysydentami. Ekoszaleńcy mają zresztą solidne sukcesy, bo dla przebóstwionej Pachamamy hiszpańskiej zrujnowali rolnictwo i leśnictwo. Także w imię matki ziemi, w której gmerać nie wolno, już dawno zamknęli kopalnie, zaniechali poszukiwań ropy naftowej, wysadzili w powietrze elektrownie węglowe, zdemontowali znienawidzone (bo budowane przez Franco) centrale jądrowe i oszpecili wiatrakami najpiękniejsze krajobrazy.

Od paru dni płoną na niebotyczną skalę lasy i dobytek ludzki, bo ekolodzy sprzeciwiali się wycince pasów drzew, które w naturalny sposób zabezpieczały przed rozprzestrzenianiem się ognia. Znajomi Hiszpanie pomstują na te oficjalne kłamstwa, bo wiedzą, że starsi ludzie giną nie z powodu klimatu, ale biedy: przy obecnych cenach prądu w Hiszpanii ludzie oszczędzają na klimatyzatorach, a nawet na wentylatorach. Lato od zawsze zbierało tam swoje śmiertelne żniwo, tyle że zgony, które kiedyś przypisywano zawałom lub odwodnieniu, dziś przypisuje się klimatowi.

Premier Sánchez dał się sfotografować w dziwnej pozie na tle krajobrazu pożogi. „Nasz Neron!" – komentują Hiszpanie. Nie pierwszy to raz, gdy lewica zostawia za sobą zgliszcza i popioły. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zamilkł, przywalony nieszczęściem

W PRL, w trosce o wizerunek Związku Literatów, sprawę bestialskiego pobicia poety Swena Czachorowskiego przez poetę Romana Śliwonika zamiatano pod dywan. Dziś jednak trudno pojąć, dlaczego Andrzej Dobosz nawet o niej nie wspomniał w swoim telewizyjnym cyklu „Z pamięci", w odcinku o Swenie, choć bez niej jego biografia jest niezrozumiała. Rzeczywiście jest mało znany, ale nie z powodu braku talentu, jak mogliby pomyśleć widzowie Dobosza, ale właśnie na skutek przemilczanego pobicia.

W październiku 1966 r. pijany Śliwonik, najlepszy bokser wśród poetów, jak nazywał go Marek Nowakowski, razem z równie pijaną dziewczyną i butelką wódki przyszedł nieproszony do Swena. Ponieważ ten nie chciał z nimi pić, zaczął go dusić i walić pięściami, wybijając mu jedno oko, uszkadzając drugie, którym widział już Swen bardzo słabo. Swen dostał też wylewu, pozostając kaleką do końca życia. Nie wstawał, leżał na swoim wyrku. Opiekowała się nim jego żona, Hanna, malarka. Wegetowali z jego skromnej, przyznanej mu inwalidzkiej renty.

„Żył w nędzy, ciasnocie, bałaganie. Uraz fizyczny spowodował też uraz psychiczny i tak niegdyś towarzyski Swen odizolował się od ludzi. Dopiero pod koniec życia, gdy był w lepszej umysłowej formie, wpuścił do siebie kilka osób, oprócz mnie m.in. krytyka Janusza Maciejewskiego, który oddał jego rękopisy Muzeum Literatury, ale tylko te sprzed pobicia, bo później Swen nie był już w stanie pisać" – mówił w radiowej Dwójce poeta Piotr Matywiecki.

A był o krok od wielkiej kariery. Uważał tak nie tylko Maciejewski, lecz także inni znakomici krytycy, którzy o Swenie pisali, m.in. Michał Głowiński, Jan Józef Lipski. Podkreślali nie tylko jego poetycką oryginalność, lecz także ciekawy życiorys – brał udział w powstaniu warszawskim, a w czasie okupacji razem z Mironem Białoszewskim prowadził konspiracyjny teatr. Po wojnie był aktorem Teatru Osterwy, potem Teatru na Tarczyńskiej Białoszewskiego, ale ich drogi się rozeszły. W Kobyłce, gdzie mieszkał, skupił wokół siebie tzw. grupę kobyłecką, która w apogeum stalinizmu odmówiła w nim udziału, dyskutując o sztuce, bawiąc się w teatr, pisząc do szuflady, płacąc za to marginalizacją i nędzą. Oprócz Swena i Mirona należeli do niej m.in.: Bogusław Choiński, Lech Emfazy Stefański, Jerzy Ficowski, Wanda Chotomska. Zadebiutował Swen dopiero po Październiku, w 1958 r., i potem poszło już jak pożar po wsi – tomik za tomikiem, poezja i proza, o pejzażu Kobyłki i Wołomina, ich mieszkańcach, lumpach, żebrakach.

Na pijackie wybryki młodych, Brychta, Śliwonika i innych „żyletkarzy" ze „Współczesności", ich „opiekun", towarzysz Putrament, patrzył zawsze przez palce, a nawet aprobował, wolał je od politykowania. Tym razem jednak sprawa była zbyt głośna i Sąd Koleżeński ZLP bez konsultacji z nim wyrzucił Śliwonika ze związku, a na jego budynku pisano: „ZLP(b) – bandyci, mordobijcy!".

Putrament odmówił więc poparcia Śliwonikowi, swemu dotychczasowemu pupilowi. Został aresztowany, postawiony przed sądem. Do winy się nie przyznawał, składał rewizje, przewlekał sprawę (ciągnęła się przeszło dwa lata). Tłumaczył się, że bił rzekomo agresywnego Swena w obronie własnej, co potwierdziła towarzysząca mu wtedy dziewczyna. Dostał jedynie półtora roku więzienia. Ponura sprawa nie zachwiała wcale jego karierą. Już w 1973 r. reaktywowano go w prawach członka ZLP. Wydał 16 tomików poezji, pięć prozy i choć dziś o nim zupełnie cicho, to obsypano go deszczem nagród, i to bardzo prestiżowych: miesięcznika „Poezja", Czerwonej Róży, Funduszu Literatury, dwukrotnie Nagrodą Literacką im. Reymonta, im. Słowackiego, przyznawaną za osiągnięcia życia, nagrodą ówczesnego ministra kultury i dziedzictwa narodowego (2008), Srebrnym Medalem zasłużonego dla Kultury Gloria Artis (2008).

Czy miał do nich moralne prawo? Żadna kara nie powinna oczywiście trwać wiecznie, ale pod warunkiem przyznania się do winy i prośby o przebaczenie, a w jego wypadku tego nie było, choć miał do tego okazję. W wydanych w 2001 r. w Iskrach „Portretach z bufetem w tle" opisywał z dumą, jak pili, bili i kopali nie tylko jego kumple ze „Współczesności", lecz także on sam, wspominając swój „silny, lewy prosty" i życiową maksymę: „Jak ktoś mnie obraził, podchodziłem bliżej i karciłem, a nikt mnie nie pokonał". Nie dodał, że kiedyś przeholował, skrzywdził Swena, ale żałuje i przeprasza. W ogóle o nim nie wspomniał. Bo i po co? Swen dawno już nie żył i pies z kulawą nogą o nim nie pamiętał.

©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

SPALENIZNA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Przyleciałem na Jarmark Dominikański (będę we czwartki, piątki i soboty; kto ma ochotę podejść – zapraszam). Gdy lecę z USA, mało wiem, bo informacje z Europy w amerykańskich mediach są szczątkowe. Czyli wiem mało, a chciałbym więcej. Kiedyś w samolotach dawali gazety – leciałeś do Londynu, to ci podali „The Times", a na trasie do Frankfurtu jakiś Zajtung. Dziś nie ma. Rządzi korporacyjna wydajność. Pasażer jest jak bagaż – ma być dostarczony i tyle. Niedługo będziemy latać na stojąco, jak w pociągu do Zakopanego za komuny. Więcej ludzi wejdzie, gdy się ich zacznie przypinać do siedzeń pionowych. (Pierwsze testy już były, więc to nie mój wymysł).

Komuna wraca, a komuna się z ludźmi nie pieściła – kilkanaście godzin na stojąco z nartami to był twój wybór i cieszyłeś się, że udało ci się wsiąść. Byłeś wdzięczny losowi, że się udało załapać, dorwać, dostać, zdobyć. Nie lubiliśmy tamtego systemu (PRECZ Z KOMUNĄ), ale jednocześnie nikt się ze sobą nie cackał. Byliśmy twardzi, bo czasy były trudne.

Bieda rodzi twardzieli, dobrobyt rozmiękcza i dziś byle co powoduje płacz.

– Psze pani, a on mnie przezywa.

– To daj mu w pysk, a mnie nie zawracaj głowy.

Czy powyższy dialog jest możliwy współcześnie na koloniach? Za moich czasów był możliwy.

***

Biały człowiek w Europie zrobił się miękki jak marmolada – byle co i już jęczy. Dorwałem na lotnisku gazetę, którą ktoś inny zostawił, i czytam doniesienia w tonie alarmowym, że na południu Europy upały po 40 stopni. Telewizja w Arizonie o czymś takim nawet nie wspomina. U mnie na prerii od dwóch miesięcy jest codziennie plus 40 st. C o godz. 9 rano, a potem idzie w górę. I nikt nie robi afery – jest lato, więc wiadomo, że będzie gorąco.

W Hiszpanii byłem i wiem, że mają tam klimatyzację w biurach. Ja też mam, ale… przy upałach 40 st. C klimatyzator w moim gabinecie nie daje rady, więc pracuję w temperaturze ponad 27 st. C. I co? I nic – jest lato, jest gorąco, nikt na południu USA nie pęka, nie narzeka, a w Europie miękkie marmoladki nie dają rady, bo im gorąco.

Ten sam biały człowiek tu i tam – rasowo się nie różnimy, więc narzekanie na gorąc musi wynikać z czynników kulturowych. Europusie nie dają rady, gdy moi amerykańscy sąsiedzi pracują normalnie na swoich ranczach i nie narzekają, że za ciepło. Nie wiem, jak Europusie mieliby się sprawdzić na froncie, skoro letni upał ich powala. W czołgu robi się 50 st. C. I co wtedy? Prosimy Putina o przerwę na zimne napoje?

***

Gazeta, którą czytałem, dała tytuł „Rekordowe upały". Sprawdziłem, co pisali w przeszłości, bo mi się wydawało, że 40 st. C latem w krajach takich jak Grecja, Włochy czy Hiszpania nie powinno zaskakiwać. Oto, co znalazłem:

W latach 60. w gazetach pisali, że światowe zasoby ropy wyczerpią się w ciągu 10 lat. Hm. Od lat 60. światowe zużycie ropy stale wzrasta, ale ropy nadal pełno.

W latach 70. pisali, że w ciągu 10 lat grozi nam kolejna epoka lodowcowa – z powodu tego, że emisja dymów z fabryk zakopci światowe niebo i promienie słoneczne przestaną do nas docierać. Od lat 70. liczba kominów stale wzrasta (najbardziej w Chinach i Indiach), ale epoki lodowcowej brak.

W latach 80. gazety pisały o kwaśnych deszczach, które w ciągu 10 lat zniszczą światowe uprawy, co spowoduje powszechny głód. Dziś o kwaśnych deszczach nikt już nie gada – prawdopodobnie dlatego, że głodu nie było, a produkcja rolna wzrosła.

W latach 90. tematem alarmu była „dziura ozonowa". Mieliśmy natychmiast przestać stosować dezodoranty i inne środki w spreju, bo inaczej w ciągu 10 lat ozon zniknie, co spowoduje śmierć planety.

W latach 2000 gazety publikowały teorie naukowców o tym, że w ciągu 10 lat roztopią się czapy lodowe na biegunach, co spowoduje podniesienie się poziomu oceanów, zalanie wielu miast, wysp na Pacyfiku, a także połowy terytorium Holandii.

Żadna z powyższych katastrof nie nastąpiła. Nie wiem, czym Marek Kamiński podcierał sobie tyłek, gdy w roku 1995 zdobył oba bieguny, ale mógłby się podcierać wspomnianymi gazetami.

***

Obecnie gazety piszą o zagrożeniu, jakie niesie dwutlenek węgla. My to czytamy i zakładamy odruchowo, że CO_2 to jakaś straszna trucizna. A przecież to nieprawda. Dwutlenek węgla jest normalnym składnikiem atmosfery i to składnikiem niezbędnym – bez niego nic zielonego nie urośnie. Gdyby w szklarni zlikwidować efekt cieplarniany i dwutlenek węgla, wszystko zdechnie.

Gdy spalamy węgiel kamienny i z komina leci CO_2, uwalniamy do atmosfery coś, co w niej już wcześniej było. Węgiel (jak uczą w szkołach) powstał dawno temu ze szczątków ROŚLIN, które porastały ziemię. Rośliny porastające ziemię teraz nadal robią to samo – wyłapują z powietrza CO_2. Paląc węgiel, nie dodajemy do atmosfery nic, czego tam wcześniej nie było.

Podobnie w przypadku spalania ropy i gazu, które (jak uczą w szkołach) powstały ze szczątków organizmów roślinnych i zwierzęcych. A gdy palimy chrust, to już powinno być dla wszystkich jasne – te suche gałęzie, które palisz, wyrosły za twojego życia, za twojego życia uschły, a gdy je spalisz, to jeszcze za twojego życia wyrosną kolejne takie same, czyli w planetarnym rachunku gazów bilans wychodzi na zero. PAL WIĘC zupełnie spokojnie węglem, ropą, gazem, drewnem, słomą, peletem, chrustem i szyszkami. Nawet plastikowe butelki poza tym, że śmierdzą, nie zmieniają nic w planetarnym rachunku klimatycznym, bo plastik zrobiliśmy z ropy, a ropa powstała ze szczątków roślin.

Jedyne źródło energii, które nie jest naturalne i nie jest obojętne dla życia planety, to atom. Zagęszczamy materiał radioaktywny, który w środowisku naturalnym jest mocno rozproszony. Po zagęszczeniu bawimy się w Pana Boga, rozbijamy atomy i pojawia się radioaktywność, której wcześniej nie było, a ona nie jest obojętna dla życia, bo truje i zabija. W skali kosmicznej to się wszystko ostatecznie wyzeruje – nawet największa katastrofa radioaktywna – ale w skali mojej gminy… wolę elektrownię na prosty węgiel. ©℗

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

D. WALUSIAK: „WOJNA I WIARA 1920"

ABP F. J. SHEEN: „KOMUNIZM I SUMIENIE ZACHODU"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~943~~ ZŁ

342,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 601 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0bdb0a4d3d

ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR WARRANTY

C-LINE

eprasa.pl 0bdb0a4d3d